Poezja dzisiaj
Numer specjalny – Aleksander Nawrocki

POKOLENIE „WSPÓŁCZESNOŚCI”
Ruch literacki 1956

Wspomnienia, eseje, wywiady – Koncepcja i wybór
Anna Maria Mickiewicz

Nr 146
2020/2021

POEZJA dzisiaj: Nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego 2009.

Redaktor Naczelny: Aleksander Nawrocki

Adres: POEZJA dzisiaj, Urząd Pocztowy Warszawa 80 ul. Dzika 4
Skr. poczt. Nr 23

Strony internetowe: www.poezja-dzisiaj.eu
http://www.poezja-dzisiaj.edu.pl
www.facebook.com/PoEzjaDzisiaj

Redakcja zastrzega sobie dokonywanie skrótów w tekstach przeznaczonych do druku.
Nie zamówionych materiałów Redakcja nie zwraca.
Drukowanie tekstów bez gratyfikacji finansowej.

Zrealizowano ze środków własnych

Prenumerata roczna 64.80 zł. wraz z kosztami przesyłki.

Konto: NEST Bank 09 1870 1045 2078 1067 6226 0001

Wydawcy:
IBiS Aleksander Nawrocki

ISSN: 1508-9398

Dreammee Little City Publisher

ISBN: 978-167819-974-6

© autorzy
© Poezja dzisiaj

Zdjęcia z archiwum wydawców oraz z nr 52/53 „Poezji dzisiaj” 2006 r.

Projekt okładek zewnętrznych i wewnętrznych oraz redakcja całości: Aleksander Nawrocki.
Kompozycja na czwartej stronie okładki: Agnieszka Herman.

Zebrane materiały:

Danuta Błaszak
Anna Maria Mickiewicz
Magdalena Pawłowicz
Aleksander Nawrocki

Obecna publikacja jest poszerzoną o nowe materiały wersją „Poezji dzisiaj” nr 52 z r. 2006.

Uprzejmie informuję, że w okresie od 19 XII 2019 do 20 XI 2020 liczba gości na stronie internetowej www.poezja-dzisiaj.eu wynosiła 8.488, a liczba wczytanych podstron 77.482.

Bardzo za to dziękuję naszym czytelnikom i życzę Wesołych Świąt oraz Szczęśliwego Nowego Roku.

Aleksander Nawrocki – redaktor naczelny.

Nasi zagraniczni i krajowi prenumeratorzy, m.in:

The British Library, London, Wielka Brytania
Green Library, Stanford University, Stanford, USA
Library of Congress, Washington, USA
Harvard College Library, Cambridge, USA
New York Public Library, USA
University of Toronto, Toronto, Ontario M5S 1A5, Kanada
Die Bayerische Staatsbibliothek, München, Niemcy
Staatsbibliothek zu Berlin, Berlin, Niemcy

Ośrodki i biblioteki krajowe, m.in:

Centrum Kultury w Żyrardowie
PPSKAKiB we Wrocławiu
Biblioteka Collegium Polonicum
Gminna Biblioteka Publiczna w Kadzidle
Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu
Miejska Biblioteka Publiczna im. W. Gomulickiego w Ostrołęce
Miejska Biblioteka Publiczna w Łomży
Biblioteka Polonistyczna Uniwersytetu Łódzkiego
Akademia Pomorska w Słupsku
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
Biblioteka im. Zielińskich Towarzystwa Naukowego Płockiego
Miejska Biblioteka Publiczna w Siedlcach
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

Dystrybutorzy: Ruch, Kolporter, Pol Perfect, LEXICON Maciej Woliński, Garmond Press SA.

Wszystkim oraz prenumeratorom indywidualnym serdecznie dziękujemy.

ALEKSANDER NAWROCKI

Drodzy czytelnicy i miłośnicy poezji

W r. 2006 ukazał się specjalny numer 52 „Poezji dzisiaj", poświęcony 50 rocznicy powstania dwutygodnika „Współczesność", Pisma, które wywarło duże znaczenie na cały ruch literacki po r. 1956. Założone przez pokolenie 25-latków, pomijane przez ówczesne trendy organizowania literatury socrealistycznej, fałszującej rzeczywistość, otwarło się na nowe czasy, prawdę i na świat. Chociaż bojkotowane, przebijało się przez złomowiska starszych, usadowionych na lukratywnych posadkach w zamian za polityczne posłuszeństwo. Niekwestionowanym liderem pokolenia 56 stał się Leszek Szymański, osobowość przebojowa, który z wąskiej grupy znajomych stworzył rzecz niemożliwą w owych czasach, gazetę niezależną. I tu cisną się na usta strofy Mickiewiczowskiej „Ody do młodości":

'Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy; / Młodości! Dodaj mi skrzydła! / Niech nad martwym wzlecę światem / …Kędy zapał tworzy cudy, / Nowości potrząsa kwiatem / I obleka w nadziei złote malowidła… Jednością silni, rozumni szałem, / Razem młodzi przyjaciele…

Mickiewicz za motto do „Ody do młodości" wziął cytat z Fryderyka Schillera: „Und die alten Formen stürzen ein" – I stare formy rozpadają się.

O tamtych niezwykłych czasach nowej literatury, otwartej na świat, był właśnie numer 52 „Poezji dzisiaj" z r. 2006. W 14-lecie jego ukazania się i w 64-lecie zaistnienia „Współczesności" grupa poetów polskich z USA i z Londynu zwróciła się z prośbą do naszej redakcji o udostępnieniu materiałów o Pokoleniu 56 z zamiarem uzupełnienia ich o nowe własne. I tak znowu, wspólnymi siłami, wskrzesiliśmy tamte niezwykłe czasy niezwykłej literatury i niezwykłych jej kreatorów.

Ze względu na obszerność prezentowanych materiałów oraz czysto polski ich charakter + chwilowy brak czasu i funduszy na ich wydanie w 3 językach, wyjątkowo ten numer jest tylko polskojęzyczny.

Aleksander Nawrocki

ALEKSANDER NAWROCKI

Dear readers and poetry lovers

In 2006, a special issue of „Poezja Today" was published, devoted to the 50th anniversary of the biweekly „Współczesność", journal, which had great importance on the entire literary movement after 1956. Established by a generation of 25-year-olds, ignored by the then trends in Socialist realist literature, falsifying reality, it opened itself to new times, truth and the world. Though boycotted, it smashed through the junkyards of elders seated in lucrative jobs in exchange for political obedience. The undisputed leader of the 1956 generation was Leszek Szymański, a go-getter who turned a narrow group of friends into something impossible at that time, an independent newspaper. And here are the phrases of Mickiewicz's Ode to Youth:

Without hearts, without spirit, these are skeletons peoples; / Youth! Give me wings! / Let the world fly over the dead / ... Where the enthusiasm creates miracles, / The novelties shakes the flower / And closes the golden paintings in hope...

Mickiewicz took a quote from Fryderyk Schiller as his motto for the Ode to Youth: „Und die alten Formen stürzen ein" – And old forms fall apart.

About those extraordinary times of new literature, open to the world, was the number 52 of „Poetry Today" from 2006. On the 14th anniversary of its publication and the 64th anniversary of „Współczesność", a group of Polish poets from the USA and London asked our editorial office about providing materials about Generation 1956 with the intention of supplementing them with their own new ones. And so again, jointly, we resurrected those extraordinary times of extraordinary literature and its extraordinary creators.

Due to the extensive nature of the presented materials and their purely Polish character + the temporary lack of time and funds for publishing them in three languages, this issue will only be in Polish.

Aleksander Nawrocki

Translated by: Anna Maria Mickiewicz

ANNA MARIA MICKIEWICZ

Londyn 2020

Kilka słów…

Pomysł przygotowania książki poświęconej Pokoleniu „Współczesności", pokoleniu przełomu historyczno-politycznego w Polsce 1956 roku, narodził się kilka lat temu. Zalążkiem stała się znajomość z twórcą tego ciekawego ruchu literackiego, Leszkiem Szymańskim. Autor od lat przebywa na emigracji, mieszka obecnie w Australii. W swej twórczości i opowieściach często nawiązuje do minionych lat i swych przyjaciół związanych z tą pierwszą, powstałą po wojnie niezależna grupą literacką, która wydawała Pismo „Współczesność".

Opracowanie poświęcone „Współczesności" w 2006 roku wydała Redakcja „Poezji dzisiaj", Aleksander Nawrocki i Barbara Jurkowska-Nawrocka. Zebrano szereg materiałów, wywiadów i wspomnień, które dzisiaj mają już znaczenie archiwalne. Książkę poświęconą temu tematowi, „Wywiady – spotkania ze Współczesnością", wydała również Danuta Błaszak w serii Contemporary Writers of Poland (USA).

Obie te pozycje stały się bazą, dzięki której mogła powstać nasza książka. Otrzymaliśmy od Państwa Nawrockich niezmiernie ciekawe materiały i pozwolenie na ich przedruk. Podczas redakcji książki duchem i radą była z nami Pani Barbara, niestety jej odejście przerwało naszą współpracę…

Zapraszamy Państwa do lektury trochę już zapomnianych Autorów. Są to odkurzone i na nowo przedstawione jakże barwne sylwetki; towarzyszą ich wypowiedziom trudne często wspomnienia, dotyczące czasów, w których byli młodzi i próbowali niezależnie tworzyć. Jest to swoista mapa literacka polskiego ruchu „Współczesności" 1956 roku.

Anna Maria Mickiewicz

ALEKSANDER NAWROCKI

Moje spotkanie ze „Współczesnością"

„Współczesność", pismo założone pod koniec roku 1956 przez grupkę młodych, nikomu wtedy nieznanych ludzi, bez dorobku, która wkrótce wstrząsnęła życiem literackim w Polsce, układnym, spolegliwym politycznie, bezbarwnym kreacyjnie, nijakim artystycznie, zachwiał okopanymi autorytetami, odwrócił się od nich i otworzył szeroko okna na świat. „Współczesność" była pierwszym i do dzisiaj najważniejszym pismem literackim, od początku jej powstania, dla pewnego ucznia szkoły średniej w Przasnyszu (100 km na północ od W-wy), zwanej wówczas Sorboną Północnego Mazowsza. Ta Sorbona gnębiła mnie, bo to ja byłem tym uczniem, takimi niepotrzebnymi mi do dziś przedmiotami jak matematyka, fizyka i chemia. Jedyną jasną stroną mego ówczesnego życia była literatura, na którą z kolei nie miałem zbyt wiele czasu. I jeszcze przyjaźń z Mietkiem Rosołowskim, jedynym sensownym kolegą jeszcze z podstawówki. Mietek chodził do Zasadniczej Szkoły Zawodowej i dostawał w niej same piątki, ja w moim LO tróje i dwóje, nawet z polskiego wiodło mi się byle jak, bo w literaturze poszukiwałem smaku i wyobraźni, a uczono mnie „co autor chciał powiedzieć". Znając te perypetie Mietek zaczął mnie namawiać na przejście do zawodówki. Miał tam światłego polonistę, Eugeniusza Jankowskiego, który znał warszawskie środowisko literackie, a w Przasnyszu uchodził za uwodziciela, nawet profesorskich żon i koleżanek po zawodzie. Jednak moi rozsądni rodzice zabronili mi zmianę szkoły: „masz się męczyć w dobrej szkole, a nie być dobrym w takiej sobie" – powiedzieli. I mimo że język polski w szkole Mietka był bliższy literaturze, zostałem w liceum, do którego wkrótce przyszła polonistka – fenomen, Janina Grabowska i dała mi wolną rękę w prowadzeniu się na języku polskim. Chodziłem tedy do szkoły wyłącznie dla lekcji o literaturze, a po lekcjach szlifowałem chodniki 10-tysięcznego miasta ze szczęśliwym po kolejnej piątce Mietkiem i rozmawialiśmy o literaturze po naszemu. Czy ty piszesz wiersze? – zapytał w któreś słoneczne październikowe popołudnie Mietek. Dlaczego pytasz? – najeżyłem się, gdyż pisanie wierszy uważałem wtedy za zajęcie wybitnie damskie. Bo ja piszę. Przyznałem się wtedy i ja. To chodź kupimy „Współczesność". A co to takiego? Pismo, które dopiero co założyli warszawscy młodzi. Mówił mi o nim Jankowski. I że trzeba koniecznie po nie sięgać. Musimy przecież uczyć się na dobrych awangardowych wzorcach, a nie na starociach. W szkole uczą nas o wczoraj, a, my musimy poznawać dzisiaj i jutro.

„Współczesność" w kiosku Ruchu była tylko jedna i oczywiście kupił ją Mietek, ale pożyczył mi. Rzeczywiście nowoczesne, jak obuchem w głowę. I wszystko z małych liter, wiersze bez rymów i rytmu i często według nas bez sensu. Ponieważ Pismo zaczęliśmy sobie podkupywać (kosztowało 2 zł, czyli cztery bułki), mądry kioskarz zamówił dwa egzemplarze. I tylko my je kupowaliśmy i czytaliśmy, żaden polonista, żadna prenumerata, przez szkolną czy też powiatową bibliotekę. Wiersze lubiliśmy tylko Ośniałowskiego, Śliwonika uznaliśmy za wymądrzone, Grochowiaka – dziwolągowate, ale intrygujące. Nie pytaliśmy nauczycieli o przewodnictwo, sami dawaliśmy sobie radę z autorami „Współczesności". Wiedzieliśmy, że mamy się od nich uczyć, wbrew naszym gustom i tradycji, która chciała nas zawłaszczać na lekcjach. Najlepiej czytał nam się Andrzej Brycht: jego mocna, proza odurzała nasze prowincjonalne głowy. A z wierszy: Jesienin, Słomiano-rosyjsko-serdeczny, wspomniany wyżej Ośniałowski, Eliot, Rene Char i Sant Luis Perse, którego wiersz cytuję w przekładzie Mariana Ośniałowskiego:

Wysokie okręty muzyczne
Księżyce różowe i zielone zwisają jak owoce
Ryby płynące jak temat wzdłuż śpiewu
Morze pośród wysp różowe z namiętności
Zieloną gąbką samotnego drzewa
Niebo ściera swój fioletowy szpik

I to było do zaakceptowania, haust innego piękna. Natomiast całkowicie zaskoczyły mnie teksty Marii Fabickiej i Stanisława Swena-Czachorowskiego w 9 numerze „Współczesności" z listopada 1957 r.

STANISŁAW SWEN-CZACHOROWSKI

Stosy

jak rozplątać but w bęben
moje i twoje rozstaje

wśród zardzewiałych trybów
skrzypi od siebie noga

zamurowane mury
i między nimi szmata

MARIA FABICKA

* * *

ulice, które mijam zaludnia pewien pan
z dużą kością w pysku

/jałowe tampony wzruszeń ostrożnie ze zdziwieniem
/poprawiamy dziury w parasolach i tamte paski ciała
na których zaczyna się podwiązka/

/nasze domostwa przestępują niezręcznie z nogi na nogę/

nie wiadomo: czy on ją ssie

Awangardowość wierszy Śliwonika czy Brylla była dla mnie wtedy naturalna, ale Fabickiej i Czachorowskiego? Zaplątało mi się wtedy na długo mniemanie o współczesnej poezji w bęben. Ale może właśnie dlatego te dwa wiersze, tak niepodobne do innych, zapamiętałem na zawsze. Z polemik podobało nam się dokładanie przez Irzyka świeżo wróconemu z Zachodu Słonimskiemu i podręcznikom szkolnym do literatury: Juliuszowi Słowackiemu przez Janusza Maciejewskiego, wtedy dopiero świeżo po studiach, i Wojciecha Bieńki, który dokładał prawie wszystkim. A moja polonistka, wyżej wymieniona Janina Grabowska, była na tyle rozsądna, że pozwalała mi prowadzić samodzielnie lekcje o współczesnym życiu literackim na podstawie m. in. „Współczesności". Dziś dziwię się, że wtedy miałem odwagę na taką samodzielność i że to mnie tylko interesowało. Moi przyzwoicie piątkowi koledzy zakuwali podręcznikowy program i pisali schematyczne prace domowe. Partnerem do rozmów był tylko Mietek. Właśnie któregoś dnia poinformował mnie, że w najbliższą sobotę przyjedzie do Przasnysza przedstawiciel „Współczesności", Jerzy Czajkowski. Z aktorką. Spotkanie odbędzie się wieczorem w Domu Kultury.

Ale wieczorem drzwi tego przybytku kultury zastałem zamknięte. Nie przyszedł nawet Mietek. To dlatego, że nie nakazali w szkole. Czajkowskiego poznałem w dwa lata później. Przyjechał do naszego LO. Zaproszono go do najlepszej klasy, naszej, a moja z prawdziwego zdarzenia polonistka, Janina Grabowska, przedstawiła swojego ekspansywnego humanistycznie ucznia, czyli mnie, panu poecie. Wziął kilka moich rymowanek i nie rymowanek, obiecał odpisać i zapomniał, oczywiście nie przypuszczając, że po latach będzie przesyłał do mnie, czyli „Poezji dzisiaj" swoje teksty z prośbą o ich druk.

Przeczuwałem już wtedy, że sztuka, którą proponuje „Współczesność", jest mi bliższa niż rymadła wybitnych wówczas rymarzy, którzy od czasu do czasu nawiedzali naszą szkołę i na auli pozwalali się oklaskiwać uczniom, zwolnionym na tę okoliczność z innych zajęć. Widzisz, to są dopiero poeci, a nie ty – docinali mi później klasowi koledzy. Bo znacie się na poezji jak ja na matematyce – odcinałem się.

Założyliśmy wtedy z Mietkiem dwuosobowe kółko samokształceniowe i na własną rękę studiowaliśmy greckich tragików: m.in. Ajschylosa, Eurypidesa, Szekspira, ja osobiście Owidiusza, Katullusa i Puszkina, w oryginale i wybrane ich wiersze, nie pod lipą, ale pod rosnącym przy domu krzaku bzu tłumaczyłem na język polski. Ponadto siedziałem po uszy w dziełach zebranych Fryderyka Schillera, Henryka Heinego, Wiktora Hugo, „Pieśniach Osjana," etc. A dzięki „Współczesności" zdałem na filologię polską. Z kandydatów nikt nic nie wiedział o współczesnych pismach literackich ani współczesnej poezji, co zauważyłem przysłuchując się zdającym przed komisją i to uczniom z Warszawy. Skorzystałem z okazji i poprosiłem o to pytanie jako dodatkowe i zdziwiłem komisję rozległą wiedzą na ten temat, jakiej potem nigdy nie miałem okazji zdobyć na uniwersytecie, gdzie zamiast partnerskich rozmów o literaturze fundowano nam sztukę robienia notatek, kolokwia o tym, co który krytyk napisał o tym i o tamtym autorze, którego i wtedy, i dziś nie warto czytać. Zorientowałem się, że muszę sobie zrobić indywidualny tok studiów z zaliczaniem jednak na ledwo ledwo uniwersyteckich, nudziarstw, za to z czynnym uczestniczeniem w aktualnym życiu literackim, które zaczęło wtargiwać poprzez sukcesy naszych kolegów pod postacią drukowanych przez nich wierszy, esejów, opowiadań, udziałów w dyskusjach. A tymczasem „Współczesności" zmieniano kolejnych naczelnych. Nie było to już spontaniczne pismo wydawane przez spontanicznych twórców, ale ciągle jednak najbardziej otwarte na świat i nowe pióra z kraju, nadal atakowane, a nawet bojkotowane i ciągle żywe. Powstało przypadkiem, dzięki odwadze kilku ludzi. Zorganizowały je cztery osoby, a właściwie trzy dały się zorganizować czwartej, Leszkowi Szymańskiemu, naczelnemu. Roman

Śliwonik został zastępcą naczelnego, Andrzej Chaciński sekretarzem, a Jerzy Siewierski członkiem kolegium. Nazwali się Grupą Literacką „Współczesność". Tytuł pisma, złożony wersalikami w kolorze pomarańczowym, data wydania: Warszawa Nr 1 X 1956, cena 1.50. Już na początku trzeba było zmierzyć się z cenzurą. Otóż cenzor wykreślił przy dacie cyfrę 1, ale zapomniał wykreślić NR, który Szymański przesunął w prawo, do daty 1 X 1956 i wyszło, że Pismo jest numerem 1 wydanym w październiku 1956 r. Po ukazaniu się pierwszego numeru „Współczesność" natychmiast została zauważone przez środowiska literackie w całej Polsce. Na jej pierwszej stronie po prawej zamieszczono zdjęcie dwóch drzew, dużego i małego, szarpanych wiatrem, na trawiastej morskiej wydmie. Po lewej stronie dano „Uwagi o najmłodszej poezji" – obszerny szkic Jana Wyki, zdeklasowanego lewicowca z pokroju tych, których nie znosił Stalin. Ten szkic o literaturze i okołoliteraturze jest chyba najważniejszy w tamtych czasach, aż do roku 1989. Oto jego fragment: „... mechanizm stwierdzający, że jeśli jest socjalizm, to wszystko musi być lepiej w każdej dziedzinie życia – spowodował, że mówi się o łatwiejszym debiucie młodych. Jest to rozumowanie z cyklu, że koniowi dorożkarskiemu lżej jest biegać w socjalizmie niż w kapitalizmie. Tymczasem praktyka wskazuje, że jest gorzej. Bo: wydłużono proces wydawniczy. Jest tylko „Nowa Kultura", w której w najlepszym wypadku można wydrukować się raz w roku, bo jest cenzura, a redaktor niechcący wydrukować poecie wiersza mówi, że wstrzymała go cenzura, bo są sitwy (...).

Młodym pozostaje szloch nad sobą i nad czynnikami uznającymi (w teorii) doniosłą rolę literatury, troszczącymi się o nowe kadry piszących. Gdzie pisać? Chyba w klozecie".

Wyka odnotowuje nazwiska znanych już sobie wtedy młodych, poetów, a jest ich sporo, znanych zresztą po dziś: Bolek (ojciec Juliusza), Brycht, Bryll, Drozdowski, Herbert, Harasymowicz, Himilsbach, Ośniałowski, Białoszewski, Śliwonik, itd. Uważa, że są oni bardziej wrażliwi na cienie niż na światło, co ma stanowić ich siłę, ale jednocześnie wynika z niedojrzałości. Podkreślił, że w środowisku trwogę budzą białe wiersze młodych, których cechą jest różnorodność tematyczna i artystyczna. Wyka nazywa ich utwory „poezją zranionego marzenia". „Młodzi mają ambicję odkłamywania ostatniego dziesięciolecia (1945-55), poznawanie świata przez środki artystyczne, bez upiększania. Bohaterzy ich utworów to sponiewierani starcy, ślepcy, prostytutki, szaleńcy, alkoholicy, chuligani, ginący w kopalniach górnicy, problemy rodzinne, w odróżnieniu od nieomylnych ubowców i monumentalnych działaczy partyjnych, dyrektorów, etc. Młodzi znaleźli sobie bohatera zapomnianego przez literaturę, zgorzkniałego, pozbawionego nadziei i celu. Jest to pokolenie

rozbratu z dziesięcioleciem 45–55, odrzuca tradycyjną formę. Młoda poezja woli aluzyjność niż łopatologiczną komunikatywność, odrzuca panegiryki i hasłowość". I pytanie, dlaczego poeci nie są pochodzenia robotniczego bądź chłopskiego, mimo że dostali szansę studiowania, pracy, publikacji. I brak w ich utworach tematyki wiejskiej. Tymczasem w życiu literackim jest zbyt wielu urzędników, nie do ruszenia, na których, chwalebną rzeczą byłoby zastawianie wnyków. Następnie charakteryzuje twórczość młodych poetów: za najbardziej warszawskiego uważa wiersze Sławomira Kryski, rozdwojonego – Bolka, Śliwonika – poetę zranionego marzenia, talentem nacechowanym książkową egzotycznością, nie zawsze twórczym intelektualizmem: „strzela, ale często nie trafia", „Jest on najbogatszy i najsmutniejszy z poetów warszawskich". Bryll to pilny uczeń Jasieńskiego i Jesienina, Drozdowskiemu przyznaje czołowe miejsce w młodej poezji: rani kołtunerię, jest „bojownikiem przeciwko skamielinom polityki i kultury".

Wiersze w 1 numerze „Współczesności" opublikowali: Roman Śliwonik, Marian Zakrzewski, A. Sawicki (nie podał pełnego imienia), Wojciech Brański, Wojciech Albiński, Zygfryd Sawko, Zdzisław Jerzy Bolek. Autorami prozy (opowiadań) byli: Monika Kotowska, Andrzej Chaciński, Magda Leja, Eugeniusz Kabatc, Leszek Szymański. Ponadto wiersze Jeana Cayrola i Francisa Jamesa w tłumaczeniu Mikołaja Bieszczadowskieso.

Nr 2 „Współczesności" ukazał się z datą 25 XI 56 i z manifestem na 1 stronie, w którym jest troska o rozwój socjalistyczny kultury, uczestnictwo w demokratyzacji życia, walka z krępującym sztukę akademizmem, pisanie żywym nowoczesnym językiem, pismo dostępne dla różnych opcji literackich i światopoglądowych. Prócz poezji jest w nim plastyka, film, teatr, eseistyka, krytyka, teoria sztuki oraz poszukiwanie młodych talentów i współpraca z twórcami innych krajów, a kończy się zdaniem: „Pragniemy skupić wokół „Współczesności" wszystkich młodych twórców, którzy chcą swoją sztuką służyć wielkiemu dziełu odnowy naszego życia społecznego i kulturalnego". Manifest prawdopodobnie powstał naprędce i na odczepnego, ponieważ po 1 numerze postawiono Pismu zarzuty o brak programu. Kolor tytułu tym razem dano czerwony.

Na uwagę zasługuje w 2 numerze wypowiedź Romana Śliwonika:

„Z mojego notatnika" o moralnym paczeniu społeczeństwa:

„W minionych warunkach społecznych i politycznych, którym najszybciej ulegli inżynierowie dusz, literaci, którzy potencjonalnie mieli wszelkie dane, żeby się temu oprzeć. Nie skarleli robotnicy, nie skarleli chłopi, a skarleli pisarze. Wytworzyła się bandka zalęknionych stworów, ostrożniutkich cierpiętników

i przerażenie ogarnia na myśl, że to oni chcą kształtować dusze i serce narodu, kształtować jego charakter".

I wiersz poety, na pierwszej stronie w prawym dolnym rogu pt. „Węgrom" z datą 30 X 56, który tak rozeźlił i – przeraził Gomułkę.

Za Leszka Szymańskiego, który w sumie wydał 34 numery Pisma, „Współczesność" była najciekawsza, najbardziej przekonywująca i atakująca dostojne skamieliny polskiej literatury. Zaczęto pisać o tzw. literaturze wyklętej (Jerzy Siewierski), która wcześniej pomagała żyć, a teraz obraża człowieka, pokazuje go takim, jakim nie chciałby się widzieć; za przykład podano opowiadania Marka Hłaski pt. „Pierwszy krok w chmurach". Poeci „Współczesności" zaczęli odkrywać futurystów, drukują m.in. wiersze Chlebnikowa, piszą o współczesnej poezji i grafice francuskiej: wiersze Henri Michaux, Rene Char, Saint John Perse – ilustrowane grafiką Henri Matissa i Georgesa Seurata. Publikowane są polemiki: Jerzego Łojka z Catem Mackiewiczem na temat, kim był naprawdę ostatni król polski, Stanisław August Poniatowski, Leszka Radzikowskiego „Proust i Hłaskolodzy," Stanisława Cata Mackiewicza o Tołstoju w krzywym zwierciadle, Zbigniewa Irzyka o literaturze fantastycznej oraz o podręczniku literatury polskiej dla klasy XI LO autorstwa Ryszarda Matuszewskiego, który nazywa prymitywnym i jednostronnym, bo prezentuje uczniom sylwetki twórców w stylu: największym poetą jest Słonimski, a najgorszym Leśmian. Są też wywiady z twórcami zagranicznymi, m. in. z Robertem Frostem, poetą amerykańskim. Z dnia na dzień we „Współczesności" pojawiły się pióra i nazwiska odważne, bez taryfy ulgowej do niedawnych socrealistycznych autorytetów.

Publikowano eseje o Sartrze, Camusie, Kafce, krytyczne o filozofii Györga Lukacsa, reprezentującego linię socjalistycznej estetyki, etc, obśmiewano rolę ks. Pirożyńskiego w kształtowaniu polskiej obyczajowości, wreszcie zakładano szkolne kluby „Współczesności". Nie pisano sobie pochwalnych recenzji, publikowano ankiety o młodych Dąbrowskiej, Antoniego Gołubiewa, Wilhelma Macha, drukowano wiersze polskich poetów na emigracji, wyjeżdżano w teren, żeby nawiązać kontakty z interesującymi środowiskami literackimi. Do redakcji zwracali się również twórcy atakowani w innych pismach, w których odmawiano im prawa polemiki i sprostowań. Za Leszka Szymańskiego cały czas nawiązywano do literatury zachodniej: Hemingwaya (krytycznie), E.A. Poego, Erskina Caldwella, Rilkego, markiza de Sade, szargano świętości, np. Zbigniew Irzyk twórczość Zofii Nałkowskiej.

Mocną stroną „Współczesności", podczas 15 lat jej istnienia, była publicystyka i eseje o kulturze i sztuce, a także recenzje i próby prezentowania poetów

przez poetów, a przede wszystkim jej otwarcie na świat. Uważam natomiast, że „Współczesność" nie miała poetyckiego programu, opierał się on na gustach kolejnych reaktorów działu poezji. Ale we „Współczesności" znaleźli się wybitni poeci–samorodki, każdy o zindywidualizowanym języku i wyobraźni: Roman Śliwonik (od początku), Ernest Bryll, Stanisław Grochowiak, Bohdan Drozdowski, Marian Ośniałowski, Jerzy Stanisław Sito, Jerzy Harasymowicz, Tadeusz Śliwiak, Małgorzata Hillar. Redakcja patronowała też debiutantom: Stachurze, Ratoniowi, Żernickiemu, Gąsiorowskiemu, poetom późniejszej o cztery lata Orientacji Hybrydy, która miała program (oparcie się na awangardzie i Norwidzie), ale już bez indywidualności pokolenia 56. Często zastanawiam się, dlaczego Orientacja nie przyjęła się szerzej w historii literatury polskiej? Może to nie był głos pokolenia, a tylko kontynuacja poezji kreatywnej poprzedników, czyli przede wszystkim obrazowość miast problemowości.

Leszek Szymański, ponieważ pojawił się nieplanowany w naszym życiu literackim, musiał z niego zniknąć. Wolał dobrowolnie i wyjechał pod koniec 1958, czy też na początku 1959 na stypendium do Indii i została po nim legenda i domysły, Naczelnym mianowano, czy też wybrano Stanisława Grochowiaka i pismo za jego czasów, trwających równo rok, jakby się pochyliło w inną stronę. Zaczynają pojawiać się w nim szkice–kolubryny, dziś nie do czytania. I jest mniej wierszy, już nie poetów z całego kraju, ale przeważnie związanych z redakcją. Szata graficzne też mniej przystaje do pisma literackiego, taka jakaś gazetowa, razi socrealizmem.

Po Grochowiaku na prawie dwa lata, od. 1 II 60 do 15 XI 61 nastał Witold Dąbrowski i od razu nawrócił Pismo na lewicowość, włącznie z zorganizowaniem konkursu poetyckiego o Leninie, w którym wziął udział i zajął 2 miejsce z kwotą 3000 zł. Dąbrowski, późniejszy opozycjonista, na dzień dobry jako naczelny zamieścił w Piśmie wstępniak pt. „Literatura, lewica, logika". Cytuję co celniejsze jego fragmenty: „Pojęcie lewica koresponduje z pojęciem uczciwość (...) Każdy szanujący się inteligent, każdy dbający o swoją opinię intelektualista przyznaje się chętnie do swojej lewicowości, niezależnie od tego, jak różnych konkretyzacji by pod to pojęcie nie podkładał. Przynależność do lewicy to rodzaj szlachectwa naszych czasów (...)". I rzeczywiście, za Dąbrowskiego dużo było lewicowości, z Leninem, z plakatami i konkursami o nim, z prozą i poezją radziecką, etc. Pismo też było grube, ostatni numer „Współczesności" pod kierownictwem Dąbrowskiego liczył sobie 24 strony, później już tylko 12.

Po Dąbrowskim przyszedł z Wrocławia Stanisław Kuszewski, na rok. Pismo wchodzi wtedy mocniej w politykę, ukazują się szkice o kulturo-twórczym Związku Młodzieży Socjalistycznej, ogłaszane są konkursy na reportaż o młodych budowniczych wielkich obiektów Pięciolatki, współorganizowane razem z KG ZMS i wydawnictwem Iskry. Pismo, steruje i w stronę proletariackiej kultury masowej i reportażu, poezji w nim od przypadku do przypadku, nazwiska drukowanych powtarzają się: Drozdowski, Jerzyna, Bryll, Liskowacki, Śliwonik, czasem Urszula Kozioł, sporo wierszy Mariana Grześczaka, m. in, w numerze pierwszomajowym 1962 na pierwszej bardzo czerwonej stronie jego „Ody o zwycięstwie (4 + introdukcja) w XX rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej. Za czasów Kuszewskiego pojawia się też „Bogato zdobiony organ Mirosława Malcharka" z gołymi pannami (po raz pierwszy w nr 124, datowanym 16- 31 X 1962) i przetrwa aż do zlikwidowanie Pisma w r. 1971.

Od nr 125 (1–15 XI 1962) redaktorem naczelnym „Współczesności" został pracownik naukowy filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzej Lam i był nim dość długo, do sierpnia 1966 r. W tym czasie pismo szybko odpolitycznia się, na gwałt intelektualizuje, stając się coraz bardziej „literackim". Z okazji wydania 150 numeru 21 XI 63 r. w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu odbył się wieczór jubileuszowy, w którym wystąpili: J.A. Afanasjew, E. Bryll, H. Grześczak, Z. Jerzyna, R. Apnecki, T. Karpowicz, U. Kozioł, S. Kryska, Cz. Kuriata, B. Sadowska, J. S. Sito, R Śliwonik, aktorzy czytali wiersze m. in. Swena Czachorowskiego i J.M. Rymkiewicza. Sala była pełna – widziałem na własne oczy.

Za Lama trwa poszukiwanie winiety pisma, coraz mniej przekonywujące, aż na początku stycznia 1965 r. trafiono na właściwą, nawiązującą do 1 numeru Leszka Szymańskiego krojem czcionki i ta winieta zostanie już do końca istnienia Pisma, czyli do nr 357 XII 1971 r. Ostatnim naczelnym był Józef Lenart, od 20 VII 1966 do 2 X 1971. Ostatnie 7 numerów „Współczesności" miało pełniącego obowiązki naczelnego, Marka Jaworskiego.

Najdłużej z Pismem byli związani: Eugeniusz Kabatc (od nr 3 do 265, czyli od stycznia 1957 r. do połowy czerwca 1968 r.) i Józef Lenart (od stycznia 1957 r. do października 1971 r.).

Naczelnych Pismo miało 6 + na krótko 1 pełniącego obowiązki. Natomiast pełniących obowiązki działu poezji, odnotowanych w stopce, było 5: Sławomir Kryska, Jerzy Stanisław Sito, Piotr Kuncewicz, Krzysztof Gąsiorowski i Edward Hołda.

„Współczesność", która wywarła znaczące piętno na literaturze II połowy XX wieku, miała kilka linii.

Linia Leszka Szymańskiego: odcinanie się od okresu błędów i wypaczeń, stawianie na literaturę i sztukę, ostra publicystyka, otwarcie na Zachód, dużo wierszy, ciekawa grafika, Pismo żywe – tygiel poglądów. Linia Stanisława Grochowiaka: bunt wobec starych form literackich (językowy), podważanie sensu powstań – tzw. Bohaterszczyzny (szkic „Karabela zostaje na strychu"), poszukiwanie nowej poetyckiej wyobraźni, dryfowanie w stronę akademizmu, mało wierszy, w zasadzie ich publikacja ograniczała się do redakcyjnego grona.

Linia Witolda Dąbrowskiego: ideologiczny koniunkturalizm, ponadto trochę Zachodu, dużo Wschodu i własnych wierszy.

Linia Stanisława Kuszewskiego: w stronę klasy robotniczej, linii partii, choć z mniejszym zadęciem niż Dąbrowski, dużo reportażu.

Linia Andrzeja Lama: bliżej uniwersytetu i czystej literatury, sztuki, filozofii.

Linia Józefa Lenarta: z jednej strony próba kontynuowania linii Lama, a z drugiej przechył w stronę politykowania – reportaże z pobytu Gierka i Jaroszewicza w zakładach pracy, zjazdy partii, socjalistyczny duch odnowy, etc.

Mimo powyższych linii naczelnych, „Współczesność" była zawsze pismem poszukującym, unikającym zbyt nachalnych schematów, próbującym, w późniejszym okresie, pogodzić literaturę i sztukę z oczekiwaniami ówczesnej polityki kulturalnej.

PS 1. W 50-lecie powstania „Współczesności" wpadłem na pomysł zorganizowania spotkania „współczesnościowców" – z Leszkiem Szymańskim jako bohaterem głównym. Z żyjącymi w kraju nie było problemu, ze zmarłymi też, z Leszkiem Szymańskim – kłopot na długość Warszawa Los Angeles, w którym wówczas mieszkał. Otóż Leszek, absolutnie mnie nie znający i Bogiem a prawdą w Polsce również prawie doszczętnie zapomniany, nabrał z miejsca przekonania, że skoro dotąd do kraju nikt go nie zapraszał, nawet członkowie bliskiej rodziny, to zapewne w zaproszeniu, absolutnie nie znanej mu osoby, kryje się jakiś podstęp i po przyjeździe do Polski od razu może zostanie postawiony przed sądem za pozostanie za granicą w r. 1958, osądzony i skazany na osiedlenie się w Sybirze. Tak mi to szczerze powiedział telefonicznie i internetowo, a wysłanego mu internetem przeze mnie biletu lotniczego nie przyjął. Nie dałem za wygraną i bilet wysłałem mu ponownie. I – zaczęły się przez internet i telefonicznie przekonywania Leszka, że niepotrzebnie się obawia, ponieważ aktualny ustrój w Polsce ma złe kontakty z Sybirem, a dobre z USA, których Leszek jest obywatelem. To też go nie przekonało, ale wspomniał, że jego syn Józek, z matki Filipinki, chciałby poznać ojczyznę swego ojca, Polskę.

To przyjedźcie obydwaj – zaproponowałem. Ale jak mnie zamkną? – zapytał. Ale syna Panu nie zamkną, a będzie miał szansę zobaczyć ojczyznę taty. No to zaryzykuję – postanowił. Tymczasem październik zbliżał się szybko, numer „Poezji dzisiaj" o „Współczesności" wydrukowany czekał, wizytę u ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego ustaliłem, odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej," na mój wniosek przyznana, nagroda pieniężna, też na mój wniosek załatwiona + wiele spotkań z honorariami, sala w „Kamiennych Schodkach,"gdzie w latach 1956–58 odbywały się wieczory literackie współczesnościowców, na inaugurację zamówiona, tylko pewność przyjazdu głównego gościa mimo jego zgody miałem pod znakiem zapytania. W końcu w przeddzień przylotu o 5.00 rano telefon. Odebrała żona, Pani Basia. Lecą, są już w Chicago – poinformowała mnie. Obydwoje zeszczęśliwieliśmy z radości. Ale naprawdę uwierzyłęm odbierając Leszka na Okęciu. I byłem dumny, że udało mi się go przekonać. Od razu koło Leszka zaczęło się kręcić mnóstwo spragnionych go widzieć przyjaciół, dawnych i nowych, ale on na każdych kolejnych z nim, organizowanych przeze mnie imprezach informował, że jest na zaproszenie Aleksandra Nawrockiego, który przeszedł drogę przez mękę, żeby go do przyjazdu przekonać. Po dwóch tygodniach festynu na jego część, urządzonego przeze mnie w Polsce, Leszek w smutku odjechał, a po miesiącu internetem dostałem od niego wiadomość, że chce wrócić. Znajdź mi jakąś pracę, choćby portiera w twojej redakcji – sugerował. Odpowiedziałem, że ponieważ był gwiazdorem przez te kilkanaście dni i zostawił najlepsze wspomnienia, więc nie może ich zepsuć, a moja redakcja finansowo nie jest w stanie zatrudnić dodatkowej osoby. Mimo to próbowałem załatwić Leszkowi emeryturę w naszym kraju, co okazało się niemożliwe, bo składek emeryckich w Polsce Leszek nie płacił i tylko premier był władny załatwić taką emeryturę, ale ówczesny premier nie chciał być władny. W związku z powyższym pozostała nam przyjaźń na odległość i moja satysfakcja, że – Drogi Leszku, miałeś tylu przyjaciół, bliskich i dalszych, z których wielu deklarowało się, że chciałoby Cię zobaczyć, ale nie umiało zaprosić Cię do kraju,, nawet najbliższej Twojej rodzinie nie wpadło to do głowy. Ściągnięcie Cię do Polski udało się tylko mnie, absolutnie Ci nieznanej osobie, która zrobiła to w podzięce za odwagę założenia przez Ciebie „Współczesności" – mojej nauczycielki literackiej na zawsze.

PS 2. Kosztowało mnie dużo zabiegów, żeby niemal wymusić na dyrekcji liceum Stefana Batorego spotkanie z Leszkiem Szymańskim, do którego niegdyś uczęszczał, spotkanie moim zdaniem nijakie, Leszka zdaniem też, bo nie umiano go nawet należycie przedstawić, a uczniów dobrano takich, żeby ani BE, ani ME

z siebie nie wydobyli. Natomiast wszystkie inne spotkania, w Domach Kultury, Bibliotekach, szkołach, Związkach Twórczych, odbyły się na medal i to złoty.

Aleksander Nawrocki

Przedruk z 52 nr „Poezji dzisiaj" 2006.

DANUTA BŁASZAK

Polska literatura powojenna

Mój dynamiczny, filmowy obraz polskiej literatury zaczyna się w roku 1956 – kiedy powstało pismo „Współczesność". To dla mnie zaszczyt, że mogłam poznać pierwszych redaktorów „Współczesności": Jurka Czajkowskiego, Zbigniewa Irzyka, Romana Śliwonika. Żal, że nie poznałam tych, którzy umarli za wcześnie. Wiosną roku 2006, w 50. rocznicę założenia pisma, spotkałam Leszka Szymańskiego, założyciela i pierwszego szefa tej historycznej gazety. Dr Szymański wyjechał z Polski w 1958 roku. Ktoś widział go potem na Filipinach albo w Australii – uznawano go też za zaginionego. Zdarzają się cudowne, nieplanowane spotkania.

Zacznę od wyjaśnienia: dlaczego opracowanie polskiej literatury powojennej stanowiło problem dla krytyków i historyków? Polska cenzura, aktywna przez długie lata – zarówno w czasie „odwilży", jak i „reżimów" – znacznie przyczyniła się do białych plam i niespójności polskiego obrazu literackiego. O pisarzach, którzy wyjechali z kraju, często nie wolno było mówić. Sugerowano, narzucano nieprzychylne, poniżające wypowiedzi. Nie mówić o tych, którzy byli niewygodni dla komunizmu, to tak jakby ludzie ci nie istnieli. Książki dr Szymańskiego, sławiące polską kulturę, były znane jedynie za granicą – w kraju nie istniały.

W jednym ze swoich artykułów Leszek Szymański napisał:

Niektórzy historycy i badacze literatury w przypadku „Współczesności" oparli się głównie na wypowiedziach reżimowych pisarzy, mimowolnie lub świadomie przekazując skrzywiony obraz. Źle to świadczy o ich rzetelności. Obowiązkiem historyka jest zdawanie sobie sprawy z kryteriów i tła epoki, i zastosowanie tej wiedzy do specyfiki opisywanych wydarzeń. Nie wolno opierać się na dawnych wypowiedziach o „Współczesności," zafałszowanych przez cenzurę.

„Współczesność" to niezależność, kontakt z nowoczesną literaturą światową i rzetelna wiedza literacka, nowoczesność formy – te idee przewodziły pierwszym redaktorom gazety i kolejnym wybitnym, kreatywnym pisarzom, którzy przyłączali się do... ruchu „Współczesności". Zaistnienie niezależnej gazety zaowocowało powstaniem pokolenia „Współczesność". Mówimy tu o Stanisławie Grochowiaku, Marku Hłasce, Romanie Śliwoniku. Mówimy o Marianie Ośniałowskim... jak również o pewnych nazwiskach mało znanych, wymazanych przez cenzurę.

Serdecznie zapraszam do lektury tej książki, ukazującej drogi od „Współczesności" do czasu wielkich przemian, poprzez piękno utworów, tragedie, tworzenie bogactwa wartości polskiej literatury, poprzez wydarzenia polityczne, zawsze nierozłączne z polską literaturą.

Danuta Błaszak

WSPÓŁCZESNOŚĆ

GRUPA LITERACKA „WSPÓŁCZESNOŚĆ" WARSZAWA Nr 1 X 1956 Cena 1.50

Uwagi o najmłodszej poezji

Jan Wyka

O sytuacji młodych

MY

„Współczesność" Nr 1

ANNA MARIA MICKIEWICZ

Nowa książka Leszka Szymańskiego

Ukazała się nowa pozycja wydawnicza, opowieść autora polskiego pochodzenia zamieszkałego w Australii, Leszka Szymańskiego: „Wspomnienia bez mundurka", Wydawnictwo Dreamee Little City, Orlando 2018.

Leszek Szymański rozpoczął publikacje wcześnie jako humorysta i nowelista, w 1952 r. Zaliczany jest do grupy seniorów polskich pisarzy emigracyjnych i należy do grona najstarszych żyjących wychowanków słynnego warszawskiego Gimnazjum im. Batorego. W 1955 r. zdobył nagrodę na konkursie ZLP za opowiadanie o Mickiewiczu „Rogowy guzik". Opowiadanie to znalazło drogę do Wypisów dla Klasy VI, gdzie figurowało przez wiele lat, mimo że autor był na czarnej liście cenzury. W przełomowym roku 1956 Szymański był założycielem grupy literackiej „Współczesność" i redaktorem jedynego niezależnego pisma także o tej nazwie. Otrzymawszy Stypendium – nagrodę ufundowaną przez Teodora Parnickiego, wyjechał do Indii, gdzie spotkał Artura Koestlera i przy jego pomocy uzyskał polityczny azyl w Australii. Współpracował z „Kulturą", „Wiadomościami" i innymi pismami emigracyjnymi. Jednak główna jego twórczość beletrystyczna i naukowo-historyczna jest w języku angielskim. Obronił pracę doktorską w Londynie w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. Publikował w pismach anglojęzycznych, czym zaznaczył swoje miejsce w literaturze brytyjskiej i australijskiej. Warto odnotować osiągnięcia pisarskie autora w amerykańskiej historiografii. Wydał monografię poświęconą Kazimierzowi Pułaskiemu. Ważna pozycja to również książka poświęcona „Solidarności", zyskała rozgłos międzynarodowy. Szymański jest na emigracji politycznej i stał się seniorem polskich pisarzy emigracyjnych (tych politycznych). Polański, Hłasko, Henryk Grynberg i Szymański znaleźli się w tym samym czasie w Los Angeles. W 2007 r. Szymański został uhonorowany nagrodą im. Josepha Conrada w uznaniu dla wielu publikacji, zarówno w języku polskim, jak i angielskim.

Każde pokolenie posiada pamięć historyczną, którą dzieli się z innymi. Czasem wydarzenia i pamięć o nich są tak silne, że przekazujemy je bez pomocy słów. Sztuką jest możliwość jasnego przekazania doświadczenia pokoleniowego, tak, by było ono zrozumiałe przez wszystkich. Umiejętność podzielenia się przeżyciami w sposób przejrzysty posiadają tylko niektórzy pisarze. Z pewnością zaliczyć można do nich Leszka Szymańskiego. W swej najnowszej książce pt. „Wspomnienia

bez mundurka" autor zaprasza nas do krainy swej młodości, którą spędził w powojennej Warszawie, w słynnym Gimnazjum im. Batorego.

Pisarz przywołuje z fotograficzną dokładnością obraz zburzonej stolicy. Obserwuje ulice, którymi ciągną bryczki, wozy drabiniaste, dorożki… i brakuje tylko – dodaje, dyliżansów. Jednak najciekawszy jest wizerunek życia społecznego miasta, które tak okrutnie zostało doświadczone podczas wojny. W Warszawie budzi się z dużymi trudnościami życie, pojawiają się sklepiki, kawiarenki, targowiska. Wciąż jest niebezpiecznie w ruinach, gdzie natknąć się można na materiały wybuchowe.

Trzeba przyznać, że zmieniającą się stolicę odnajdujemy zarówno w pokładach warstwy językowej opowieści, jak i w ukazanych obrazach. Autor nie ocenia rzeczywistości; przedstawia czytelnikowi prawie reporterski przekaz bez komentarza. W tej warstwie możemy powiedzieć o autorze, że jest dokumentalistą. Ukazuje czytelnikowi jakby uchwycone kadry z filmu, nacechowane świeżością spojrzenia młodzieńca, ucznia. Przywołuje z pamięci ulice, podwórka zniszczone podczas wojny. Właśnie tam tętni życie osób, które wróciły do Warszawy i próbują na jej zgliszczach odbudować swe życie w otaczającym niedostatku. Wydaje się być to wyczyn heroiczny. Jednak autor nie dramatyzuje, racjonalnie przekazuje obrazy, ze szczyptą młodzieńczego humoru. Z tego powodu książka nie nudzi, zaskakuje językiem swobodnym, chwilami potocznym, zatrzymanym na kartach książki, językiem dawnej warszawskiej gwary. Przewijają się słowa polskie, rosyjskie, gwarowe, niemieckie.

Książkę cechują: ogromna szczerość i bezkompromisowość. Autor ukazuje najbardziej dramatyczne i zarazem humorystyczne scenki z życia uczniów i stolicy. Wraz z nim obserwujemy jak poszerza swe zainteresowania. Z niezmierną ciekawością świata docieka przyczyn zjawisk społecznych i politycznych w zmieniającej się dynamicznie Polsce. A jest to okres trudny. Młodzieniec śledzi wraz z kolegami doniesienia w prasie i radio, obserwuje najbliższe sąsiedztwo i zastanawia się nad realnością zmian na świecie i w kraju. Zatopiony jest w książkach. Przyglądamy się dorastaniu społecznemu ówczesnego pokolenia. Autorowi udało się zachować pewną naiwność i otwartość, która zazwyczaj towarzyszy młodym ludziom w okresie burzy i naporu.

Powieść ma charakter zbioru anegdot, które przedstawione są w formie przygód młodego autora i jego szkolnych przyjaciół. Fabuła jest bardzo wartka, wielowątkowa. Uczestniczy w niej wielu bohaterów z różnych warstw społecznych. Rozwarstwienie środowiskowe przedstawia autor dzięki zabiegom lingwistycznym. Potrafi wspaniale posługiwać się językiem – nowomową oficjela, milicjanta, jak i makaronizmami arystokraty. Zachwyca bogactwo językowe utworu.

Książka ukazując uczniów Batorego, przybliża również ich losy. Są to na pewno dzieci doświadczone boleśnie wojną. Można pokusić się o złożenie ich obrazu psychologicznego. Poznajemy bardzo zróżnicowane, burzliwe życiorysy, a były to dzieci, które straciły rodziców lub takie, które tułały się po świecie bez rodziców i takie, które przeszły obozy, dzieci-żołnierze – czyli: naoczni, mali świadkowie historii. Autor opisuje ich nietypowe zachowania, barwne przygody, perypetie życiowe. Na uwagę zasługuje również opis działań toczących się po szkole na lokalnych podwórkach. Dramatyczne losy chłopców na pewno miały wpływ na ich dalsze życie.

Książka jest świadectwem bogatej przeszłości i kształtowania się świadomości historyczno-politycznej oraz tożsamościowej autora. Fabułą nawiązuje do wspaniałej pozycji Wiktora Gomulickiego „Wspomnienia niebieskiego mundurka." Na pewno warto ją polecić zarówno młodym, jak i dorosłym czytelnikom. Ma charakter edukacyjny, w najlepszym, szerokim tego słowa znaczeniu.

Anna Maria Mickiewicz

WYKRZYKNIKI

BOGATO ZDOBIONY ORGAN MIROSŁAWA MALCHARKA

„Współczesność"

LESZEK SZYMAŃSKI

O „Współczesności" po prostu

W pięćdziesiątą rocznicę założenia „Współczesności" przypomnijmy o ruchu młodzieży twórczej, dziś określanej jako Pokolenie „Współczesności". Był to przełom! Reakcja na socjalistyczny realizm, pierwszy haust wolnej twórczości. Niektórzy historycy i badacze literatury w przypadku „Współczesności" oparli się głównie na wypowiedziach reżimowych pisarzy, mimowolnie lub świadomie przekazując skrzywiony obraz. Źle to świadczy o ich rzetelności. Obowiązkiem historyka jest zdawanie sobie sprawy z kryteriów i tła epoki oraz zastosowanie tej wiedzy do specyfiki opisywanych wydarzeń. Nie wolno opierać się na dawnych wypowiedziach o „Współczesności," zafałszowanych przez cenzurę. Grupa literacka nie mogła istnieć bez manifestu, ale manifest musiał być napisany tak, by został zaakceptowany przez Partię. Dziś, ktokolwiek chce założyć pismo literackie, może je założyć bez deklaracji ideowych. Adam Ważyk wyczuwał nasz kamuflaż. „Co was właściwie łączy? Czym jest wasza grupa?". Łączył nas wiek i wspólne krytyczne spojrzenie na otaczającą nas współczesność. Reprezentowaliśmy nie tylko literatów, lecz całe ówczesne twórcze pokolenie muzyków, aktorów, filmowców, plastyków, a nawet tancerzy. Jerzy Czajkowski, Roman Śliwonik i Jerzy Siewierski... W pamięci utkwiło mi jeszcze parę nazwisk: Marek Hłasko, Stanisław Grochowiak, Okołow, Bohdan Slezkin, Marek Oberlander, Janusz Kieszczyński, Krzysztof Komeda, Wojciech Siemion... Omówiłem to i w artykule w paryskiej „Kulturze", i w wywiadzie Danuty Błaszak. Grupa bazowała zasadniczo na członkach Koła Młodych przy ZLP. Do mojego projektu założenia grupy literackiej szybko dołączył Roman Śliwonik, wtedy głośny autor „My", sławny w poezji, również i jego wtedy nieodłączni koledzy: Wojtek Albiński i Andrzej Chaciński. Eugeniusz Kabatc i Aleksander Wieczorkowski trzymali się na uboczu. Magda Leja była nastawiona wrogo. Ciekawe, że w grupie nie było kobiet.

Grupa „założyła się" formalnie w mieszkaniu Alicji Wankracowej, studentki i koleżanki Jerzego Siewierskiego. Mając grupę, mogliśmy się starać o pismo. Ówczesny minister kultury, Kuryluk, był do nas przychylnie nastawiony i wyasygnował bodaj dziesięć tysięcy złotych, nie na periodyk, ale jednodniówkę.

Zebraliśmy materiały, bynajmniej nie imponujące. Nikt z nas nie miał pojęcia o drukarstwie, ale dołączył do nas Jacek Wilk, zawodowy redaktor techniczny „Expressu Wieczornego". On nam pomógł złamać numer. Dzięki niemu dołączył do nas Andrzej Korczak, jego redakcyjny kolega i towarzysz z partyzantki. Obaj byli od nas starsi. Numer został zmontowany latem 1956 roku. Ukazał się na początku października.

W dalszym ciągu nie mieliśmy zezwolenia na drukowanie pisma, ale udało mi się przeszmuglować datę 1 października tak, że wyglądało to jak numer pierwszy. Ten numer „pierwszy" został przyjęty przez niezwiązanych z nami członków Koła Młodych szyderstwami, drwinami i oskarżeniami o grafomanię. Takie czy owakie, prywatne pismo było w tym czasie bez precedensu. W dodatku przez trik numeru pierwszego było faktem dokonanym. Nieukazanie się numeru drugiego byłoby oskarżeniem o zamknięcie pisma. Pamiętam, że gdy przyjęto mnie do Koła Młodych, odetchnąłem z ulgą, bo jako niepracującemu chuliganowi z więzienną (polityczną) przeszłością, groziła mi deportacja z Warszawy. Szybko przybyło nam współpracowników. Doszli też ludzie spoza Koła Młodych, takich jak Brycht, Nowakowski, Delinikajtis, Irzyk, Słojewski, Z.J. Bolek. Udało mi się też wydębić wreszcie pozwolenie na wydawanie pisma, choć bez przydziału papieru i pieniędzy. Andrzej Korczak dodał nam rozmachu. Wprowadził tytuły małą literą, co było straszliwą innowacją. Zaproponował nawet reformę pisowni. Korczak dostarczył nam tłumaczeń prozy amerykańskiej. Ja wystarałem się o parę artykułów na temat poezji. Pomogli nam też: hinduski członek grupy Kedar Nath oraz George Vaurgise. Numeru drugiego nie było co się wstydzić. Prawdziwa bomba! Na pierwszej stronie widniał wiersz Romana Śliwonika „Braciom Węgrom". Wiersz ten, jak mi doniesiono, wpadł w oko Gomułce i nastąpiła katastrofa. Cofnięto nam zezwolenie. Dwa numery i dwie likwidacje na koncie. Pierwsza była prewencyjna, nim pismo się ukazało. Tow. Józef Cyrankiewicz po „wypadkach poznańskich" zamknął wszystkie pisemka młodzieżowe, ze szlachetnym wyjątkiem „Po prostu". Ta druga likwidacja pisma była sprawą znacznie poważniejszą. Wpadłem na pomysł, żeby przydybać tow. Wiesława na wiecu w Pałacu Kultury. Udało się i dał nam zezwolenie na wydawanie pisma, nadal bez papieru i pieniędzy, a co najgorsze – pod surowym zakazem pisania czegokolwiek o polityce. Warunek, który w owych rozgorączkowanych czasach był równy wyrokowi zagłady, a w opinii publicznej automatycznie przeciwstawił nas „Po prostu".

Przypominam zgryźliwie – organowi byłych zetempowców. Pamiętam, że w czasie mojej krótkiej rozmowy Gomułka poinformował mnie, że czołgi sowieckie były już na przedmieściu Warszawy, że to oni uratowali nas przed rosyjską inwazją i że pisarze nie będą rządzić Polską. Od tego czasu zamykano nas jeszcze kilka razy, bez konkretnych zarzutów, chyba na znak ostrzegawczy, abyśmy nie podskakiwali. Skutecznie, bo stałem się cenzorem własnego pisma, albo by zrobić komuś nas protegującemu na złość. Udawało mi się odzyskać zezwolenie po mniej lub więcej żmudnych staraniach. Pewnego razu zamknięto nas prawie skutecznie, za „ogólnie niewłaściwą" linię pisma. Uratował nas wtedy Zdzisław Jerzy Bolek, chyba jedyny wtedy przedstawiciel proletariatu w naszej grupie. Wysoki blondyn o orlich rysach twarzy, odznaczał się niesłychaną energią i optymizmem. Co najdziwniejsze, znał chyba wszystkich młodszych i starszych pisarzy. To on ściągnął do nas Stanisława Grochowiaka, Mariana Ośniałowskiego, a w pewnym okresie Mirona Białoszewskiego i Zbigniewa Herberta. Zapewnił nam też protekcję Jerzego Putramenta, który słynął z konkretnej pomocy udzielanej pisarzom. Znał też wiele innych ważnych osobistości. Sympatycznie byli do nas ustosunkowani: Jan Wyka, Anatol Stern, Jerzy Broszkiewicz i Stanisław Rembek.

Zezwolenie odzyskaliśmy, ale ciągle byliśmy na własnym garnuszku, bez pieniędzy i niezbędnego przydziału papieru. Sprzedawaliśmy numery pisma na rogach ulic, w kawiarniach i restauracjach, przed kinami i teatrami, w parkach, z ciężarówek. Płaciliśmy honoraria tylko tym, którzy by bez nich zginęli. Nie wedle zasad wierszówki, ale potrzeby. Pewnego razu największe honorarium dostał Marian Ośniałowski, bo w zimie chodził w tenisówkach. Później się okazało, że nie używał on innego typu obuwia, bez względu na porę roku. Kiedyś Leszyn, szef „Helikonu", pożyczył nam pieniądze zebrane w istnej odysei na pismo poetyckie, na które nie dostał pozwolenia. Daliśmy mu parę stron Współczesności na „Helikon". Roman Śliwonik był najwybitniejszą osobą w naszym gronie. Prowadził dział poezji. Andrzej Chaciński był wspaniałym sekretarzem redakcji, Andrzej Delinikajtis zorganizował administrację. To on nas poinformował, że musimy być osobą prawną i zarejestrował jako spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Nasi władcy też chyba się nie znali na prawie, bo zezwolenie otrzymane na moje ręce opiewało na grupę literacką „Współczesność". Jerzy Czajkowski był moim niezmordowanym pomocnikiem. Wiele innych osób, których nazwisk nie pomnę lub których wyliczanie byłoby zbyt nużące w tym miejscu, pomagało nam piórem lub fizycznie

w utrzymaniu pisma. Był to okres bohaterski. Brak pieniędzy zmuszał nas do szukania rozmaitych protektorów, włączając w to Stronnictwo Demokratyczne i PAX. W zamian dawaliśmy im po parę stron, wyraźnie różniących się od reszty pisma. Tak jak zrewanżowaliśmy się „Helikonowi". Oczywiście była to nienormalna sytuacja, nie było możliwości utrzymania politycznej linii pisma i słusznie zarzucano nam lawiranctwo. Odpowiedzieć nie mogliśmy. Cały czas balansowaliśmy na linie i każdy zarzut, oskarżenie czy złośliwość, choćby pomówienie o propagowanie grafomaństwa, mogło nas zlikwidować.

Były sprawy polityczno-kuchenne, mało komu wiadome, ale co było wyraźnie widoczne, to fakt, że w ustroju totalitarnym reprezentowaliśmy „free radical", dość już potężną grupę nie tylko pisarzy, ale młodzieży twórczej i kilka niezłych numerów pisma.

Pewnego dnia Starewicz telefonicznie polecił mi stawienie się w KC. Rozmawiałem tam z tow. Bębenkiem. Ten bez ogródek poinformował mnie, że albo przejdziemy do „Ruchu", albo zostaniemy skutecznie zlikwidowani. Obiecał mi etaty redakcyjne i normalizację wydawania pisma, a na politruka przysłał mi Józefa Lenarta, obiecującego działacza młodzieżowego, redaktora ze „Sztandaru Młodych" i byłego sekretarza Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej. Dorzucono mi jeszcze Tadeusza Strumpfa. Nakaz KC PZPR miałem trzymać w ścisłej tajemnicy, ale oczywiście musiałem poinformować kolegów, choć nie wymieniałem nazwisk.

Józef Lenart, który kiedyś się wyraził, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną, nim ja wydam „Współczesność", teraz awansował na mojego zastępcę. Muszę mu przyznać, że był taktowny i nie panoszył się. Ale okres naszej niepodległości był zakończony. Nakazano mi wstąpienie do partii wraz z kolegami, bez wyznaczenia terminu, ale prędzej czy później.

Wybrałem wolność. Byłem wtedy w Indiach. I tak zaczęło się moje życie emigracyjne, przez Australię do Anglii, z Anglii do USA. Zacząłem pisać po angielsku. Z polskiego pisarza stałem się pisarzem australijsko-amerykańskim. Metody twórczej nie zmieniłem. Do tej pory jestem wierny „Współczesności".

Leszek Szymański

DANUTA BŁASZAK

Realizm „Współczesności"

(Nowakowski, Brycht, Grochowiak, Hłasko, Szymański)

W wielu artykułach encyklopedycznych określa się Marka Nowakowskiego jako twórcę realizmu peryferyjnego. Jest to stwierdzenie bardzo niedokładne. Realizm w literaturze datuje się dosłownie od tysięcy lat i przeżywał swój powieściowy rozkwit w drugiej połowie XIX wieku i na początku XX stulecia. Nie pragnę wdawać się w rozważania historyczno-krytyczne. Muszę więc zastosować pewne uproszczenia.

Marek Nowakowski jest jednym z głównych twórców realizmu „współczesności", który był reakcją przeciw „socrealizmowi". Realizm peryferyjny jest dość zbliżony do naturalizmu, ale różnił się przez swój wybór tematyki i pewien moralizm, wynikający nie z dydaktyzmu, lecz artystycznego efektu. Słowem: nie był to „kawałek z życia", „literatura naukowa", do czego zresztą pretendowała też literatura socrealizmu.

Leszek Szymański wyjeżdża do Australii i udaje mu się opanować język angielski jako narzędzie literackie. Niezwykłe osiągnięcie dla dorosłego człowieka, pisarza, który ma już swoje sukcesy literackie w innym języku.

Szymański i Nowakowski kontynuują swą metodę twórczą. Nowakowski po polsku, Szymański po angielsku. Nie będę się rozwodzić nad twórczością Nowakowskiego. Jest znana w Polsce i słusznie ceniona. Szymański spotyka się z nie mniejszym uznaniem w Australii, ale nie z sukcesem finansowym. Tam ten rodzaj twórczości nie jest czymś nowym.

Zwykle niewygodny zarówno dla wydawców, jak i dla władz – niepożądany i niepopierany. W pismach przeważają cukierkowate opowiadania, przeznaczone dla niepracujących kobiet. Pisma literackie płacą honoraria od ilości sprzedanych egzemplarzy. Szymański nie pisze tak dużo jak Nowakowski, zarabia na życie pracami przypominającymi roboty Londona czy Gorkiego. Na pisarstwo może poświęcać tylko czas wolny od żmudnej pracy zarobkowej i studiów. Kończy trzy fakultety,

uzyskuje stopień doktora nauk historycznych. Jego prace historyczne i biograficzne to materiał na osobny artykuł.

Australijscy krytycy jego prozy literackiej zauważają mistrzostwo formy, realistyczne oddanie języka, zaangażowanie społeczne Szymańskiego i wrażliwość na krzywdę ludzką – wyrządzaną nam i którą my wyrządzamy, choćby nieświadomie.

Zbiór opowiadań Leszka Szymańskiego, zatytułowany „Ucieczka pod Zwrotniki" („Escape to the Tropics") zostaje uznany przez popularny dziennik sydnejski „Daily Telegraph" za książkę tygodnia. Autor recenzji, Frank Morgan, nazywa problematykę opowiadań „bigosem polsko-australijskim" – „Ponura Europa i Niewesoła Australia".

Obaj „współczesnościowcy" kontynuują swe pisarstwo. Nowakowski jest znany w Polsce jako twórca realizmu, Szymański znany jest również jako założyciel „Współczesności".

W roku 2006, w 50. rocznicę powołania ruchu literackiego „Współczesność" Wydawnictwo IBiS opublikowało specjalny numer „Poezji dzisiaj," dedykowany tej znamiennej rocznicy, a jego wydawcy: Aleksander Nawrocki i Barbara Jurkowska byli organizatorami kilkunastu uroczystych spotkań, które poświęcono Autorom i Twórcom „Współczesności," w tym najważniejszej, inauguracyjnej w restauracji „Kamienne Schodki, gdzie odbywały się pierwsze spotkania „współczesnościowców" w latach 1956–58. Na wniosek redaktora naczelnego „Poezji dzisiaj", Aleksandra Nawrockiego, Leszek Szymański otrzymał nagrodę pieniężną Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz został uhonorowany odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej" i przyjęty przez ówczesnego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Kazimierza Michała Ujazdowskiego.

Danuta Błaszak

W restauracji „Kamienne Schodki", październik 2006.

Spotkanie zorganizowane przez Aleksandra Nawrockiego, redaktora naczelnego „Poezji dzisiaj."

W roku 2006, w 50. rocznicę powołania ruchu literackiego „Współczesność", Wydawnictwo Książkowe IBiS opublikowało specjalny numer „Poezji dzisiaj," dedykowany tej znamiennej rocznicy. Aleksander Nawrocki i Barbara Jurkowska-Nawrocka byli organizatorami całości uroczystych spotkań (około 20), które poświęcono Autorom i Twórcom „Współczesności".

Leszek Szymański i Aleksander Nawrocki, październik 2006.

Leszka Szymańskiego wita Aleksander Nawrocki (restauracja Kamienne Schodki).

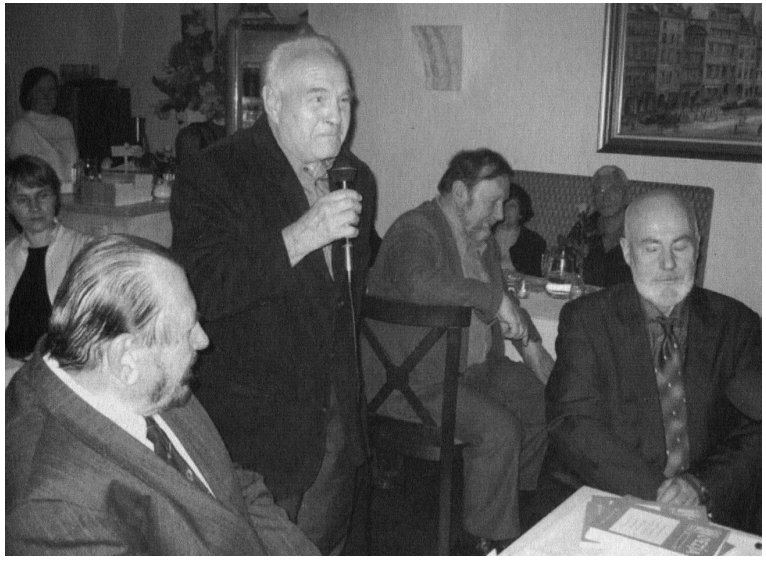

Leszek Szymański, Zbigniew Irzyk (pokolenie „Współczesności"), Ernest Bryll i Aleksander Nawrocki.

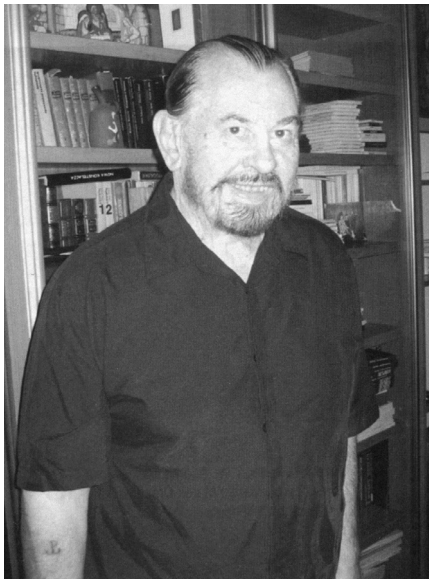

Leszek Szymański w redakcji „Poezji dzisiaj".

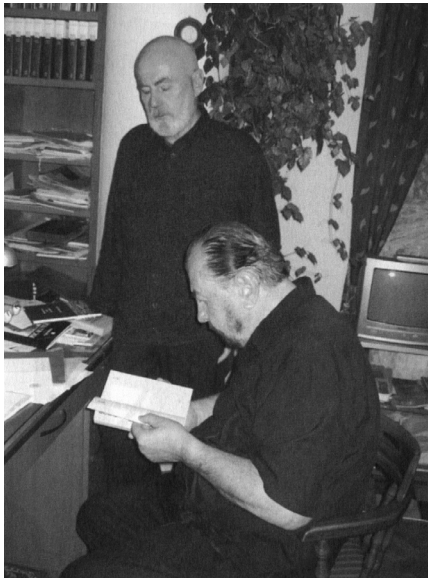

Leszek Szymański z redaktorem naczelnym Aleksandrem Nawrockim w redakcji „Poezji dzisiaj".

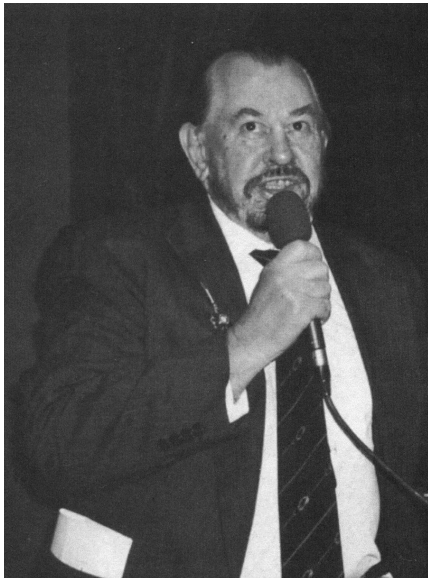

Leszek Szymański dziękuje Ministrowi Kultury i Dziedzictwa Narodowego za odznaczenie „Zasłużony dla Kultury Polskiej".

Rozmowa Aleksandra Nawrockiego z Jerzym Siewierskim o liście wysłanym do Leszka Szymańskiego

AN. Panie Jurku, proszę o odtworzenie fragmentów jednego ze swoich listów, wysłanych do przyjaciela lat szkolnych, Leszka Szymańskiego już po jego wyjeździe z kraju. Niech Pan spróbuje tak, jakby go czytał.

J.S. Postaram się, powiedzmy jego fragment. A więc:

Drogi Leszku. Stałeś się postacią wręcz legendarną. Twoja osoba i redakcja w mieszkaniu na Ludnej doczekała się dziesiątków wspominek. Do zażyłości z „legendarnym twórcą Współczesności" przyznają się zresztą i tacy, którzy cię na pewno nigdy na oczy nie oglądali. Wśród literatów średniego pokolenia należy do dobrego tonu dawać do zrozumienia, że się w młodości przynajmniej otarło o współczesność, że się sprzedawało egzemplarze na ulicy, pijało wódkę z Brychtem i Grochowiakiem, i wyprowadzało na spacer psy pana redaktora Szymańskiego, który był niezwykłym człowiekiem... Legenda o tobie coraz bardziej się ubarwia. Trzy lata temu z ogromnym zdumieniem przeczytałem, że „Założyciel Współczesności Leszek Szymański po wyjeździe z kraju został misjonarzem na Nowej Gwinei, gdzie w połowie lat sześćdziesiątych zjedli go ludożercy, których usiłował nawracać". Kilka tygodni potem ktoś tej wiadomości zaprzeczył i zapewnił, że ocalałeś (choć ludożercy uszkodzili ci nogę) i obecnie prowadzisz prywatne biuro detektywistyczne w Las Vegas. Ktoś inny zapewniał, że pożarł cię rekin a nie ludożercy. Znalazł się i taki autor (znany dziennikarz), który swego czasu dawał do zrozumienia, że będziesz jednym z głównych (starannie strzeżonych przez prokuraturę) świadkiem oskarżenia w procesie o masowe morderstwo w willi Romana Polańskiego....

AN. Znakomicie. Zatrąca o literaturę przygodową i miejscami o kryminał. Czy to wyobraźnia teraz Pana ponosi?

J.S. Wszystkiego tego co powyżej, nie wymyśliłem. Tak naprawdę o Leszku pisali! W każdym razie jedno jest pewne, stał/eś/się osobą, która weszła do historii literatury polskiej i w niej na zawsze już pozostanie, i to mimo tego, że w Polsce żadnej książki nie wydałeś. Jestem pewny, że gdybyś się kiedyś zdecydował odwiedzić stary kraj, to spotkasz się tu z serdecznym przyjęciem ze stron mnóstwa ludzi, o których istnieniu na pewno już nie pamiętasz, I tak np. stale cię wspomina Zbigniew

Irzyk, Jerzy Czajkowski, Roman Śliwonik i Zbigniew Słojewski. Staruszek Jan Wyka (zmarł w r. 1992), ilekroć mnie spotka, zawsze o ciebie wypytuje wykrzykując głośno peany pochwał na twoją cześć. Jeśli nawet w najbliższej przyszłości nie zdecydujesz się nas odwiedzić (zdaję sobie sprawę jak kosztowna jest taka wycieczka), to przynajmniej daj od czasu do czasu znak życia.

AN. Ożywił Pan znakomicie swego niezwykłego przyjaciela.

J.S. Wyszła mi szczera prawda, bez zacięcia. Dodam jeszcze tylko, że: czekam z niecierpliwością na Twój list! Ściskam mocno! Twój Jurek.

Rozmawiał Aleksander Nawrocki

ROMAN ŚLIWONIK

Leszek Szymański – redaktor, pisarz, znakomity organizator, misjonarz

Z takich ludzi wyrastają premierzy, ministrowie, prezesi, świetni organizatorzy. Leszek Szymański powinien zostać ministrem i każdy resort najbardziej nieudolny i pogrążony w niemożności doprowadziłby szybko do rozkwitu.

Leszek Szymański został misjonarzem, gdzieś na jednej z milionów wysp świata, oby dla niego szczęśliwej. Okazuje się, że ludzie z mocnymi charakterami, niecierpliwi, wyznaczeni do czynów, osobnicy, którzy mogą realizować się w postanowieniu, zamiarze wewnętrznym lub zewnętrznym – los swój gdzieś dopadną, dogonią. Chyba, że los ich jest przypieczętowany i wyznaczony z góry, a oni wykonują tylko polecenia. Byłoby to zniewolenie przez jakieś siły straszne, a zarazem ciemne i tajemne, ciekawe, bo los nie wszystkich zauważa.

Czy Leszek Szymański może być (był?) dobrym misjonarzem, pastorem i dusz nawracaczem? Zapewne cechy, które tutaj się w nim ujawniły, są charakterystyczne dla ludzi ciekawych, niespokojnych, poszukujących. Szymański był uparty, konsekwentny, do ludzi z byle powodu się nie zrażał i potrafił ich zdolności, predylekcje czy tęsknoty udrożnić, ukierunkować i wykorzystać dla ich nie dla swego dobra. Czyli misjonarzem był chyba dobrym.

Był człowiekiem niewątpliwie dobrym, bez małych chytrości. Wspominam go ciepło i serdecznie pozdrawiam gdziekolwiek teraz jest. Nie namawiam Go do powrotu, bo i w Polsce mija właśnie czas zdatny dla ludzi energicznych i jak zawsze ludzie wrażliwi zmagają się ze zmęczeniem, gniewem, nadzieją i odrazą. Ludzie naszego Narodu skazani są na doświadczenia zbędne, wyczerpujące i najdziwniejsze jest, że sami dla siebie te tortury tworzą.

Kiedy po raz któryś cofnięto nam zezwolenie na wydawanie gazety („Współczesność"), Leszek Szymański załatwił, wyprosił, wychodził czy wyżebrał audiencję w Białym Domu, w KC, u jakiegoś ważnego dostojnika. Poszliśmy na spotkanie we dwóch, ja byłem potrzebny ze względu na składne mówienie i pełnioną funkcję zastępcy redaktora naczelnego, Leszek, bo był naczelnym redaktorem i w zasadzie nic nie mogło go wyprowadzić z równowagi i przeobrazić jego twarzy, białej, dużej, spokojnej. Ten młodziutki jeszcze człowiek opracował system rozmowy z urzędnikami. Nigdy nie patrzył na rozmówcę, tylko gdzieś nad nim albo obok i mówił, mówił. Głosem monotonnym, równym, bez przerw, obracał jeden wybrany konkret, jak woda obraca młyńskie koło. Tym głosem można było uśpić, zabić, wykończyć każdego.

Ale wygraliśmy nie dzięki mojej słownej urodzie i Leszka dudnieniu, ale dzięki jego gaciom. Długimi, sięgającymi aż na buty i przez to trochę brudnymi. W pięknym, wydywanionym gabinecie dostojnik siedział za wielkim biurkiem, my na niższych fotelach przed meblem i człowiekiem.

Argumentowałem, przekonywałem, cytowałem, może nawet groziłem, że pójdziemy, że dotrzemy. Jeszcze wyżej.

Gdzieś tam. Tylko gdzie? Gdzie my mogliśmy jeszcze pójść? Tylko do nieba, a ono widocznie czuwało nad nami. Dostojnik słuchał, milczał, czasem zaprzeczał i regularnie odmawiał.

W pewnym momencie Leszek wstał, usiadł, rozsiadł się, rozparł na biurku Osoby, postawił na blacie nogę w zabłoconym bucie, podciągnął nogawkę – mężczyźni siadając wykonują ten mechaniczny ruch – a spod spodni wychynął białawo-szary, długi, sięgający buta – gać. Dostojnik patrzył, ja mówiłem, Szymański walił głosem, jak dechą, a zdumiały wysoki urzędnik wpatrywał się, wytrzeszczał, słupiał, z lekka przerażony. Co on wtedy mógł myśleć? Może przebiegało mu po głowie, że ktoś, kto stawia na jego biurku nogę i robi to bez wahania, bez żenady, ze spokojem, jakby siadał u czyścibuta. To taki człowiek może być nie wiadomo kim, znać może nie wiadomo kogo i jest w stanie dotrzeć nie wiadomo, gdzie.

Dostaliśmy kolejne zezwolenie na wydanie jednorazowe i pouczenie, żebyśmy trzymali się z daleka od polityki. Jakby przeczuł, że następne zezwolenie będziemy wyduszać od Władysława Gomułki w kuluarach Pałacu Kultury i gdzie towarzysz Wiesław waląc dłonią w płachtę naszej gazety, w której na pierwszej stronie wydrukowany był mój wiersz „Węgrom" – krzyczał do Eugeniusza Kabatca: „Dlaczego Śliwonik wtrąca się do polityki?!! Dlaczego!!!" Wywrzeszczał się, wywrzeszczał, ale zezwolenie kazał dać. Na jeden numer. Kolejne zezwolenie na wydanie gazety.

Drukowaliśmy na zrywach, na płaskich maszynach drukarni na ulicy Smolnej, byliśmy gońcami, redaktorami, kolporterami, pisarzami, dziennikarzami i przez dwa lata pracowaliśmy za darmo, bez honorariów, bez pensji. Szymański wiedział i my wiedzieliśmy, że trzeba utrzymać tytuł. To nie była wiedza, tylko intuicja i wola przetrwania. Podstawowa grupa to byli ludzie z charakterem. Inteligentni, odważni i zdolni. Cokolwiek by o tym mówili współcześni omawiacze, niewybijający się, w pokoleniu najmniej zdolni, a spełniający w tamtych latach rolę opluwaczy. Istnieją nadal, tacy gdzieś się lęgną i w każdym systemie potrafią zarobić na chleb. I nie są to intelektualiści, chociaż tak się określają, to tylko ludzie o określonej specjalizacji. Mijają, umierają, naszkodzą, a później pies z kulawą nogą o nich nie wspomni.

Nie pochwalałem koneksji z PAX (wystąpiłem wtedy z redakcji), ale i Szymański w porę wyczuł zagrożenie, pojął, że PAX chce mieć całą gazetę i głośny już tytuł dla siebie, bez pisarzy, którzy pismo stworzyli i nadali mu rozgłos, i wykonał następne kaskadersko-polityczne posunięcie. Nocą, powołując się na zezwolenie z Białego Domu, przejął w drukarni materiały do następnego numeru i na drugi dzień wydaliśmy gazetę firmowaną przez „Ruch". W przywódców „PAX" zagranie to strzeliło jak grom z jasnego nieba. A to walnął w nich z zimną krwią Leszek Szymański. Dostaliśmy pierwsze pokoje, etaty, maszynę do pisania. We „Współczesności" zrobili nazwiska najwybitniejsi pisarze pokolenia. I nie tylko jednego pokolenia.

Razem z etatami przyszli wysłannicy partii, pozbywali się nas (świetnego publicystę Jerzego Siewierskiego, Zbigniewa Irzyka, Jana Zbigniewa Słojewskiego). Przyszły nazwiska mierne i jedno średnie. Ostatni naczelny oddał pismo. Jerzy Putrament zmienił tytuł na „Literatura" i został, redaktorem naczelnym. Zarżnęli gazetę. Przetoczyliśmy Leszku, przez czas komunizmu spory, ciężki głaz. Pozdrawiam Cię.

Roman Śliwonik

Przedruk z 52 nr „Poezji dzisiaj" 2006.

Danuta Błaszak w rozmowie z Jerzym Stanisławem Czajkowskim

Czy mógłbyś udzielić informacji o Grupie Literackiej „Współczesność"?

Pomysł utworzenia Zespołu Grupy Literackiej „Współczesność" i dwutygodnika literackiego „Współczesność" zrodził się na przełomie marca i kwietnia 1956 roku. Grupę utworzono we wrześniu 1956 roku, pierwszy numer czasopisma „Współczesność" ukazał się w druku w październiku 1956 roku.

Trzon Grupy Literackiej „Współczesność" stanowili: Leszek Szymański, Jerzy Siewierski-Kwiryn, Zdzisław Jerzy Bolek, Jerzy Stanisław Czajkowski, Zbigniew Irzyk, Andrzej Chaciński, Roman Śliwonik.

Grupa Literacka „Współczesność" przestała istnieć w lutym 1959 roku. Niektórzy jej byli członkowie (Jerzy S. Czajkowski, Jerzy Siewierski, Jerzy Z. Bolek) utworzyli w lutym 1959 roku, w miejsce rozwiązanej Grupy Literackiej „Współczesność", Zespół Literacki „Grupa Warszawska", rozpoczynając działalność opublikowanym na łamach dwutygodnika „Współczesność" manifestem pt.: Sztuka wyboru.

(Kontynuacją Grupy Literackiej „Współczesność" jest Grupa Poetów i Malarzy „Łazienki-Współczesność", która przyznaje doroczną Nagrodę Artystyczną im. Bohaterów Warszawy za twórczość o tematyce patriotycznej i antywojennej).

PS. Korzystam z tego, iż jako współzałożyciel grupy zachowałem wszystkie z tego czasu pieczątki i archiwa dot. działalności grupy „Współczesność".

LESZEK SZYMAŃSKI

Moje środowisko

W 1945 roku pierwsza klasa warszawskiego gimnazjum im. Stefana Batorego miała w swoim gronie wielu chłopców, których nazwiska stały się znane w życiu kulturalnym kraju, a w tym kilku związanych z pismem

„Współczesność". Przypominam sobie Jerzego Markuszewskiego, który był wójtem klasowym, Tadeusza Strumpha, Krzysztofa Teodora Toeplitza, Bohdana

Ślezkina, Zbigniewa Bonieckiego, Zdzisława Pietrzaka, a zwłaszcza Jerzego Kwiryna Siewierskiego; później dobił też Andrzej Dobosz.

Kwiryn siedział jakieś dwie ławki za mną. Uczył się dobrze i należał do grona intelektualistów klasowych, a ja do duraków, więc trzymałem się od niego z daleka. Na dodatek jego ciemnoblond włoski były nienagannie przylizane oraz skrupulatnie nawilżane. Odziany w zabawny kubraczek wyglądał śmiesznie, a jednocześnie poważnie i naukowo. Brakowało mu tylko okularów, by dopełnić profesorskie wrażenie. W dodatku zwykle albo on albo Krzysztof Teodor Toeplitz odpowiadali pierwsi na pytania rzucone ogólnie przez nauczycieli całej klasie.

Zbliżył nas Bohdan Ślezkin.

Bohdan odznaczał się niezwykłą „charyzmą" i swobodnie lawirował między „dużymi", zwanymi też sportowcami; średniakami, takimi jak ja i Kwiryn oraz małymi. Umiał się także znaleźć w towarzystwie takich intelektualistów jak KTT, Strumpf i Kwiryn, jak i takich niewydarzonych jak ja, którzy woleli czytać książki nieobjęte lekturą, od tych wymaganych. Czasem nawet pod ławką. Zwłaszcza na lekcjach matematyki, fizyki i chemii.

Należy tu wzmiankować, że w naszej pierwszej powojennej klasie mieliśmy młodzieńców, którzy przeszli szkołę partyzancką lub brali udział w powstaniu, chłopców trzynastoletnich czternastoletnich; no i zdolne dzieciuchy z „kompletów".

Bohdan był także niesłychanie uzdolnionym grafikiem i karykaturzystą. Zjednywało mu to uznanie i pobłażanie, włączając w to profesorów. Karykatury jego były zabawne, a nie złośliwe. Bohdan już wtedy był prawdziwnym artystą. Potrafił jednak ocenić intelekt i krążył wokół grupy klasowych mędrców. Zapewnił mnie, że Kwiryn nie jest głupi, mimo że się świetnie uczy i nie jest wcale kujonem, a poprawną fryzurę utrzymuje, by sprawić przyjemność matce wdowie, która go wychowywała z mizernej emerytury.

Już wtedy Kwiryn odznaczał się wiedzą opartą na szkolnych wymaganiach, ale za daleko niewychodzącą. Im bardziej posuwaliśmy się w latach, stawał się Kwiryn tym bardziej mym nieoficjalnym korepetytorem. Wiedział o Freudzie, czytał Malinowskiego i Nietschego, orientował się w niemarksistowskich teoriach politycznych i ekonomicznych, a jednocześnie potrafił mi wyjaśnić tajemnicę marksizmu -leninizmu, wkrótce obowiązkowego przedmiotu, który rychło też zastąpił religię. To on poinformował mnie, że wice-dyrektor gimnazjum, Ryszard Rybarski, Łysoń o fizjonomii złośliwego gnoma, choć o dobrym sercu, o czym nie wiedzieliśmy, (a co on ukrywał ze względów pedagogicznych) był przedwojennym znanym ekonomistą. A dyrektor Romuald Beranek i Kukawski, matematyk, byli głównymi

postaciami strajku szkolnego z 1906 roku. Także współzawodniczyliśmy w prywatnym konkursie, kto wpierw przeczyta sto najpopularniejszych książek świata. Lista była zamieszczona w „Przekroju". Wygrałem ja, bo miałem dostęp do lepszej biblioteki. Natomiast Kwiryn twierdził, iż przeczytał „Kapitał" Marksa. Szczęśliwie telewizji, nałogu groźniejszego dla mózgów niż marihuana, jeszcze wtedy nie było. Tak, że nie marnowaliśmy czasu na telewizyjne idiotyzmy.

Kwiryn kontynuował naukę bez trudności. Zdał maturę, poszedł na uniwersytet i zaczął studiować historię. To on nauczył mnie sięgać do źródeł i formułować własną opinię przed konfrontacją z cudzymi. Ja i Ślezkin wypadliśmy ze szkoły przed maturą.

Ślezkin stworzył nielegalną organizację. Piękna E... L. i nie piękny A... K. złożyli donos do U.B. i nastąpiła wsypa. Ślezkin, Bogdan Nowakowski, Andrzej Ociepka i inni organizacyjni ich koledzy zostali skazani na parę lat więzienia. Dowodami rzeczowymi zbrodni była kolekcja pism amerykańskich, butelka po coca-coli i karykatury Stalina, Bieruta i Rokossowskiego oraz łyska Rybarskiego, który prowadził „Czarną księgę", gdzie skrupulatnie notował spóźnienia, naruszenia dyscypliny czy przepisów szkolnych i gdzie nazwisko Ślezkina figurowało z dużą częstotliwością.

Ja do tej organizacji nie należałem, bo akurat byłem poróżniony z Bogdanem przez piękną E... L , ale ponieważ moje antyrządowe„ rewolucyjne" wypowiedzi były znane, tak jak i przyjaźń z Bohdanem, wylądowałem w więzieniu śledczym, pod Pałacem Mostowskich. Tym razem wkrótce mnie zwolniono. Mówię tym razem; bo były i późniejsze poważniejsze historie. Pewnie też wtedy pomogła w wypuszczeniu mnie moja karykatura piórka Ślezkina i nagana jego patriotycznej organizacji, za zamieszczenie fotografii Majakowskiego w naściennym pisemku.

Ze szkół definitywne odpadłem, bo po wydaleniu z Batorego, wyrzucono mnie później także ze szkoły felczerskiej za zbyt wąskie nogawki u spodni i zbyt jaskrawe skarpetki i krawat; bujną wtedy fryzurę połączoną z mickiewiczowskimi bakenbardami, no i za jakąś gazetkę ścienną, która się nie spodobała partyjnemu dyrektorowi tej medycznej akademii. Nie pamiętam, o co poszło konkretnie, ale chyba o zbytni entuzjazm wobec osiągnięć medycyny zachodniej i dyskretny żart o miczurinowskiej jabłonce, co się sama podlewała po skrzyżowaniu z pieskiem. Groziło mi także wysiedlenie z Warszawy jako niepracującemu chuliganowi, ale zacząłem trochę zarabiać pisaniem opowiadań do różnych prowincjonalnych tygodników, a z ważniejszych do „Świata Młodych" i „Szpilek". Udało mi się też

zdobyć trzecią nagrodę na konkursie ZLP za opowiadanie o Mickiewiczu. Przyjęto mnie wtedy do Koła Młodych przy ZLP, czyli miałem oficjalną pozycję „młodego literata".

Zaczynało się wrzenie przedpaździernikowe. Ogłoszono pierwszą amnestię tego okresu. Dla tych drobniejszych przestępców. Ślezkin i jego koledzy wyszli na wolność. Ślezkin, utalentowany stylista, pomagał mi wygładzać moje opowiadania. Niektóre z nich pisaliśmy razem, oczywiście Bohdan je ilustrował. Niestety, nie były akceptowane zbyt często. Parę miesięcy po Ślezkinie i jego towarzyszach wyszedł na wolność mój wujek, Władysław Siła Nowicki, ten wróg PRL, który mi zawsze doradzał powrót do Polski. „Przy wszystkich swych wadach ustrojowych, masz większe szanse jako pisarz w PRL niż za granicą", powiadał i pisał, „Czasem Cię drukują, masz dobre recenzje, ale co znaczysz? Tyle ile zarobisz forsy. Obojętne: pisanina czy sprzedaż kiełbasy! Tu niedrukowany i choćby w mamrze jesteś kimś. A w Anglii co robisz? To samo co w Australii. Czyścisz wychodki".

Niezupełnie to było zgodne z faktycznym stanem rzeczy, ale praca wymieniona przez Wujka nie była mi obca. Ale wróćmy do czasów „Współczesności". Bohdan był wolny, ale nie mógł znaleźć stałej, samodzielnej pracy. Tyle co mu kapnęło ze współpracy ze mną. Jego rysunki bywały odrzucane przez pisma. Obrazów nikt nie chciał nabywać. W końcu paxowskie „Kierunki" zaczęły kupować jego ilustracje. W owym okresie w Paxie znaleźli schronienie byli więźniowie polityczni i programowo niekomunistyczni literaci. Drukowano też przekłady katolickich pisarzy i książki niektórych pisarzy emigracyjnych. Przeważnie tych, którzy wrócili do kraju, jak Cata-Mackiewicza, Wańkowicza i Teodora Parnickiego.

Przez Bohdana poznałem Dobraczyńskiego, Rembeka, Englertową, Brychta, Krzysztonia, Doleckiego, Płacheckiego, Rostworowskiego, Lichańskiego i Kurzynę. Wbrew pogłoskom, do wodza Bolesława Piaseckiego nigdy nie udało mi się dotrzeć.

„Kierunki" drukowały moje eseje na temat literatury angielskiej i amerykańskiej.

Bohdan dość długo poprawiał stylistycznie moje opowiadania, później, gdy się jako tako wyrobiłem, funkcję te przejął Kwiryn. Stylista i krytyk wyśmienitej, niesłychanej erudycji. Kwiryn orientował się świetnie w literaturze zachodniej i teoretycznych prądach literackich. On to skłonił mnie do zaznajomienia się z techniką pisarską Hemingway 'a i Faulknera oraz do samodzielnych studiów anglistycznych.

Skąd czerpał swą wiedze, nie mam pojęcia. Miał o wszystkim swoje zdanie, oparte na faktach często mi nieznanych. Do rzeczywistości podchodził krytycznie, ale obiektywnie. Był często ironiczny wobec siebie i innych. Potrafił wyłapać śmieszności, hipokryzje, posłyszeć syk wody sodowej w najbardziej dostojnych głowach. Fascynowały go dziwactwa i kurioza, fantastyka i mało znane ironie, tajemnice historii i jej ekscentryczne postacie. Kupował natychmiast drukowane pomniki historii. Za pożyczone lub zaoszczędzone na głodowaniu pieniądze. Co gorsza, zmuszał mnie do czytania tych dzieł. Ale miał i bardziej współczesne zainteresowania. Kiedyś zawlókł mnie na wystawę psów. Choć nie miałem ochoty tam się udać, nauczyłem się dużo. Między innymi zrozumiałem jak ogary mickiewiczowskie mogły śpiewać. Innym razem skłonił mnie, bym poszedł z nim na popisy lotnicze na Okęciu. Z jakiejś tam racji tramwaj nie kursował i maszerowaliśmy chyba z dziesięć kilometrów, by podziwiać naszych awiatorów. Nic z tych popisów nie skorzystałem, choć pieski pamiętam do dziś dnia.

Dzieliliśmy też wspólną pasję czytania książek kryminalnych, sensacyjnych i kowbojskich. I pamiętania z nich rzeczy ważnych, jak również rozmaite „trivia". Było to „hobby" niełatwe do uprawiania, jako że książek tego „genre" nie drukowano, z okazyjnym wyjątkiem jakiegoś kryminału, gdzie zbrodniarzem był agent imperializmu. Nie socjrealistyczne „suspense i thrillery" wycofano z bibliotek publicznych. Ofiarą z rodzimych „kryminalistów i sensacjonalistów" padli między innymi Antoni Marczynski, Adam Nasielski (spotkałem go w Sydney) i Romański. Krajowy pisarz westernów, Krystyn Wand, jakoś się trzymał, mimo braku modelu socrealistycznego. Krążyły jednak pogłoski, że zostanie zmuszony do napisania „kowbojskiej" powieści na tle PGR-u. Ponieważ Wand tak się odcinał od rzeszy przeciętnych pismaków reżymowych, oddaliśmy mu cześć w drugim numerze naszego pisma. Wywołało to zgorszenie i potępienie przez czcigodnych Literatów.

Z braku dopływu świeżej literatury tego „sensacyjno-kowbojsko- kryminalnego" pokroju, trzeba było żmudnie szperać za przedwojennymi wydaniami po prywatnych wypożyczalniach. Kupować też stare książki na bazarze Różyckiego, czasem przepisywane na maszynie.

Ostatecznie Kwiryn zasłynął jako twórca oryginalnych powieści sensacyjnych, jak również fantastycznych i groteskowych opowiadań i osiągnął bardzo trudną rzecz w literaturze, stworzenie oryginalnej postaci, w jego wypadku detektywa, który rozwiązywał kryminalne zagadki opierając się na precedensach powieściowych. Pisał też Siewierski oryginalne i cenne prace historyczne. Między innymi opracował dzieje polskiej masonerii.

Kwiryn w okresie powstawania „Współczesności" pomagał mi rozsądnymi radami, krytyką, łączeniem nas z literaturą Zachodu oraz polską literaturą przedwojenną i zwracaniem uwagi na język i gramatykę. Nie znosił niechlujności stylistycznych i umysłowych. Zwykł mnie oskarżać nie tylko o powolny pomyślunek, ale i lepkie myśli. Wspólny pomysł niezbyt oryginalny, ale potrzebny i do dziś dnia niezrealizowany reformy ortografii, nie przeszedł, bo jedyny w naszym gronie student polonistyki, Zdzisław Pietrzak, nie chciał ryzykować gniewu i zemsty profesorskiej, a ja nie miałem naukowych kwalifikacji, by takie niegodziwości proponować.

Bohdan Ślezkin nie tylko dawał nam swe rysunki do „Współczesności", ale ściągnął do nas wielu grafików. Jak wspomniałem miał wielkie zdolności literackie, lecz jego główną pasją była grafika. Z jego kolegów pamiętam szczególnie dobrze Okołowa oraz znakomitego fotografa-artystę, Piotra Krassowskiego.

Inną niezwykłą postacią z okresu powstawania „Współczesności" był pisarz hinduski, Kedar Nath. Spotkałem go podczas Festiwalu Młodzieży w Warszawie w 1953, czy 1954 roku. Było to dla nas pierwsze tchnienie z Zachodu, mam na myśli Festiwal, nie Kedara. W następnym roku Kedar przyjechał na moje i mojego ojca Kazimierza (ojciec był wyższym urzędnikiem Ministerstwa Łączności, lingwistą i specem od umów zagranicznych, autorem mądrych, technicznych książek) zaproszenie do Warszawy i ugrzązł tu na następne dziesięć lat. Nauczył się mówić wyśmienicie po polsku.

Kedar dostarczał mi materiały z literatury światowej i był naszym bezpośrednim łącznikiem z kulturą zza Żelaznej Kurtyny. Dzieliłem z nim literacką biedę w Warszawie, a później w Londynie. On to udowodnił mi, że można pisać w obcym języku, że język jest tylko narzędziem twórczym, a nie mistyczną siłą, tak jak to traktowali Stanisław Grochowiak i Marek Hłasko. Opinia ta ciągle się utrzymuje jako romantyczny zabobon, a jednocześnie łatwizna intelektualna wbrew historii i przykładom ze współczesnej literatury. Greka i łacina były środkami przekazu nie tylko naukowego, lecz i literackiego przez tysiące lat. Język angielski jest językiem twórczym pisarzy, których rodzinna mowa odbiega nieraz diametralnie od angielszczyzny. Podobnie miewa się sprawa z francuskim, a nie tak dawno temu tak było z niemieckim i hiszpańskim. Przybyszewski zasłynął na cały świat jako pisarz niemieckojęzyczny. Józef Conrad Korzeniowski, stylistyczny mistrz angielszczyzny, jest klasycznym przykładem tryumfu twórcy nad tworzywem. Zbliżone mistrzostwo osiągnął Jerzy Kosiński. Kedar nie tylko opanował język polski w mowie, lecz i w piśmie. Znał świetnie literaturę polską. Jednym z jego bliskich przyjaciół był

Jerzy Krzysztoń, który zaprosił go na paxowskie spotkanie z Grahamem Green'em. Ktoś wzmiankował Mickiewicza i ten spytał z głupi frant, „Kto Mickey Mouse?"

Oburzony Kedar wykrzyknął, „Ty brudny szczurze, jak śmiesz drwić z tak wspaniałej myszy!". Brzmiało to znacznie bardziej zabawnie po angielsku niż po polsku.

Zapanowała konsternacja w dostojnym gronie paxowskim, które zapraszało nagminnie zagraniczne znakomitości nie marksistowskiego kroju, ale dwuznacznego oblicza politycznego.

Przez Kedara poznałem George Vourgisa, maleńkiego Hindusa ze stanu Kerala. Vaurgise, który choć pigmejskich wymiarów, posiadał nader okazały mózg i był znakomitym ekonomistą. Już wtedy miał doktorat z USA. W Polsce udało mi się załatwić dla niego stypendium na dodatkowe studia, dzięki prof. Oskarowi Lange. Vourgise również nauczył się po polsku i także przyjaźniłem się z nim w Londynie. Kiedyś Vourgise, który był delikatnego zdrowia, wylądował w szpitalu. Odwiedzając go spotkałem Jana Bieleckiego, który też był tam pacjentem. Bielecki jako kuriozum poinformował mnie, że na sali znajduje się Hindus mówiący po polsku i w dodatku Katolik! Podobnie Krystyna Bednarczykowa oznajmiła mi, że na jej wieczorze autorskim w Ognisku był Hindus, który mówił po polsku. Kedar stał się stałym gościem Oficyny, znajdującej się pod wiaduktem mostu kolejowego, w pobliżu stacji Victoria. Zaprzyjaźnił się z innymi częstymi bywalcami drukarni i redakcji, Feliksem Topolskim i Czesławem Miłoszem. Zaczął bywać w salonach emigracyjnych. Kedar w końcu został wydalony z Polski pod zarzutem szpiegostwa. Następnie wyrzucono go pod tym samym zarzutem z Anglii. Ożenił się z Niemką, redaktorką i osiadł w Berlinie. Podobno w Polsce jest jego syn, z eks-żony, Krystyny Kobylińskiej.

Vourgise wrócił do stanu Kerala, gdzie został profesorem ekonomii. Jego małżeństwo z Polką o kształtach Junony też nie wypaliło.

Inny Hindus – Sonny, który nie zdradzał zainteresowań literaturą, lecz Polkami, też ożenił się z jedną z nich i po skończeniu studiów prawniczych w Polsce, kontynuował je w Londynie i po powrocie do Indii został wziętym adwokatem oraz politykiem. Podobno faszystowskim. To małżeństwo zdaje się, przetrwało.

W Polsce Vourgise i Kedar bywali częstymi gośćmi w redakcji „Współczesności". Pamiętam, że maleńki Vourgise zaprzyjaźnił się nieoczekiwanie z olbrzymem Andrzejem Brychtem, eks mistrzem bokserskim ciężkiej wagi. Brycht, zwykle szorstki, obdarzony tubalnym głosem, w obecności Vaurgisa jakoś łagodniał, robił się miły i grzeczny. O czym rozmawiali nie wiem. Coś tam długo szeptali.

Dziwna i urocza to była przyjaźń. Złośliwi przezywali ich kornak i jego słoń, ale tylko za plecami Brychta, który miał skłonności do rękoczynów.

Andrzej Brycht był talentem na miarę Marka Hłaski, ale jak to powiedział Kwiryn, w dość niefortunnym kontekście; Marek był zjawiskiem politycznym. Gdyby Brycht otrzymał tyle uwagi i poparcia co Hłasko, jego sława byłaby nie mniejsza.

Brycht miał jednak swe dnie w słońcu. Skończyło się to, gdy zdecydował się wybrać wolność. Okazało się, że „Zachód" był nie tyle zainteresowany wartościami literackimi polskich pisarzy, ile ich wartością propagandową. Brycht usiłował pisać po angielsku. Nic mu z tego nie wyszło. Wrócił do Kraju. Nie odzyskał jednak utraconej popularności.

Zapomniano go. A raczej Cenzura zapoznała go w czasie jego nieobecności, zakazując druku jego książek. Zmarł w Kanadzie nie otrzymawszy nagrody Nobla, o której marzył. Cenzura przydusiła także i mnie. Do tej pory żadna z mych książek nie ukazała się w Kraju. Także przez wiele lat się dziwiłem, że ludzie, którzy mnie w Polsce ledwo co znali, albo którym wyświadczyłem różne przysługi, wyrażali się o mnie negatywnie lub zgryźliwie. W końcu dowiedziałem się, że byłem na różnych listach cenzury w różnorakich okresach politycznych. Czasem wolno, a nawet należało pisać o mnie przedstawiając mnie jako szubrawca. Kiedy indziej w ogóle nie wolno było Szymańskiego wzmiankować, zwłaszcza, gdy któraś z moich książek się wreszcie wybiła. Czasem można było pisać o mnie względnie obiektywnie, ale przy tym jakoś uszczypnąć, Tak więc, że jak nic już gorszego, to przynajmniej byłem niechlujny i nieostrzyżony, w brudnej koszuli i śmierdzących skarpetkach, tłusty i obleśny, no i niepłodny pisarz. W gorszych okresach byłem sprzedajnym pismakiem, wręcz grafomanem. O moich książkach, o ile mi wiadomo, jedynie wspomniał profesor Marian Drozdowski.

Czasem spotykam rozmaite osoby, najczęściej poetów (rozmnożył się ten ludzki gatunek niesłychanie) i to tak się dziwnie składa, że napotykam ich głównie w Los Angeles, którzy mnie pamiętają z okresu redagowania pisma na ulicy Ludnej 4 m. 9. Andrzeja Kaweckiego spotkałem w Chicago. Jerzego Tuszewskiego w przedsionku polskiego radia, Józefa Drewniaka, w Sydney. Wojtka Siemiona w londyńskiej Oficynie Bednarczyków. Parę osobistości, których nazwisk niestety nie pomnę, w bibliotece POSK i w Ognisku na Cromwell w Londynie.

Niektórych ludzi, zwłaszcza związanych bezpośrednio z redakcją, pamiętam dobrze, innych gorzej. W niniejszym szkicu nie pragnę nikogo lekceważyć, nikomu uwłaczać, przeprowadzać selekcji, po prostu opieram się na bardzo zawodnej pamięci.

Niektóre przyszłe wielkości, jak Piotr Wierzbicki, były mi mało znane. Z innymi, jak z Andrzejem Doboszem i Markiem Nowakowskim, nie utrzymywałem bliższej znajomości. Nawiązywał i utrzymywał kontakty z pisarzami Andrzej Chaciński, nieoceniony niesłychanie solidny sekretarz redakcji, na którym można było polegać jak na Zawiszy, w odróżnieniu od często narwanego Andrzeja Korczaka. Andrzej Chaciński – wysoki, bardzo przystojny, spokojny opanowany i zawsze rozsądny, bywał często i mądrym doradcą. Z Andrzejem ponownie się zaprzyjaźniłem w Londynie i jeszcze raz, wiele lat później w Australii.

Chaciński w owym okresie przyjaźnił się z Romkiem Śliwonikiem i Wojtkiem Albińskim. Roman Śliwonik, również wysoki i dystyngowany, cieszył się sławą przyszłego poety laureata. Na swym poetyckim polu był nie mniej znany niż Marek Hłasko w prozie. Prestiż Romka pomagał mi niesłychanie w utrzymaniu pisma na powierzchni. Prócz tego Śliwonik był świetnym redaktorem i prowadził mnóstwo spraw administracyjnych. Bardzo reprezentacyjny, błyskotliwy i wygadany, nie dający się zbić z tropu, często towarzyszył mi w żmudnych wędrówkach po gabinetach różnych wysokości i w nie mniej żmudnych pertraktacjach, gdzie trzeba było uważać na każde słowo i pamiętać obustronne obietnice i zobowiązania.

Stronę techniczno-administracyjną uporządkował nam Andrzej Delinikajtis, poeta, który prócz uzdolnień swego helikońskiego urzędu odznaczał się przyziemnymi zdolnościami urzędniczymi oraz największym między nami doświadczeniem w tej mierze. Prawnik z wykształcenia, mimo młodego wieku ze stażem w Polskim Radio, omal nie zemdlał zobaczywszy bałagan, w jakim trzymałem wszelkie sprawy urzędowe. On to zaprowadził księgę korespondencji, liczbę dziennika, kartoteki personalne, zakupił słowniki ortograficzne, a przede wszystkim nadał nam osobowość prawną, bo nie mieliśmy nawet pojęcia, że taka istota posiada byt poza sferą idei platońskich.

Andrzej przychodził do bezpłatnej pracy regularnie i punktualnie. Przypominam tu, że nikt z nas nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia za swą pracę. Nikt tego nie żądał (z jednym wyjątkiem, który anonimowo wspomniałem na innym miejscu). Jak wspomina Roman Śliwonik, o pieniądze się nie kłóciliśmy nigdy. O wszystko inne, zwłaszcza linię pisma, nałogowo.

Delinikajtis załatwiał telefony. Odpisywał na listy. Dwoił się i troił. Rozmawiał z poetami i innymi mniej lub więcej natarczywymi młodymi twórcami. Dawał cenne uwagi na zebraniach redakcyjnych. Orientował się w polityce. Starał się zaprowadzić jaki taki porządek w naszym twórczym chaosie i nawet mu się to udawało. On to zdeponował owe słynne zezwolenie na pismo w banku, gdzie też

otworzył nam konta. Do tej pory trzymałem to ważkie pozwolenie w szkatułce, obok nocnika, pod łóżkiem.

Inną podporą redakcji był poeta Jerzy Czajkowski. Niesłychanie przystojny, inteligentny i obrotny, prowadził dział łączności z czytelnikami, działy organizacyjne i nawet dział zagraniczny i młodzieży szkolnej. Jerzy załatwiał mi wiele spraw. Często go delegowałem jako swego przedstawiciela do załatwiania rozmaitych zawiłych kwestii. Umiał przecinać węzły gordyjskie. Mogłem też na nim polegać i w sprawach prywatnych. Np. otrzymywaliśmy darmowe bilety na sztuki teatralne, opery, wystawy. Właściwie nikt poza Jerzym nie miał ochoty na te super intelektualne rozrywki. Więc, by nie marnować biletów, wysyłałem Jerzego jako naszego ambasadora, a zarazem i recenzenta. Wywiązywał się ze swych dobrowolnie przyjętych obowiązków dyplomatyczno-literackich bez zarzutu, pod każdym względem, bo dodawałem mu dla towarzystwa moją żonę Jadwigę, eks-miss piękności, której nie mogłem poświęcić należnego czasu. Trzema zadziornymi muszkieterami, właściwie bombardierami działu krytyki, byli Zbigniew Irzyk, Jerzy Łojek i Zbigniew Słojewski. Oni to nadali wysoką rangę krytycznoliteracką naszemu pismu, a przy sposobności zasłynęli jako mordercy starych. Teodor Parnicki wystraszył się, gdy mu doniosłem, że Słojewski będzie pisał o jego „Końcu Zgody Narodów". Zapomniałem dodać w swym liście, że Zbyszek bardzo sobie cenił Parnickiego.

Słojewski podchodził do świata z szyderczym uśmiechem, świadomy wyżyn swego intelektu. Bawiły go jego własne zmyślone historie. Nabrał mnie swym sfingowanym wywiadem z księdzem Pirożyńskim „Boyowej" renomy. Powinienem był to sprawdzić, ale zaufałem zdrajcy, który chyba przez tydzień nie mógł się powstrzymać od śmiechu na mój widok. Nabrać nie tylko naiwną publikę, ale własnego naczelnego, chyba to nie często się zdarza. KC trochę się krzywiło, bo były jakieś protesty ze strony kościelnej. Nie bardzo chcieli wierzyć w mą niewinność, ale przebaczyli. Większą pretensję mieli, że Czajkowski i Ośniałowski drukowali u Grydzewskiego. Był także donos, że Roman Śliwonik kontaktuje się ze szpiegami angielskimi. Chodziło o to, że w „Kameralnej" Romek spotkał grupę kapitana Tadeusza Kutka, który korzystając z październikowej odwilży, nawiązał kontakty turystyczno-handlowe z PRL. Romek zapraszał mnie do ich stolika. Musiałem odmówić. Tadeusz Kutek odgryzł się wiele lat później, gdy mu redagowałem „Fregatę". Z perspektywy czasu wydaje mi się dziwne, że tolerowano mą znajomość z Edwardem Symons'em, attaché kulturalnym ambasady USA i autentycznym agentem wywiadu. Być może zbierano materiały do mego przyszłego procesu? W każdym razie ja brałem wścibską ciekawość Symons'a za dobrą monetę.

Wracając do Zbyszka Słojewskiego. Pamiętam, że w jakimś piśmie krajowym przytoczył anegdotkę o Karolu Zbyszewskim, który w owym czasie był redaktorem naczelnym londyńskiego „Dziennika".

„Skąd on to wie o mnie", dopytywał się Zbyszewski. „Ja zupełnie sobie tego nie przypominam."

„Panie Karolu", uspakajałem go, „niech się Pan tym nie przejmuje. Jeśli nawet tak nie było, to Zbyszek to stworzył i tak to przejdzie do potomności."

Zbyszek Irzyk, niesłychanie miły i łagodny, pisywał rzetelne i dogłębne krytyki literackie. Nie dawał się ponosić fantazji jak Jan Zbigniew Słojewski. Pisze świetnie i dogłębnie do dziś. Uwielbiał spotkania z czytelnikami i rozmowy. Dziwne, że tak krwiożercze opinie wychodziły od tak dobrodusznego młodzieńca. Jego przyjaciel, Jerzy Łojek, odznaczał się nie mniejszym zacięciem, a prócz tego jawnie głoszoną nienawiścią do komunizmu i... Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Było wielu chłopców, którzy kręcili się na peryferiach „Współczesności", ale ostatecznie wybrali inne kariery niż literackie. Takim był Zdzisław Pietrzak, który został pedagogiem i polonistą, Zbigniew Boniecki znany dziennikarz i Wojtek Albiński, który odbił od literatury na wiele lat, by ostatecznie powrócić i zostać wziętym pisarzem. Marek Piestrak jest znakomitym reżyserem filmowym o dużym i klasycznym już dorobku. Piotr Krassowski nadal świetnie fotografuje. Tchorek wyjechał do Izraela. Iwo Płachecki, Władysław Łukomski, Jerzy Falkowski i Z.J. Bolek zginęli tragicznie.

Prócz tych i wielu innych osób, istniała jeszcze grupa bardzo ważnych ludzi, o których Roman Śliwonik przypomina w swej książce. Byli to rodzice. Większość nas mieszkała z rodzicielami. Samodzielne mieszkanie w Warszawie dla młodzianów w naszym wieku było prawie niemożliwością. Rodzice pomagali nam materialnie. Wspierali i dodawali otuchy. Mój ojciec Kazimierz udostępnił nam jeden pokój dwuizbowego sublokatorskiego mieszkania. Moja matka Halina znosiła cierpliwie rozwrzeszczaną, niechlujną hołotę, która ochrzciła się cyganerią; i ustawicznie dzwoniący telefon, wielki rarytas w owych czasach, przyznany nie nam, a mojemu ojcu, wyższemu urzędnikowi Ministerstwa Poczt i Telegrafów, autorowi fachowych książek, których do dziś nie potrafię zrozumieć.

No i były też dzielne żony, Niezbyt wiele, ale były: Ania Siewierska i Jadwiga Szymańska.

Brakowało jakoś „girlfriends" i żeńskiej młodzieży literackiej. Jedyna wybitniejsza osoba tego gatunku, Magda Leja, nienawidziła mnie. Agnieszka Osiecka i Monika Kotowska trzymały się Marka Hłaski.

Skąd ten brak dziś tak licznych poetek, pisarek, dziennikarek itp., niech wyjaśni ktoś mądrzejszy ode mnie. Ja kobiet nie wyganiam, mogą o tym zaświadczyć z trzech kontynentów moje byłe małżonki.

Danuta Błaszak

STANISŁAW STANIK

O Leszku Szymańskim

Urodził się w Warszawie w 1933 roku jako syn Kazimierza i Haliny z domu Podgórskiej. Jego ojciec był wyższym urzędnikiem pocztowym i autorem książek technicznych, matka zaś pianistką. Lata II wojny światowej Szymańscy przeżyli w Krakowie. Po zakończeniu działań wojennych wrócili do Warszawy. Tu Leszek uczył się w Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, a później w szkole felczerskiej i na wydziale Orientalistyki. Ani szkoły felczerskiej, ani uniwersytetu nie skończył. Zaczął tworzyć. Od 16 roku życia udawało mu się dorabiać piórem, debiutując w „Szpilkach", a potem pisując do „Świata Młodych", „Kobiety i Życia" i innych mniejszych i większych pism. Wszystkie płaciły wysokie honoraria. W 1954 roku został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa za przygotowanie ucieczki poza granicę PRL. Rozpoczynająca się w tym czasie „odwilż polityczna" uchroniła go od wyroku. Zwolniono go z aresztu po kilku miesiącach śledztwa. Leszek w 1955 roku otrzymał trzecią nagrodę za opowiadanko o Mickiewiczu i został przyjęty do Koła Młodych Związku Literatów Polskich. Z części jego składu zainicjował założenie grupy literackiej, z miejsca do niego dołączył Roman Śliwonik, wtedy głośny autor „My", Jerzy Siewierski i inni. Formalnie grupa była powołana w mieszkaniu Alicji Wankracowej, studentki, a właściwie jej rodziców; mieszkanie to znajdowało się na wałach Woli. W oparciu o grupę postanowiono, z pomysłu Leszka, wydawać własne pismo, „Współczesność" (w opozycji do książki „Rzeczywistość" Putramenta), mając przede wszystkim na względzie możliwość druku i pewną niezależność od „układnych" redaktorów z pism szczególnie partyjnych. Pierwszy numer został złamany dzięki pracy redaktora technicznego z „Expressu Wieczornego," Jacka Wilka. Dołączył do niego kolega redakcyjny oraz z partyzantki, Andrzej Korczak i numer

pisma, zmontowany jeszcze latem 1956 roku, z datą 1 października mógł ukazać się jako jednodniówka. Nie było pozwolenia na drukowanie pisma, ale ponieważ „przeszmuglowano" oznaczenie druku numeru 1, cenzura pozwoliła na wydanie numeru 2 i następnych, i tak zrodziło się pismo.

Jego redaktorem naczelnym został od początku Leszek Szymański.

W numerze 2 zamieszczono manifest, pisany pod wymogi władz, przez samego naczelnego. Ale już i z numerem drugim zaczęły się kłopoty. Redaktor naczelny pisma tak wspominał: „Numeru 2-giego nie było co się wstydzić. Była to prawdziwa bomba! Na pierwszej stronie widniał wiersz Romana Śliwonika „Braciom Węgrom". Wiersz ten wpadł, jak mi doniesiono, w oko Gomułce i nastąpiła katastrofa. Cofnięto nam zezwolenie. Dwa numery i dwie likwidacje na koncie. Pierwsza była prewencyjna, nim pismo się ukazało." Trzeba dodać, że wiersz Śliwonika odnosił się do wypadków rewolucji węgierskiej i wywoływał obawy władz polskich co do ich wpływu na losy polskie po „wypadkach poznańskich".

Leszek miał uzasadnione obawy co do swojej przyszłości, bowiem – jak wspominał: „Pamiętam, że gdy przyjęto mnie do Koła Młodych, odetchnąłem z ulgą, bo jako niepracującemu chuliganowi z więzienną (polityczną) przeszłością, groziła deportacja z Warszawy. Ta druga likwidacja była już na serio." Ale redaktor prowadził mądrą i jednocześnie nieustępliwą politykę. Pisał: „Ktokolwiek nas słusznie krytykował, był zaproszony do współpracy i polepszenia pisma. Takie podejście przyniosło sukces. Przybyło nam współpracowników. Doszli też ludzie spoza Koła Młodych, tacy jak Czajkowski, Brycht, Nowakowski, Delinikajtis, Irzyk, Słojewski, Z.J. Bolek. Udało mi się też wydębić wreszcie pozwolenie na wydawanie pisma, choć bez przydziału papieru i pieniędzy."

Dalej trwały perturbacje z wydawaniem „Współczesności." „Pewnego razu – wspominał Szymański – zamknięto nas prawie skutecznie, za ogólnie niewłaściwą linię pisma. Uratował nas wtedy Zdzisław Jerzy Bolek. Chyba jedyny wtedy przedstawiciel proletariatu w naszej grupie. Wysoki blondyn o orlich rysach twarzy, odznaczał się niesłychana energią i optymizmem. Co najdziwniejsze, znał chyba wszystkich młodszych i starszych pisarzy. On to ściągnął do nas Stanisława Grochowiaka, Mariana Ośniałowskiego, a w pewnym okresie Mirona Białoszewskiego i Zbigniewa Herberta. Zapewnił nam też protekcję Jerzego Putramenta."Ale kłopoty nie skończyły się – przynajmniej za kadencji Szymańskiego – nigdy. Pisał: „Zezwolenie odzyskaliśmy, lecz ciągle byliśmy na własnym garnuszku, bez pieniędzy i niezbędnego przydziału papieru. Sprzedawaliśmy numery pisma na rogatkach ulic, w kawiarniach i restauracjach, przed kinami

i teatrami, w parkach, z ciężarówek. Płaciliśmy honoraria tylko tym, którzy by bez nich zginęli." „Brak pieniędzy – kontynuował – zmuszał nas do szukania rozmaitych protektorów, włączając w to Stronnictwo Demokratyczne i PAX. W zamian dawaliśmy po parę stron, wyraźnie różniących się od reszty pisma."

Rezerwa, a nawet ciągłe próby likwidacji pisma zakończyły się, przynajmniej dla Szymańskiego, niespodziewaną rewoltą w jego życiu. Było to tak (wspominał): „Pewnego dnia Starewicz telefonicznie polecił mi stawienie się w KC (PZPR) . Rozmawiałem tam z tow. Bębenkiem. Ten bez ogródek poinformował mnie, że albo przejdziemy do „Ruchu," albo zostaniemy skutecznie zlikwidowani. Obiecał mi etaty redakcyjne i normalizację wydawania pisma, a na politruka przysłał Józefa Lenarta, obiecującego działacza młodzieżowego, redaktora ze „Sztandaru Młodych" i byłego sekretarza Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej. Dorzucono mi jeszcze Tadeusza Strumpfa. Nakaz KC PZPR miałem trzymać w ścisłej tajemnicy, ale oczywiście musiałem poinformować o tym kolegów, choć nie wymieniałem nazwisk. Józef Lenart, który kiedyś się wyraził, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną nim ja wydam „Współczesność", teraz zaawansował na mojego zastępcę. Muszę mu przyznać, że był taktowny i nie panoszył się. Ale okres naszej niepodległości był zakończony. Nakazano mi wstąpienie do Partii wraz z kolegami, bez wyznaczania terminu, ale prędzej czy później. Wybrałem wolność."

Szymański, opuszczając stanowisko redaktora naczelnego „Współczesności", wyjechał za granicę; miał za sobą nie tylko działalność urzędniczą, ale i wyjątkowo sprawną aktywność twórczą. Napisał manifest programowy do pisma, ale i liczne artykuły problemowe o zjawiskach współczesnej literatury (np. w „Codziennych sprawach młodych pisarzy" poruszał problemy pokoleniowe, bytowe, związkowe, polityczne pokolenia twórców wchodzących w życie). Zamieszczał (nie tylko we własnym piśmie) opowiadania, jak te np.: „Podróż do Krzyżanówka", „Omega", „Epitafium dla kułaka" i „Ucieczka do tropików".

Miał zatwierdzoną książkę do druku w PAX-ie, z którym utrzymywał kontakt przez Bohdana Ślezkina, Jerzego Krzysztonia, Stefana Lichańskiego, Stanisława Rembeka. Tłumaczył dla tego wydawnictwa literaturę z angielskiego. Pomagał wreszcie Parnickiemu w sprawach finansowo – wydawniczych, co potem zaowocowało dowodami wdzięczności starszego pisarza. Miał w kieszeni umowę i na drugą książkę.

Będąc w sytuacji kryzysowej jako człowiek niechętny polityce ówczesnych władz, a otrzymawszy jeszcze w 1958 roku nagrodę ufundowaną przez Teodora Parnickiego, zdecydował się wyjechać do Indii, by przeprowadzić wizje lokalną

do swej książki o panowaniu Greków w starożytnych Indiach. Wpływ Parnickiego na młodego wówczas pisarza był bardzo silny. W Indiach przebywał w Ashramie u podnóża Himalajów w Rishikesh. Posyłane do kraju, na adres Mirosława Malcharka, artykuły, które ten miał przepisywać, a były to reportaże z pieszej wędrówki po Indiach wraz ze słynnym Vinobaji, i pobytu w ashramie Shri Shivananda, w kraju szły do kosza. Wkrótce wyjechał dalej – na Filipiny, które wywarły na nim wielkie wrażenie i pozostawiły ślad na całe życie (trzecią jego eks-żoną została Filipinka, Viki Albuera, z którą ma dwóch synów).

Przebywając w Indiach przeżywał rozterki duchowe, które wzmogły się jeszcze bardziej na Filipinach. Rozważał możliwość poproszenia o azyl i skazania się na pozostanie na obczyźnie. Ostatecznie wybrał zwykłą emigrację do Australii. Do pozostania za granicą namówili go Arthur Koestler, Bolesław Wierzbiański i prof. Janos Horvath, pośrednio Jerzy Giedroyć, który obiecywał mu wydać książkę, ale ponieważ zmiana opcji przez Szymańskiego była dyskretna i nie wywołała wrzawy w kraju, odstąpił od projektu.

Szymański pragnął utrzymywać się z pióra, więc zaczął pisać po angielsku. Na razie w „Wiadomościach Polskich" w Sydney ukazywały się po polsku jego powieści „Żywot codzienny państwa Wiśniewskich w Sydney" i przedrukowana w Anglii i USA „Narzeczona z ogłoszenia". Nie udało mu się jednak utrzymać z pisarstwa. Szymański zatrudniał się, gdzie się dało: strzygł owce, pracował w buszu, był czyścicielem wychodków, kopał rowy pod telefony i pracował jako pomocnik mechanika na kolei NSW w Sydney, przy tym pomagając Janowi Duninowi Karwickiemu wydawać „Wiadomości Polskie".

Jego pierwsza książka (wszystkie poza jedną ukazały się po angielsku), „Escape to the Tropics and the other Stories" (1964), zdobyła sobie w Australii uznanie, była nawet ogłoszona „książką tygodnia". Przez niektórych Australijczyków została określona mianem najlepszego zbioru małych form po wojnie pod względem obserwacji socjologicznej. Zachwycano się „bigosem" polsko-australijskim, umiejętnością pochwycenia slangu australijskiego. Kilka opowiadań powstało na miejscu, za granicą, ale znalazły się tu także drukowane w pismach polskich, teraz przetłumaczone, jak te ze „Współczesności", wyszczególnione wcześniej, a poza tym „Bezrobotny" („Kronika"), „Kangur na Zielonym Wzgórzu" i „Kangur na płonącej krawędzi" („Nowiny"), „Cena pistoletu" („Słowo Powszechne"), „Ich własny pokój," („Kontynenty"). Wydawca załączył adnotację, że wszystkie charaktery i zdarzenia w tej książce są fikcyjne, co oczywiście miało tylko wzniecić zainteresowanie akcją. W informacji osobnej zaznaczano, że Szymański dwa razy podpisywał

kontrakt na publikacje swoich opowiadań (w kraju), lecz w obydwu przypadkach zostały one wstrzymane przez cenzurę, a tym samym autor stał się reprezentantem „czarnej literatury" dla krytyki. Kiedyś sygnalizowano powstanie książki „Drunken Maniana" (kontakt nawiązał jeszcze w Polsce Sergio Angeli, szmugler „Doktora Żywago"), powieści o Polskim Październiku, ale Szymańskiemu zabrakło rozgłosu.

Lecz wracając ku debiutanckiemu zbiorowi nowel warto zauważyć, że spotkał się z dużym zainteresowaniem recenzentów. Artur Koestler, który był usłużnym impresariem dla młodych pisarzy, napisał m.in.: „Dla Australijczyków lub innych ludzi interesujących się bezkresną i nową krainą, opowiadania Szymańskiego mają dodatkową wartość. One oddają realistyczny wizerunek życia emigrantów. Stając z tej czy z drugiej strony „żelaznej kurtyny", autor zawsze sympatyzuje z pokrzywdzonymi." Z kolei mieszkający w kraju znany pisarz Stanisław Rembek na kanwie tych opowiadań napisał m.in.: „Jego (Szymańskiego) literatura stara się wyławiać najbardziej charakterystyczne fenomeny życia." Oczywiście, pisarz chwalił trafność obserwacji pisarza, wierność realiom, opanowanie sztuki zainteresowania uwagi czytelnika, itd.

Drugą pozycją książkową, jeszcze w okresie australijskim, był zbiór opowiadań przygodowych „On the Wallaby Track" (Londyn, 1965), z dedykacją dla żony Jadwigi. Tytuł książki można w przybliżeniu przetłumaczyć jako „Na szlaku", względnie „Na kangurzym szlaku". Forma graficzna – jak zaznaczył autor – była możliwa dzięki Krystynie i Czesławowi Bednarczykom. Akcje opowiadań, a są ich cztery („On the Wallaby Track", „The Heart", „Slaver in Paradise" i „The Cure") połączone są osobą bohatera (Skrzetuskiego – pseudonim z konspiracji) dzieją się w północnej Australii i na Nowej Gwinei. Autor posłużył się tzw. „pidgin English", znanym czytelnikom z książek Londona (później swą biografię Szymański porównał właśnie do biografii Londona i Gorkiego). Opowiadania z tej książki były drukowane w całej Europie, a szczególnie w Holandii. Wzmianka o niej ukazała się m.in. w angielskim czasopiśmie „Times Literary Supplement". W USA czołowe opowiadanie ukazało się w „Short Stoires International".

Kolejną publikacją Szymańskiego w Australii była książka „Living with the Weird Mob" („Życie z dziwakami") – zbiór esejów na temat życia wśród Australijczyków, Anglików i Amerykanów, wydany w Los Angeles. Autor próbuje odzwierciedlić języki, zwyczaje i osobliwości tych trzech nacji.

W Australii w tym czasie nie było prawie książek w języku angielskim o polskich losach w czasie II wojny światowej w kraju. Były takie publikacje o czeskim, francuskim, także niemieckim ruchu oporu, nie było natomiast o Polskim Państwie

Podziemnym i o Powstaniu Warszawskim. Odpowiedzią na miejscowe zapotrzebowanie w tym zakresie stał się album historyczno-fotograficzny pt. „Warsaw Aflame the 1939-1945 Years," opracowany przez znanego grafika, Czesława Białasiewicza, z tekstem głównie Leszka Szymańskiego, ale poszerzonym o uzupełnienie Tadeusza Bieleckiego (Los Angeles, 1973). W „Forword" zaznaczono, że jest to pierwsza popularna opowieść o Warszawie z czasów długich lat niemieckiej okupacji, a ujęta chronologicznie, miesiąc po miesiącu, była wstrząsającym dokumentem (ilustrowanym czarno-białymi fotografiami), który spotkał się z żywym odbiorem krytyki (drukowała bardzo dobre recenzje), niestety, nie stała się ta książka sukcesem finansowym.

Z Australii wyjechał Leszek Szymański do Anglii dzięki pomocy Józefa Mackiewicza. O tym etapie życia Szymański tak napisał: „Mackiewicza spotkałem w Monachium. Był miły i gościnny, i dał mi list polecający do Karola Zbyszewskiego. Zbyszewski i Aleksander Bergman pomogli mi dostać (w Anglii) pracę w „Dzienniku Polskim." Wywalił mnie Wiesław Wohnut (naczelny), chyba na złość Mackiewiczowi, Zbyszewskiemu i Bergmanowi, no, bo jak twierdził – czym skorupka za młodu nasiąkła, tym na starość trąci. Chodziło mu o [moje] szkoły komunistyczne. Później redagowałem kapitanowi Tadeuszowi Kutkowi „Fregatę" (...). Kutek się na mnie odgryzał, za to, że kiedyś musiałem go zignorować w „Kameralnej". Pilnowałem też diamentów Jej Królewskiej Mości w British Museum."

W Anglii przebywał Szymański kilka lat. W czasie wolnym studiował na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie – PUNO. Uzyskał tam stopień naukowy doktora filozofii, a także B.A. z literatury polskiej na London University. Jeśli dodać, że później, po wyjeździe do USA, uzyskał dyplom magisterski z nauk politycznych na CSU w Kalifornii – okaże się, że jego wykształcenie było wszechstronne i zdobywane w wielu miejscach, niestety, duch niespokojny pisarza nie pozwalał mu pędzić ustabilizowany tryb życia.

Do Ameryki ściągnął go Janos Horvath. „Miał mi tam pomóc Departament stanu – pisał Szymański. – Rzeczywiście, obiecano mi pracę w szkole wywiadu, uczenia polskiego (wykładał tam kiedyś Czesław Miłosz). Otwarcie nie stawiano mi żadnych warunków, ale gdy nie wykazywałem ochoty imitować Jamesa Bonda, moje podanie zostało odrzucone przez niejakiego Burakowskiego z uzasadnieniem, że nie władam poprawnie polszczyzną. Po tym kopałem groby w Queens. Następnie w polskiej dzielnicy w New York, Green Point pracowałem dla sławetnego księdza Leona Tołczyka. Byłem odźwiernym i detektywem w hotelu Americana.

Po czym przeniosłem się do Kalifornii. Przedtem pracowałem w „Pitsburczaninie" i „Gwieździe Polarnej". Z „Gwiazdy" wygryzł mnie wysłannik KC PZPR, Hieronim Kubiak, przy pomocy prof. Wacława Soroki. W Kalifornii przez krótki czas poszukiwałem złota w okolicy Sonora. Prawie nic nie znalazłem. Krótko pracowałem jako zecer i linotypista. Nauczyłem się tego w Australii i Anglii. Ostatecznie przyklapnąłem pracując jako security guard, czyli wartownik. Z Markiem Hłasko pisaliśmy powieść „„Rice Eaters". Za zaliczkę mieliśmy jechać do Meksyku, by tam spokojnie pisać. Marek nagle dostał zaproszenie do Izraela. Napisał:

„stary, wyjeżdżam do Izraela. Płacą!"

Chyba ostatni list (jego) w Ameryce."

Mimo tytułów i osiągnięć dziennikarskich, i literackich, praca twórcza nie zapewniła Szymańskiemu godnych warunków życia. W maszynopisach pozostawały jego kolejne książki: „King of Bacchanalia", „Drunken Maniana" (wspomniana) i „Mission", powieść szpiegowska z pieprzykiem. Największe a jednocześnie najdłużej pisane i stale dopełniane stały się jego prace o Kazimierzu Pułaskim, zwłaszcza „Casimir Pulaski. A Hero of the American Revolution" (wyd. w Nowym Jorku w 1979 i 1994 roku).

W pracy o polsko-amerykańskim bohaterze „Pułaski – bohater nieznany", pisanej później po polsku, a wydanej w Chicago w 1980 roku, można dowiedzieć się o szczegółach zainteresowania i zgłębiania tematu. We wstępie Edwarda Duszy czytamy „Około dziesięciu lat temu Leszek Szymański zaczął gromadzić materiały do monografii o Kazimierzu Pułaskim w Ameryce. Przestudiował tysiące dokumentów, odkrył nowe lub wywlókł zapomniane materiały, pokazujące naszego bohatera w nowym, bardzo pochlebnym świetle. Ale Szymański ma jeden mankament. Jest to pisarz zawodowy, a nie dobrze płatny profesor, więc jego zdolność zarobkowania nie przekracza skali robotnika niewykwalifikowanego." Istotnie, nawet trzy wersje biografii Pułaskiego nie przyniosły Szymańskiemu dużych pieniędzy.

O Pułaskim w Ameryce pisali: Władysław Kozłowski, dr Władysław Wayda, Władysław Konopczyński, lecz tematu nie zgłębili dostatecznie i ich materiał można było potraktować jako przyczynkarski. Wertując archiwa Waszyngtonu, Nowego Jorku, Londynu, New Jersey i Georgii, prawie całej Anglii i USA, mógł stworzyć prace bez precedensu, jakiej nie sposób pogłębić. Jest to monografia życia i działalności Pułaskiego w latach 1777-1797, przedstawiająca akcje Armii Waszyngtona, na kanwie których osnuł losy polskiego bohatera, twórcy kawalerii amerykańskiej, autora pierwszego amerykańskiego regulaminu wojskowego (Cavalary Regulation) i dowódcy niezależnego „Pułaski Legion".

Drugie wydanie książki „Casimir Pulaski. A Hero of the American Revolution" nie było odbijane powielaczowo, tylko drukowane i różniło się nieznacznie zestawem materiałów (doszedł wstęp Tadeusza Maliszeskiego) i jego układem. Z jej skrzydełka można było też dowiedzieć się, że 30 miast w Ameryce nosiło nazwę Pułaski. W 1980 roku Wydawnictwo „Wici" (Chicago) wydało jeszcze po polsku niezbyt obszerną, wspominaną już książeczkę o charakterze popularnym „Pułaski – bohater nieznany", a przedstawiając ją T.S. Pochroń napisał w „Od Wydawnictwa", że: „Jest to zbiór artykułów Leszka Szymańskiego, które w większości ukazały się w prasie polonijnej. Zebrane w formie książkowej nie tracą nic na wartości. Wprost przeciwnie – dużo zyskują, ukazując sylwetkę Pułaskiego w nowym, ciekawym świetle, chyba najbliższym prawdy." Autor przedstawił najważniejsze, ale bardzo szczegółowo epizody z życia bohatera-Polaka.

Inspiratorem powstania następnej książki Szymańskiego „Candle for Poland: 469 Days of Solidarity" (San Bernardino, 1982), był wujek pisarza, Władysław Siła Nowicki (który doradzał mu powrót do PRL), dostarczając z kraju nad Wisłą mnóstwo materiałów o wydarzeniach lat 1980-1981, związanych z działalnością „Solidarności". (Często unikalne dokumenty Szymański przekazał bibliotece U.S.C. w Los Angeles) Zawierała ona omówienie jego programu socjalnego, rolę dziejową i upadek pod ciśnieniem wydarzeń politycznych. Część historyczna – to mało, autor dodał do niej pogram ruchu, raporty, notki biograficzne o poszczególnych postaciach, wytłumaczenie nazw organizacji – słowem był to przewodnik po całych latach istnienia ruchu i o nim jako zjawisku.

Książka miała ukazać się jeszcze przed zdelegalizowaniem „Solidarności", wydana przez oficynę „Borgo Press." Byłaby pierwszą książką tego typu na rynku światowym. Niestety, wyszła drukiem, gdy pojawiły się inne. Mimo tego opóźnienia prawie każdy ważniejszy „learned journal" (nawet niemiecki) zamieszczał recenzję (a nawet popularny L.A. Times). Niewiele to pomogło. Rynek księgarski wchłonął raptem kilkanaście egzemplarzy tej wyjątkowej, precyzyjnie skomponowanej książki.

Szymański każdą wolną chwilę poświęca pisaniu, choć w warunkach amerykańskich tematy polskie mało kogo obchodzą (przynajmniej w wydaniu pogłębionym). Napisał monografię o Pawle Strzeleckim (1797–1873). Imieniem tego polskiego podróżnika, geologa i geografa nazwano co prawda najwyższą górę w Australii, ale jako człowiek pozostaje on zupełnie nieznany. Pisarz w związku z sytuacją rodzinną znaczną część czasu spędza na Filipinach, których historia i kultura stały się tworzywem jego twórczej pasji. Pracował długo nad biografiami

filipińskich bohaterów: Jose Rizalla (1861–1896) i Jose Laurela. Ten pierwszy, to bohater narodowy Filipin, pisarz, działacz niepodległościowy, geniusz myśli na skalę Leonarda da Vinci, rozstrzelany przez Hiszpanów w wieku 33 lat. Jose Laurel prowadził niesłychanie zręczną politykę w czasie okupacji Filipin przez Japonię. Te zainteresowania mają swe źródło w fakcie, że Leszek był żonaty z Filipinką (jak wspomniano), z którą ma dwóch synów: Jose (Józef – ur. w 1988 w Australii, Sydney), i Jessie (Grzegorz – ur. w 1997 r. w Long Beach w USA).

Pisarz planuje wyjazd w przyszłym roku na stałe na Filipiny lub do Malezji. Na razie mieszka w USA, od dłuższego czasu przygotowuje „Księgę Pamiątkową", w wąskim nakładzie, poświęconą zjawisku i ludziom „Współczesności", grupy poetyckiej, pismu i pokoleniu pod tą nazwą, powstałym w 1956 roku. Szymański jest uznawany za pisarza polsko-australijsko-amerykańskiego.

Stanisław Stanik

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj" 2006.

ZBIGNIEW IRZYK

Wspomnienie o „Współczesności"

W czasie Warszawskich Jesieni Poezji często przywołujemy postacie Słowackiego, Norwida, Lechonia, Broniewskiego, Gałczyńskiego, Baczyńskiego, Gajcego, Krystyny Krahelskiej. Z tymi nazwiskami na zawsze związane są najciekawsze karty literackie Stolicy, przydające jej wyjątkowego blasku i splendoru, lecz istnieje jeszcze historia całkiem żywa, ta zaledwie sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy nad Warszawą rozbiła się prawdziwa „bania z poezją", literaturą, promieniująca swoim twórczym oddziaływaniem na całą Polskę. Zwłaszcza na Kraków, Gdańsk, Poznań, Toruń, Łódź. Był to niezwykły czas, gdy spotkanie Teatru Osobnego na Tarczyńskiej (wkrótce przeniosą się na plac Dąbrowskiego), czy wieczory poetyckie początkujących i bliżej nieznanych autorów organizowane w Międzynarodowym Klubie Książki i Prasy na Nowym Świecie i na Rynku Starego Miasta, w Kamiennych Schodkach czy w Krokodylu, w czasie których recytowali wiersze przyjaciół Danuta Mancewicz oraz świetnie zapowiadający się już wtedy Wojciech Siemion

– przyciągały tłumy mieszkańców Warszawy swoją kameralną innością, żarliwą atmosferą sporów literackich. Mam jeszcze żywo w pamięci tamte płomienne, naiwne dyskusje o niezrozumiałości poezji, rozpalone z emocji, przejęte twarze Marii Szypowskiej, Śliwonika, Ośniałowskiego, Brychta, Doleckiego, Makomaskiego, Szczawińskiego, Bolka, głęboko przekonanych o wyjątkowości swoich wierszy, upominających się o prawa poety do wolności, do jednostkowego szczęścia, do swojej prywatności. Był to czas znakomitych debiutów Hłaski, Białoszewskiego, Czachorowskiego, Herberta, Grochowiaka, Harasymo- wicza, Śliwiaka – wspaniałej plejady twórców mówiących o ludzkiej kondycji nowym językiem, poszukujących sprawiedliwego wymiaru świata. Czas wielkich lektur Camusa, Malraux, Sartre'a, Faulkuera, Hemingwaya, Kafki. Powstają także liczne grupy poetyckie jak Wierzbak i Swantewit w Poznaniu, czy krakowska Muszyna.

Niewątpliwie wydarzeniem pierwszoplanowym i trudnym do przecenienia w procesie zachodzących przemian w kulturze stało się ukazanie na jesieni 1956 roku dwutygodnika „Współczesność", od którego tytułu potem nazwę przybrała cała generacja twórców. Z początku pismo miało się podobno nazywać „Gong", ale szczęśliwie odstąpiono od tego pomysłu. Jego legendarnym założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym był Leszek Szymański – człowiek o wyjątkowej charyzmie i zmyśle organizacyjnym, posiadający szczególny dar przekonywania do swoich śmiałych pomysłów, na przekór panującej wtedy sytuacji w literaturze kontynuującej wzorce socrealistyczne. To on na pamiętnym wiecu w Sali Kongresowej Pałacu Kultury zaskoczonemu Władysławowi Gomułce w obecności Aleksandra Jerzego Wieczorkowskiego i Eugeniusza Kabatca wręczył petycję w sprawie wydawania dwutygodnika młodych pisarzy, a ten na jakimś świstku wyraził zgodę. Podczas gdy wówczas powszechnie spodziewano się powstania raczej jakiegoś nowego „Po prostu", „Współczesność" zaskoczyła czytelników swoją programową literackością, postawieniem na nowatorską rolę sztuki w odkłamywaniu rzeczywistości. Najbliższymi współpracownikami Leszka Szymańskiego i podobno pomysłodawcami samego tytułu pisma zostali: Jerzy Siewierski – jego przyjaciel i kolega z gimnazjum im. Stefana Batorego (do tego samego uczęszczał przed wojną Krzysztof Kamil Baczyński) oraz Roman Śliwonik – wtedy obok Marka Hłaski – najbardziej wybijająca się postać w świecie młodej literatury. Obecnie Leszek Szymański od wielu lat przebywa w Kalifornii, jest cenionym wśród Polonii amerykańskiej prozaikiem, autorem ciekawych książek, m.in. cennej monografii o Kazimierzu Pułaskim. Wszystkim naszym poczynaniom nieodłącznie towarzyszyli

dwaj Hindusi, Vorgis i Kedar Nath – serdeczni znajomi Leszka. Uczestniczyli w naszych wieczorach poetyckich, towarzyszyli w ulicznej sprzedaży „Współczesności", budząc swoim egzotycznym wyglądem powszechną sensację w ówczesnej Warszawie, w której rzadko widywało się cudzoziemców, poza przedstawicielami radzieckich placówek.

Na zawsze utrwalił mi się w pamięci tamten piękny dzień polskiej jesieni, gdy w bramie uniwersytetu Andrzej Dobosz – późniejszy wytrawny publicysta (pisujący swoje felietony pod pseudonimem „Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia" i jeden z bohaterów „Rejsu") wręczył mi pierwszy numer „Współczesności" z charakterystycznym zdjęciem pochylonego wichurą drzewa na tytułowej stronie, zawierający ciekawy szkic Jana Wyki o młodej poezji. Potem zainteresowany jego treścią nabyłem następny numer z doskonałym wierszem Śliwonika „Węgrom", z powodu, którego „Współczesność" została na krótko zawieszona. Wtedy nawet nie przypuszczałem, studiując polonistykę, że wkrótce zostanę redaktorem tego Pisma i jak bardzo fakt ten zaważy na dalszych moich losach.

Najbardziej barwne wspomnienia wyniosłem z samych początków moich związków z grupą literacką Leszka Szymańskiego, Jerzego Siewierskiego, Jerzego Czajkowskiego, gdy przygotowywaliśmy kolejne numery dwutygodnika na Ludnej w prywatnym mieszkaniu rodziców Leszka wśród wiecznie suszącej się bielizny i zalegających wszędzie w artystycznym nieładzie stosów gazet, odbywając często burzliwe narady i dyskusje na płaskim dachu budynku nad pocztą, znajdującą się w tym samym miejscu do tej pory. Z tego okresu szczególnie utkwiły mi w pamięci okoliczności druku pierwszych opowiadań Brychta na Smolnej. Otóż w zamian za udostępnienie im do czytania powieści „serca i szpady" Michala Zevace, zecerzy za darmo po nocach składali nam teksty. Potem czymś takim wyjątkowym były nasze wspólne redakcyjne wyprawy. Pierwszą odbyliśmy do Halina nad Liwcem na zjazd młodych literatów, gdzie wtedy poznałem Andrzeja Bursę. Odtąd stał się nam bardzo bliskim poetą. W następnym roku w maju udaliśmy się na kilkudniową wycieczkę do Krakowa, która zaowocowała nawiązaniem przyjacielskich kontaktów z tamtejszym środowiskiem pisarzy i plastyków. Zaprezentowaliśmy się wtedy na wieczorze poetyckim w siedzibie Związku Literatów Polskich na Krupniczej. Zwłaszcza z żywym przyjęciem spotkały się wiersze Mariana Ośniałowskiego.

Taką również niezapomnianą przygodę stanowiło nasze wspólne redagowanie „Współczesności" z Grochowiakiem, Bryllem, Szmidtem. Redakcja mieściła

się w pałacu Zamoyskich, a jej okna wychodziły na pomnik Mikołaja Kopernika. Pismo przeżywało wtedy swój największy rozwój, stanowiło prawdziwą ogólnokrajową reprezentację nowej litera- tury. Odbywaliśmy ciekawe dyskusje, spotkania autorskie, a nawet huczne wyprawy dorożką po Warszawie. Nawiązaliśmy cenne kontakty z wieloma znanymi pisarzami starszego pokolenia: z Anatolem Sternem, Stanisławem Catem Mackiewiczem, od którego otrzymałem szkic o Lwie Tołstoju, Jerzym Zawieyskim, Władysławem Janem Grabskim, Stanisławem Rembekiem, Jerzym Szaniawskim, malarzem Henrykiem Berlewim. Szaniawskiego odwiedziliśmy razem ze Słojewskim (pamiętnym Hamiltonem) w jego rodzinnym Zegrzynku, gdzie zostaliśmy podjęci niezwykle gościnnie przez sędziwego dramaturga w dworku pamiętającym jeszcze czasy pierwszej połowy XIX wieku. Plonem tych zainteresowań były powstałe, bodaj z inicjatywy Władysława Terleckiego, numery specjalne, poświęcone przemilczanym bądź zapomnianym twórcom dwudziestolecia międzywojennego, na przykład Marii Kelles-Krauzowej, autorki książki o Marii Kalergis. Nasza przygoda zakończyła się nagle w końcu 1959 roku zwolnieniem większości członków zespołu pisma jako rzekomo przedstawicieli jakieś bliżej niesprecyzowanej frakcji inteligenckiej. Ale przyjaźnie przetrwały. Odtąd „Współczesność" stanowiła bardzo płynny skład osobowy, a jej kolejnymi redaktorami, po Leszku Szymańskim kierującym dwu- tygodnikiem jeszcze formalnie na początku 1959 roku (do numeru 4) i po Grochowiaku – byli: Witold Dąbrowski, Stanisław Kuszewski, Anna Bukowska, Andrzej Lam, Józef Lenart i na końcu sam Jerzy Putrament, gdy „Współczesność" przemianowano na „Literaturę".

Choć od tamtej pory tyle lat minęło, ciągle przy różnych okazjach przypominają mi się osoby Andrzeja Brychta, Mariana Ośniałowskiego, Jerzego Łojka, Małgorzaty Hillar, Ireneusza Iredyńskiego, Edwarda Stachury, Bogdana Wojdowskiego, Barbary Sadowskiej, Zbigniewa Domańskiego, Jana Młodożeńca – ilustratora większości powieści i tomików wierszy moich kolegów, Ryszarda Zengla, Jerzego Durnatta, Józefa Gieli, Barbary Zbrożyny, Jana Himilsbacha i wielu innych, którzy współtworzyli „Współczesność" i których już nie ma wśród nas. Z każdą z tych postaci wiąże się moje wspomnienie, jak to, gdy w trakcie biesiady halińskiej założyliśmy się z Bursą, kto z nas zje więcej bitej śmietany. Kreśląc uwagi w 50. rocznicę powstania „Współczesności", myślę głównie o tych zwłaszcza twórcach, co siłą swojego talentu, swoim bakcylem literackiej osobowości i niezwykłości potrafili zarazić innych. Wtedy to pod naporem nowych nazwisk młodych pisarzy i oryginalnych talentów, jak choćby Miron Białoszewski czy Marek Nowakowski,

dokonała się na naszych oczach swoista „zmiana warty" pokoleniowej. Przełamały się sztywne bastiony do tej pory panującego wszechwładnie socrealizmu, dworskiej i rocznicowej twórczości „pryszczatych". Nastąpiły pod wpływem narastającej „odwilży" kulturowej i pewnego otwarcia na Zachód (głównie na Francję) ważne przemiany w świadomości samej literatury oraz w dotąd martwym, statecznym życiu artystycznym. Ojcem chrzestnym tego równie błyskotliwego, co nieprecyzyjnego określenia „pokolenie Współczesności," stał się Jan Błoński – autor znakomitej „Zmiany warty". I tak się zaczęło.

Gdy obecnie mówimy o „pokoleniu Współczesności", obejmujemy tym mianem wszystkich pisarzy i krytyków debiutujących około 1956 roku, kiedy to w październiku ukazał się pierwszy numer głośnego później czasopisma „Współczesność". Rzecz ciekawa: do „pokolenia Współczesności" zalicza się nawet takich autorów, którzy ówcześnie nic wspólnego z pismem nie mieli. Zapomina się, że w początkach swego istnienia „Współczesność" była dwutygodnikiem dość nieokreślonej grupy literackiej, a jej program uformował się jako suma wystąpień i poglądów indywidualnych. Program tej grupy powstawał niejako „w marszu," był wynikiem bardzo osobistego i spontanicznego przeżywania spraw literatury przez młodych pisarzy i krytyków, którzy zbliżyli się do pisma – nie zaś przyjętą z góry i wyraźnie sformułowaną manifestacją określonej postawy ideowo-artystycznej. Wymagałoby to bowiem wówczas jednoznacznego samookreślenia się politycznego.

Pamiętam jak się to wszystko rodziło: grupa „Współczesności" była początkowo nieliczna. Wszelako miała PISMO, a to znaczyło wiele. Ci wszyscy, którzy nie mieścili się – z racji swojej młodości lub braku konkretnych koneksji towarzyskich – w sferach redakcji „Nowej Kultury" czy „Przeglądu Kulturalnego", przychodzili właśnie na Ludną, następnie Wspólną, później na Kopernika, Krakowskie Przedmieście, a wreszcie ulicę wilczą róg Poznańskiej (w to samo miejsce, gdzie potem mieściła się redakcja „Poezji") i na Koszykową – szukając kontaktu z nowym, fascynującym swą odmiennością czasopismem literackim. Tak dochodzili kolejno: Śliwonik, Bolek, Korczak, Delinikajtis, Ośniałowski, Irzyk, Słojewski, Brycht, Wierzbicki, Iredyński, Bryll, Nowakowski, Grochowiak, Terlecki, Szmidt, Drozdowski. Pismo z początku wychodziło nieregularnie, nie płaciło prawie wcale lub płaciło pewną ilością numerów „Współczesności", które samemu trzeba było sprzedać, ale było i publikowało przynoszone z zewnątrz materiały. W ten sposób zaczęła się tworzyć grupa młodych ludzi, złączonych wspólną pasją literacką i krytyczną, wspólną namiętnością pisarską, podobnym

przeżywaniem swojej literackiej przygody. To tu tylko w pierwszych latach wychodzenia „Współczesności" najbardziej reprezentatywnych dla dorobku całego pokolenia drukowali wiersze opowiadania, fragmenty sztuk, eseje, pamflety, przekłady wszyscy prawie najznakomitsi przedstawiciele tej generacji: z Grochowiakiem, Herbertem, Białoszewskim, Śliwonikiem, Bryllem, Harasymowiczem, Poświatowską, Markiem Nowakowskim, Krzysztoniem, Wojdowskim, Drozdowskim, Jerzym Skolimowskim, czy Jerzym Grotowskim na czele. W zasadzie każdy publikował to czym się aktualnie zajmował, co go pasjonowało, o czym myślał, co wiedział. Dopiero w czasach Grochowiaka zaczęto redagować pismo z określoną koncepcją, ale wciąż przeważała improwizacja. Mój artykuł – „Rzecz o młodej Nałkowskiej" – był w rzeczy samej przetworzeniem rozprawki seminaryjnej. Esej Słojewskiego, mojego kolegi z polonistyki, którego namówiłem do współpracy z nami – fragmentem jego przyszłej pracy magisterskiej o Kadenie. Jedyny warunek publikacji stanowiła atrakcyjność publicystyczna i nawet kontrowersyjność przynoszonego materiału. To okazało się właśnie czymś nowym, czymś świeżym, po latach sztywnego profilowania pism literackich.

Rozpiętość podejmowanych tematów i problemów była – jak na owe czasy – ogromna. Zajmowaliśmy się tym wszystkim, o czym w poprzednim okresie milczano, co było zafałszowane lub niedostępne. Stąd żywiołowe zainteresowanie np. markizem de Sade (były to ówcześnie początki wielkiej kariery literackiej na Zachodzie tego znowu odkrytego niezwykłego pisarza), fantastyką (Edgar Allan Poe), Gidem, literaturą i sztuką fin de siècle, modernizmem, dwudziestoleciem międzywojennym, literaturą powszechną XX wieku, którą wówczas zaczęto szerzej udostępniać w licznych przekładach; współczesną literaturą francuską i anglojęzyczną, od której pozostawaliśmy sztucznie odizolowani przez wiele lat. Słowem był to czas wielkich naszych odkryć: Dostojewskiego (długo pozostawał na indeksie), Prousta, Camusa, Hemingwaya, Faulknera, Steinbecka, Eliota, Frosta, Saint John Perse'a, Rene Chara, Henri Michaux, egzystencjalistów, twórców nowej powieści: Nathalie Sarraute, Michel Butera, Alain Robbe-Grilleta. Składało się to wszystko na obraz dość chaotyczny, może nawet przypadkowy, niemniej niezwykły i oryginalny – jeśli zestawić go ze wszystkim co działo się ówcześnie w „uporządkowanym" i „uznanym" świecie literatury, stawiającym dotąd za wzór wszelkiej doskonałości książki radzieckich pisarzy i utwory o tematyce produkcyjnej. Towarzyszyły temu liczne skandale literackie, szokujące teksty, zaskakujące odkrycia. I tak na łamach „Współczesności" ukazały się w krótkim odstępie czasu:

pierwszy komiks rysunkowy na podstawie „Witaj smutku" Saganki, ilustrowany przez Bohdana Ślezkina, z doskonałym tekstem Kwiryna (Jerzego Siewierskiego) oraz obszerny reportaż ze Stodoły, propagującej striptiz jako swoistą demonstrację swobody obyczajowej.

Gdy dzisiaj patrzę we wspomnieniach na obraz naszych ówczesnych zainteresowań literackich, na krytykę publikowaną we „Współczesności", zauważam kilka istotnych wyróżników, nadających w końcu sens temu, co od lat przywykliśmy nazywać „programem pokolenia Współczesności". Łączyła nas przede wszystkim opozycja wobec wszelakiego literackiego dogmatyzmu. Na łamach „Współczesności" eksponowano więc to wszystko, co wyrażało sprzeciw wobec poetyki normatywnej, narzucającej zwulgaryzowany kanon XVIII i XIX-wiecznego realizmu, propagowanego przez marksistów (nawet Luckacsa), jako wzór do naśladowania, jako model wyłącznie obowiązujący i jedynie wartościowy. Protestowaliśmy przeciwko deprecjonowaniu literatury nowoczesnej jako rzekomo „dekadenckiej" czy reprezentującej elitarne, „obce klasowo" wzory ideowe. W pewnym sensie wspierali nas w tych poczynaniach Przyboś i Sandauer. Owa walka z dogmatyzmem literackim, z fetyszyzmem realizmu (kryjącego często pod pozorami szerokiej dostępności czytelniczej treści nieraz kołtuńskie i oportunistyczne, zgodnie z zaleceniami władz), wyrażała się zewnętrznie w ostrej, pamfletowej formie doraźnego obrachunku z rzeczywistością literacką lub przybierała postać bardziej osobistej, impresyjnej wypowiedzi. konkretna książka lub konkretny utwór stanowiły pretekst do szerszej polemiki, do próby samookreślenia.

Tak właśnie obszernie, eseistycznie były komentowane „Ja, Klaudusz" Gravesa, „Stanisław August" Stanisława Cata Mackiewicza,

„Genealogia teraźniejszości" Świętochowskiego, „Wiklina" Staffa, „Obcy" Camusa, „Alchemia słowa" Jana Parandowskiego, „Popołudnia trędowatych" Goytysoli, „Podróż" Dygata i „Absalomie, Absalomie" Faulknera. Przejawiał się w tym swoisty, czasem nadmiernie nawet radykalny, wręcz może naiwny w swoim młodzieńczym zbuntowaniu, sprzeciw wobec zaistniałej hierarchii wartości twórczych, wobec uznanych konwencji już niezdolnych – w naszym odczuciu – do wyrażenia współczesnych treści i emocji. Pośrednio wyrażała się w tym niechęć do zawiłych filologicznych i pseudosocjologicznych rozważań literackich, zacierających rzeczywisty, społeczny sens dzieła, nadających im znaczenie doraźnie utylitarne, podporządkowane aktualnej modzie z pominięciem dialektyki życia literackiego i praw rozwoju gatunków.

Hasłem wywoławczym krytyki literackiej na łamach „Współczesności" było NOWOCZESNOŚĆ. Znaczyło to dla nas nie tylko nowe treści i nowe formy, ale przede wszystkim nowe widzenie rzeczywistości społecznej współczesnego świata, to właśnie, co nie mieściło się w kanonach dawniejszego socrealistycznego schematu literatury. Byliśmy głęboko przekonani, że przełamanie dotychczasowych konwencji widzenia i badania literatury jest warunkiem zbliżenia jej do rzeczywistości, jej odkłamania, nadani jej istotnego sensu społecznego. Prowadziło to nieraz do odwrotnego schematyzmu, do nadmiernych treściowo zjawisk literackich sprzed ćwierć wieku, które usunięto poza obręb świadomości pokolenia, przerywając naturalną ciągłość ich rozwoju.

Tak miała się chyba rzecz ze sprawą związku czasopisma „Współczesność" z szeroko pojętą „awangardą" literacką. Rozumieliśmy ją w sposób synkretyczny jako prąd literacki jednolity, nie szukając specjalnie różnic pomiędzy poszczególnymi kierunkami i twórcami. Niepokoiła nas wyłączna pozycja poezji kręgu „Skamandra", ukazywana z pominięciem wybitnych poetów emigracyjnych tej generacji – jako zjawisko jedynie godne uwagi w poezji międzywojennej (obok, rzecz jasna, nurtu poezji rewolucyjnej, który nota bene był okrojony o takie postacie jak Bruno Jasieński czy Anatol Stern). Tym bardziej interesowała nas poezja futurystów i awangardy krakowskiej, ukazująca nowe możliwości i rozwiązania leksykalne, strukturalne i ideowe. W obrębie tradycji awangardowej szukaliśmy alternatywy dla sytuacji zastanej w prozie i poezji. Stad np. kontakty z Anatolem Sternem, czy Aleksandrem Watem, których zapomniane utwory pojawiały się we „Współczesności". Uważaliśmy ich za naturalnych sprzymierzeńców i prekursorów – w pewnym przynajmniej sensie naszego widzenia świata. Drażniło to ówcześnie znakomitego poetę, Antoniego Słonimskiego, piszącego o wierszach Bolka, że są „i bez rymu, i bez sensu", co prowadziło do wplątywania pisma w spory, z których odległej genezy nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy.

„Współczesność" była posądzana o fanatyczną awangardowość także z powodu swojej szaty graficznej (nagłówki składane wyłącznie z małych liter, bez wersalików, specyficzne łamanie). Przypisywano to naszym założeniom programowym, gdy w rzeczywistości było to pomysłem i dziełem ówczesnego redaktora technicznego pisma. Znalazł on przypadkiem wzór w prasie meksykańskiej i tak się tym zachwycił, że odtąd naśladował krzykliwe formy graficzne, nie zawsze zdając sobie sprawę z artystycznej tego wymowy. W ten sposób zostaliśmy niejako uznani na kontynuatorów nurtów artystycznych w przeszłości nie zawsze w pamięci najlepiej

zapisanych, włącznie z przypisaniem nam związków ideowych z futuryzmem kręgu Marinettiego.

Dwudziestolecie międzywojenne poczynało ówcześnie odzyskiwać w historii i krytyce literackiej należne sobie miejsce, lecz w wersjach „podręcznikowych", jak np. u Ryszarda Matuszewskiego, nadal ograniczyło się do przedstawicieli nurtu tradycyjno–realistycznego. Krytycy „Współczesności" zaczęli proponować odwrócenie hierarchii wartości, współdziałając niejako z Arturem Sandauerem, który wtedy publikował w prasie literackiej swe szkice, mające się wkrótce złożyć na świetny zbiór „Bez taryfy ulgowy". Bruno Schulz, Witold Gombrowicz, Witkacy, Leśmian, wśród krytyków Karol Irzykowski, sięgając dalej wstecz – częściowo Stanisław Brzozowski („Legenda Młodej Polski"), byli to autorzy, których dzieła budziły w nas zainteresowanie, stanowiąc wartości cenniejsze niż dzieła nurtu ściśle realistycznego, jako wytyczające drogi rozwoju literatury po dzień współczesny.

Wyrastał z tych fascynacji swojego rodzaju, program, jakiego z początku nikt sobie wyraźnie nie uświadamiał, a który z czasem stał się faktem. Złożyły się na to głównie trzy duże akcje publicystyczne. Pierwsza z nich – cała seria artykułów (Ernest Bryll, Jan Zbigniew Łojewski, Zbigniew Irzyk, potem Andrzej Dobosz, Jan Józef Lipski i inni) – dotyczyła reformy studiów polonistycznych i roli polonistyki uniwersyteckiej w humanistyce i w ogóle w kulturze kraju. Spierano się o „postacie podręcznikowe", o właściwy dobór autorów i wartości twórczych, zasługujących na szeroką popularyzację, aby przez ukazanie ciągu rozwoju nadal żywych tradycji wytłumaczyć współczesne zjawiska polskiej literatury i światowej, jak czynił to Jan Kott w swoich „Szkicach o Szekspirze". Pod tym względem zwłaszcza wielką rolę w naszej edukacji odegrała „Rzecz wyobraźni" Kazimierza Wyki – odkrywcy również wielkiego talentu poetyckiego Jerzego Harasymowicza.

Drugą wielką akcją krytyczno-publicystyczną, która wzburzyła wielu polonistów i wzbudziła zainteresowanie czytelników, był cykl artykułów poświęconych tzw. „Warszawce" – specyficznemu zjawisku kulturowo-obyczajowemu, które zdominowało pewien typ pisarstwa, a za jakim krył się swoisty rodzaj programowego oportunizmu, przemycanego pod szyldem sentymentu do dawnej tradycji (kimś takim była dla mnie Magdalena Samozwaniec), a w rzeczy samej upowszechniającą konsumpcyjny model postawy życiowej. Pisali o tym: Stanisław Grochowiak, Ernest Bryll, Aleksander Jerzy Wieczorkowski, Jacek Łukaszewicz i niżej podpisany.

Wreszcie sporym wydarzeniem była – już pod koniec istnienia grupy „Współczesności" – dyskusja na temat tradycji literatury polskiej i właściwej jej

oceny. Rozpoczął ją głośny artykuł Stanisława Grochowiaka „Karabela zostanie na strychu", przeciwstawiający taniej deklaratywności patriotycznej postawę należytej oceny codzienności w sposób trzeźwy i racjonalny. Poparli Grochowiaka Władysław Terlecki, Jerzy Krzysztoń, Jan Zbigniew Słojewski, polemizowała z nim Magda Leja. Przeciwstawiali się: Aleksander Minkowski, Jerzy Siewierski, spośród starszych zaprzyjaźnionych z nami pisarzy Stanisław Rembek. Upatrywano w artykule Stanisława Grochowiaka próbę zdewaluowania romantycznych tradycji narodowych, chociaż, jak sądzę, szło jego autorowi raczej o wykazanie bezsensu wielosłownej deklaratywności i skompromitowanie pozy bez pokrycia w rzeczywistym zaangażowaniu emocjonalnym i patriotycznym.

W zakresie literatury zagranicznej krytyka „Współczesności" szukała otwarcia w stronę nowych konwencji artystycznych i myślowych. Analizowano zapóźnienie naszej literatury w stosunku do zdobyczy twórczych światowej literatury, dwudziestowiecznej, podkreślając znaczenie dzieł Conrada, Joyce'a, Andre Gide'a, Franza Kafki, a wśród współczesnych Andre Malraux, Eliota, Jean Paul Sarte'a, Antoine'a de Saint Exupere'ego, Ernesta Hemingwaya, Johna Steinbecka, Williama Faulknera, Samuela Becketta – zatem tych pisarzy, którzy w swoich dziełach zrezygnowali z taniej ilustracyjnej dydaktyki na rzecz treści uniwersalnych, eksponując nurt, tzw. Literatury pytającej, podejmującej najistotniejsze problemy natury egzystencjalistycznej i filozoficznej (Konrad Eberhardt, Ryszard Engel, Jerzy Piechowski) ze względu na mocno w niej eksponowane sprawy jednostki w latach poprzednich w Polsce, lekceważone i negowane, na korzyść prymitywnie podejmowanych „racji ogólnych", państwowych.

Gdy dzisiaj, z perspektywy już kilkudziesięciu lat minionych od chwili założenia czasopisma „Współczesność", myślę o grupie autorów skupionych wokół tego periodyku, zastanawiam się, czy można mówić o nich w ogóle jako o jednym „pokoleniu" twórczym i krytycznym. Pojęcie pokolenia w historii literatury wydaje się w ogóle sztuczne i zawsze dość „naciągane". Szczególnie dotyczy to krytyki i publicystyki literackiej, gdzie współczesność działalności nie oznacza przecież wcale identyczności czy choćby podobieństwa stylu myślenia, założeń ideowych, czy wyników dociekań intelektualnych. Czy do jednego pokolenia krytycznego można zaliczyć np. Broniewskiego, Boya-Żeleńskiego i Irzykowskiego?

Podobnie trudno jest mówić o krytycznym pokoleniu „Współczesności". Ludzie, którzy spotkali się na łamach tego pisma i w następstwie współpracy oraz zadzierzgniętej przyjaźni tworzyli swoistą grupę, niekoniecznie wyznawali

te same poglądy artystyczne. Należy unikać mitologizowania i sprowadzania pewnych, już wówczas różnych jakościowo i skalą talentu zjawisk, do jakiegoś wykoncypowanego ex post wspólnego mianownika. Nie wszystko daje się wtłoczyć w ramy wygodnych formułek pokoleniowych, zacierających to, co w literaturze było i jest najważniejsze: indywidualność. Jeżeli dziś owe więzi „pokoleniowe" istnieją nadal między ówczesnymi debiutantami, drukującymi swoje pierwociny krytyczne i publicystyczne we „Współczesności", to raczej na zasadzie wspomnień z czasów własnej młodości, z czasów koleżeńskich przyjaźni. Drogi rozwoju intelektualnego i twórczego ludzi, którzy pisarstwo swoje zaczynali na łamach tego pisma, dowodzą, że raczej jedność myślenia i widzenia świata była w rzeczy samej – wśród nich – przeważnie dość powierzchowna. Cóż na dobrą sprawę, łączy dzisiaj Łojewskiego (w latach 1957–1959 uważanego za czołowego krytyka „Współczesności" i późniejszego świetnego felietonistę) z Jackiem Łukaszewiczem, Konrada Eberharda z Piotrem Kuncewiczem, Tomasza Burka z Januszem Maciejewskim, a zmarłego tragicznie i wielce utalentowanego Ryszarda Zygla z nieżyjącym już również Zbigniewem Pędzińskim? Wszyscy ci autorzy debiutowali w połowie lat pięćdziesiątych i pisywali wtedy głównie we „Współczesności", jednak później poszli własnymi drogami. Gdy po latach czytamy wydane znacznie później ich książki, ich zbiory szkiców, nie dostrzegamy już wspólnego początku tych dróg. Niektórzy wrócili nawet do filologicznego sposobu analizowania tekstów literackich, do popisów erudycyjnych, które tak namiętnie wtedy zwalczali. To samo w znacznej mierze dotyczy poetów i pisarzy. Można się nawet zastanawiać, czy wszyscy, których nazwiska powinny figurować w spisie treści pierwszych roczników „Współczesności", pamiętają jeszcze, że debiutowali w tym samym czasie, uzyskiwali pierwsze sukcesy i w podobnie spontaniczny sposób reagowali przed laty na pewne negatywne zjawiska społeczne, obyczajowe i artystyczne. Zupełnie natomiast nieuzasadnione wydaje się przypisywanie do tzw. „pokolenia Współczesności" autorów, którzy – choć twórczość swoją zaczynali w latach początków tego czasopisma, nie mieli z nim ówcześnie żadnych związków.

Po roku 1960 „Współczesność" uległa daleko idącym przeobrażeniom, stała się jednym z kilku pism ogólnoliterackich, należącym do naszego sielskiego krajobrazu kulturalnego tamtej epoki, przyjąwszy wszystkie reguły gry obowiązujące w świecie ustalonych konwencji literackich. Zyskała uznanie, ale straciła to, co stanowiło jej młodzieńczą oryginalność: pewien swoisty i niepowtarzalny

klimat emocjonalny i intelektualny, poważnie znaczący w życiu młodej literatury. Była niewątpliwie w odróżnieniu od późniejszej oryginalna i przez wniesiony ferment odkrywcza. A chociaż nie zaproponowała nowych koncepcji czy rozwiązań w dziedzinie całościowego widzenia literatury, to jednak swoim przekornym widzeniem wielu istotnych spraw i problemów przyczyniła się do znacznego przyspieszenia procesów myślowych, zachodzących w młodej literaturze polskiej lat sześćdziesiątych.

* * *

Obecnie, gdy środowisko literackie od lat jest podzielone i nie odgrywa praktycznie większego znaczenia, pozostając właściwie na marginesie głównego nurtu życia społecznego – warto przywołać przykład „Współczesności", która zwłaszcza w pierwszych latach swojego istnienia (wychodziła do 1971 roku, w sumie ukazało się 357 numerów) potrafiła się upomnieć o należne miejsce poezji, o godność literatury oraz nową hierarchię zjawisk artystycznych.

Szkoda, że takiego czasopisma o ogólnokrajowym zasięgu dziś nie ma, a nieliczni żyjący jeszcze przedstawiciele pokolenia „Współczesności," jak Śliwonik czy Bryll, należą już do generacji twórców i jej „klasyków".

Zbigniew Irzyk

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj" 2006.

ROMAN ŚLIWONIK

Węgrom

Słuchaliśmy tyle lat
huku młotów
kujących pęta
oczy nasze wybielał lęk
że nie zerwą ich ludzkie ręce
pod olbrzymią pokrywą
milczenia szept ochrypły
rozkrwawiał usta
zasłonił słońce
ciemną płytą
zamienili dni
w dom
oślepłych
kołowali biegali
w koło
popychali w opętany
taniec podeptani płakali w
ciemności ochrypły pieśni
które nie widziały
słońca aż ludzki krzyk
którym można poderżnąć
gardła strzaskał płytę
za którą było słońce
przywróćmy oczom blask
ustom oddamy uśmiech
chociaż rzeka wielkiego
bólu dzień wypełnia aż po
horyzont a wasza krew
spływająca na zbielałą twarz
ziemi niech przestrogą wielką
zabłyśnie i na zawsze obwini
tych
którzy zapomnieli ją
ocalić.

30.X.195

MARIAN OŚNIAŁOWSKI

Lipy

Zgodzimy się z
każdym już
wyrokiem Bożym,
tylko niech nie
wytną naszych lip
najdroższych.

Niech wśród słońca
kwitną, niech dzwonią
pszczołami, Matko
Boska Zielna,
Módl się za lipami.

Oblane błękitem,
pogodą i złotem
Panno nieśmiertelna,
daj je nam z powrotem.

Tęsknimy za
nimi dniami i
nocami,
Królowo
Pokoju, módl
się za lipami.

Niech ku Twej
chwale trwają wciąż
niezmiennie, w
południa upale
i w deszczach jesiennych.

Gdy będziemy
konać, niech
szumią nad nami,
Królowo
Anielska, módl się
za lipami.

1943

L art. poetique

Nie mów mi, jakie wiersze
pisać, Nie potrzebuję
twoich rad.
Tobie, wietrze, wiosnę w
drzewach kołysać, uczyć liści
zielonych gam.
A mnie czekać na najdalsze, czekać.

Od człowieka do człowieka
daleko. Każdy dzień mój jest
ciężki od kłamstw. Wiatr w
topolach jasną wiosną kołysze.
Kiedy piszę, jestem szczery,
czysty, dobry. Może wtedy tylko
nie kłamię,
gdy wiersze piszę.

Śmierć

Czy wiesz, jak się
umiera? Jakby się

zasypiało.
Noc szafirowa teraz
na czeremchy opada białość.

Ktoś się nad tobą
schyli i powie
ciepłym głosem:
niczego się nie bój

Aragon

Bar otulony w jesień
i mgłę, Edyta Piaf. Na
niskich tonach
Tłucze się w radio wiersz
Aragona Il n ya d
amor hereux.

Drzwi otworzone na
nieskończoność Tylko te
słowa prawdziwe
Jest zawsze z nami wiersz
Aragona Nie ma miłości
szczęśliwej.

W jakimś przygodnym
hotelu hol Znużenie
zagłuszyło lęk.
I z radia płynie w
tonach moll Il n ya d
amor hereux.

Zawsze to spotkasz wśród światłocieni
– Noc liże okna siwe –
Jak rozpacz i jak
wyzwolenie: Nie ma
miłości szczęśliwej.

STANISŁAW GROCHOWIAK
(1934–1976)

Rozmowa o poezji

Od – do Lieberta...

Dziewczyna:
Czy pan ją widzi! Czy ona się śni?
Czy też nadbiega – nagła jak z pagórka?

Poeta:
Ona wynika z brodawek ogórka...

Dziewczyna:
Pan kpi.
Pan ją jedwabnie – pan ją
jak motyla Po takich złotych
i okrągłych lasach...
To jest jak z Dafnis bardzo czuła chwila...

Poeta:
Owszem. Jak
ostro Całowany
tasak.

Dziewczyna:
Rozumiem pana. *Z* wierzchu
ta ironia, A spodem czułość
podpełza ku sercu...

Poeta:
Dlaczego z pani jest taka piwonia,
Co chce zawzięcie być butelką perfum?...

Introdukcja

Niecały minę Choć zostanie owo
Kochanie ziemi w bajorku i w
oście
I przeświadczenie, że śledź bywa w
poście Zarówno piękny jak pod jesień
owoc

Bo kochać umiem kobietę i
z rana Gdy leży cicha z
odklejoną rzęsą A jak jest
moja to jest całowana
W puder i w słońce W zachwyt i w mięso

Tak mnie ugadzam, bo nie tylko
z niebem Ale z odbiciem nieba
w całej nafcie
A teraz weźcie teraz wy
potrafcie Tyle zachwytu
połączyć z pogrzebem

Słabi powiedzą tyle że to
smutno Mężni, że słabych
zatrzymuję w drodze A ja
zbierałem tylko te owoce
Co – że są krwawe – zbiera się przez płótno

Czyści

Wolę brzydotę
Jest bliżej
krwiobiegu Słów,
gdy prześwietlać
Je i udręczać

Ona ukleja najbogatsze
formy Ratuje kopciem
Ściany
kostnicowe
W zziębłość
posągów
Wkłada zapach
mysi

Są, bo na świecie ludzie tak
wymyci Że gdy przechodzą
Nawet pies nie
warknie Choć ani
święci
ani są też cisi

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj" 2006.

ANNA BUKOWSKA

Moje pięć lat we „Współczesności"

Trwa upalny lipiec. Kanikuła, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Za to na wsi, w moim letnim domku, otoczonym drzewami, można żyć. Czy uda się jednak coś sensownego napisać o tych odległych już przecież latach „Współczesności" nie mając nic, co mogłoby pomóc pamięci, nawet zszywek pisma? Spróbuję jednak.

Pierwszy raz zetknęłam się z redakcją „Współczesności", kiedy mieściła się jeszcze na Krakowskim Przedmieściu. W prasie francuskiej sporo było wówczas szumu wokół odnalezionych listów Romain Rollanda. Listy wydały mi się ciekawe. Przetłumaczyłam kilka z nich i zaniosłam do „Współczesności". Natknęłam się na Zbigniewa Słojewskiego, który we właściwym sobie stylu, trochę kpiącym, trochę impertynenckim, odprawił mnie razem z moimi „ramotami". Trafiłam bowiem jak kulą w płot – czy „młodych gniewnych" mógł interesować Romain Rolland? Oczywiście, że nie. Po jakimś czasie otworzyła się możliwość objęcia działu krytyki we „Współczesności". Był rok 1961. Redakcja mieściła się już na Koszykowej, a naczelnym był Staszek Kuszewski. Miał on jednak wkrótce przejść do Telewizji, a jego miejsce zajął Andrzej Lam, którego kandydaturę bardzo popieraliśmy. W małym sekretariacie działała Zosia Krakus, nazywana przez Józka Lenarta „Niną", bo taki miała pseudonim w Ruchu Oporu we Francji, skąd przyjechała po wojnie jako repatriantka. Zosia była Żydówką i bardzo przeżywała wydarzenia marcowe 1968 roku. W końcu postanowiła wraz z rodziną wrócić do Francji. Była w redakcji osobą bardzo lubianą i cenioną, trudno więc o niej nie wspomnieć. W sekretariacie pracowała też młoda i ładna maszynistka, której imienia już sobie nie przypominam. Przy małym, kiszkowatym gabinecie naczelnego znajdował się także niewielki pokój, gdzie zwykle dekowali się ludzie, którzy chcieli spokojnie popracować lub pogadać. W ostatnim, dużym pokoju było to niemożliwe. Tutaj urzędowała cała reszta zespołu, tutaj Mirek Malcharek robił makietę pisma, tutaj rozmawiało się z autorami, przygotowywało materiały do druku, odbywały się kolegia, toczyły dyskusje. Słowem tu biło serce redakcji. W dużym pokoju redakcyjnym stała również szafa z książkami do recenzji, nadsyłanymi jako gratisy przez wszystkie wydawnictwa literackie i nie tylko literackie. Książki były zawsze przedmiotem pożądania, chociaż w tamtych czasach miały ceny przystępne, wręcz niskie. Dlatego szafa była zamykana na

klucz, a kluczem, jak i całą jej zawartością dysponował kierownik działu krytyki, czyli wówczas ja. Przed jedną wszakże osobą książek nie dawało się upilnować, a był nią „Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia", czyli Andrzej Dobosz, który wówczas zamieszczał u nas swoje świetne felietony. Różne beaux mots z tych felietonów często krążyły po Warszawie. Ale gdziekolwiek by to nie było – w „Nowej Kulturze", „Współczesności" czy „Miesięczniku Literackim" – zawsze przy mojej szafie z książkami zjawiał się Andrzej Dobosz. Trwało tak aż do czasu, gdy przeniósł się z Krakowskiego Przedmieścia na Bulwar Saint Michel i tam już pozostał.

W redakcji zdarzały się różne zabawne i mniej zabawne incydenty. Pamiętam, jak kiedyś przyszedł Roman Śliwonik. W pokoju byłam ja i Alik Wieczorkowski, który podobnie jak Dobosz, pisywał we „Współczesności" cenione felietony. Roman, jak zwykle szarmancki, zwrócił się do mnie z prośbą, czy mogłabym na chwilę opuścić pokój. Kiedy wróciłam, Romana już nie było, a Alik, nieco skonfundowany, zapytał, czy mam lusterko. Obejrzał się w tym lusterku dokładnie, ale śladów widocznych nie było. Ot, drobne nieporozumienia między kolegami. Gorzej było na jakimś jublu „Współczesności" w Stowarzyszeniu Dziennikarzy (Malcharek kontra Iredyński), ale dziś już powodów tych niesnasek towarzyskich nie pomnę.

Na ogół jednak zespół dobrze ze sobą współpracował i robił niezłe, jak sądzę, pismo. Przez redakcję przewijało się wielu autorów, którzy niebawem mieli zyskać pozycję wybitnych twórców, jak Zbigniew Herbert, Janusz Krasiński, Wiesław Myśliwski, czy tak kultowa dla młodszego pokolenia postać, jak Edward Stachura, poeta i bard wędrowny, który zachłystywał się życiem, cieszył każdą chwilą, twierdził, że wszystko jest poezja, a w końcu nie mógł już dłużej wytrzymać tego napięcia, które w nim było.

Chcieliśmy zmodyfikować statyczny pejzaż współczesnej polskiej literatury, przewietrzyć jej ustalone od lat hierarchie. Temu między innymi służyć miał cykl szkiców „Nowy poczet pisarzy," gdzie ukazywaliśmy twórczość prozaików, którzy mieli coś ważnego do powiedzenia i czynili to w sposób nowatorski, jak Kazimierz Truchanowski, Leon Gomolicki czy Julian Kawalec.

Głośna była dyskusja o turpizmie, którą zainicjował Julian Przyboś przy okazji nowego tomiku poetyckiego Stanisława Grochowiaka. Określił w ten sposób nowe zjawisko w poezji, jaką stała się estetyka brzydoty, która zresztą objęła również i inne dziedziny sztuki. Przyboś, którego odwiedziłam w sanatorium w Konstancinie, namawiał mnie, bym w tej dyskusji zabrała głos, ale nigdy nie pisałam o poezji i nie czułam się kompetentna, by to uczynić i tym razem.

Śledząc młodą prozę lat sześćdziesiątych napisałam artykuł „Realizm duży i mały," dając w ten sposób początek określeniu mały realizm dla pewnego nurtu rozpowszechnionego w najmłodszej prozie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku (Boże, jak to brzmi ten „ubiegły wiek"!). Określenie przyjęło się w krytyce, a nawet powstała książka o małym realizmie pod redakcją Zenony Macużanki i Jacka Kajtocha. Mojego artykułu, który rzecz zainicjował, w książce jednak zabrakło. Zwrócił mi na to uwagę zdziwiony tym faktem Jan Błoński. No cóż, bywa i tak.

Mój pięcioletni okres we „Współczesności" był dla mnie bardzo ważny. W „Nowej Kulturze", gdzie przedtem pracowałam, miałam do czynienia z zespołem starszym, a przede wszystkim z ludźmi o wyrobionej już pozycji, a ja dopiero debiutowałam. Natomiast „Współczesność" to był zespół rówieśniczy, gdzie czułam się równoprawnym członkiem. Sporo wówczas pisałam. Z tych szkiców i recenzji powstała moja pierwsza książka „Przemiany czasu." Chciałabym przypomnieć z niej jeden szkic, poświęcony pisarzom pokolenia „Współczesności", sytuujący ich na tle młodej prozy europejskiej. Wykazywałam tam wiele zbieżności w postawach twórczych, w spojrzeniu na rzeczywistość, w stosunku do humanistycznych wartości. Mimo faktu, iż żyliśmy w różnych światach, idee krążyły jednak ponad granicami.

Dużym przeżyciem było dla nas spotkanie z J.-P. Sartrem i Simone de Beauvoir. Odbyło się ono na życzenie Sartre`a, który chciał porozmawiać z młodzieżą literacką. Podobnie poznaliśmy Romain Gary i jego żonę, znaną aktorkę – przede wszystkim z ekranizacji Witaj smutku F. Sagan – śliczną Jean Seberg, zmarłą tragicznie w kilka lat później. Niestety, nie mam notatek z tych spotkań, a czterdzieści lat, jakie zdążyły upłynąć, zrobiły swoje. Duże zainteresowanie w naszym środowisku budziło nowe zjawisko literackie, jakie pojawiło się we Francji, mianowicie nouveau roman. Mieliśmy już w Polsce pierwsze tłumaczenia czołowych pisarzy tego nurtu – Alain Robbe Grilleta, Natalie Saraute i Michel Butora. Toteż na wiadomość o przyjeździe Robbe Grilleta do Warszawy, postanowiłam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by zdobyć z nim wywiad. I zdawało się, że cel osiągnęłam. Zgodnie z jego sugestią umówiliśmy się na spotkanie u mnie w domu. Przyszedł punktualnie, w towarzystwie młodej damy – zapewne z ambasady. Bacznie rozglądał się po moim dwupokojowym mieszkanku, ciekaw zapewne, jak żyją w Polsce młodzi literaci. Zaraz też zwrócił uwagę na kandelabry stojące na komodzie. Zapytał, czy to jakieś pozostałości z dworu ziemiańskiego. Zburzyłam mu jednak ten stereotyp, wyjaśniając, że kandelabry należały do mojego pradziada, Austriaka, chirurga okulisty, znanego w Wiedniu, który

ożenił się z Polką i zamieszkał w Warszawie, gdzie wykładał w Szkole Głównej, poprzedniczce Uniwersytetu Warszawskiego. Dom, w którym kiedyś mieszkał, wojna zamieniła w kupę gruzów, ale kandelabry w rodzinie pozostały. Rozmowa przy kawie toczyła się wartko – oboje byli w znakomitych humorach, zapewne po dobrym, zakrapianym polską wódką obiedzie. W końcu, gdy napomknęłam o głównym celu wizyty, Robbe Grillet beztrosko zaproponował, bym sama ten wywiad przygotowała, dając mi na to carte blanche. Stanowczo nie był w nastroju do poważniejszej rozmowy. I na tym się skończyło. Postanowiłam mimo wszystko wykorzystać jego przyzwolenie. Miałam książkę Robbe Grilleta Pour un nouveau roman, w której zawarł on całą swoją teorię nowej powieści. Tak więc zamiast z żywym pisarzem odbyłam wywiad z jego książką. Zrobiłam to uczciwie, posługując się jego własnym tekstem. I taka jest prawda o moim wywiadzie z Robbe Grilletem.

Kiedy zaczęłam pracować we „Współczesności", Staszek Grochowiak nie był już członkiem redakcji, ale łączyły nas przyjacielskie stosunki. Do końca swego krótkiego przecież życia, a i później był czołową postacią pokolenia „Współczesności". Spotykaliśmy się również, gdy przeszłam do „Miesięcznika Literackiego". Odwiedziłam go, kiedy leżał ciężko chory w szpitalu. Przyniosłam mu wtedy numer pisma ze szkicem Jana Pieszczachowicza o jego twórczości, który akurat ukazał się w druku. Staszek był bardzo słaby. Nie wyglądało to dobrze. Mówiłam mu: „Staszku, walcz, nie poddawaj się". Parę dni później dowiedziałam się o jego śmierci. Było to jedno z pierwszych takich pożegnań w naszym środowisku.

Patrzę na wspólną fotografię zespołu – ilu z nas już nie ma? Brak Jurka Stajudy, który w redakcji zajmował się plastyką. Wspaniale pisał o sztuce, z niezwykłym wyczuciem i wrażliwością. Później sam zaczął już profesjonalnie zajmować się malarstwem, odnosząc duże sukcesy. Postać unikalna, renesansowa ze względu na swe różnorodne zainteresowania i talenty. A przy tym uroczy brat łata, szlachetny człowiek, pełen zwykłej ludzkiej dobroci. On też przegrał swoją walkę z ciężką chorobą.

Brak Bogdana Wojdowskiego, który prowadził dział krytyki teatralnej, świetnego eseisty i prozaika. Jego powieść „Chleb rzucony umarłym", ukazująca życie w warszawskim getcie, jest dla mnie najbardziej wstrząsającym dokumentem literackim tamtej gehenny. Sam wybrał swoją śmierć. Myślę, że trudno mu było poradzić sobie z balastem wojennych przeżyć, a także z rozdarciem między własną polskością i żydowskością. Wtedy po raz pierwszy brałam udział w rytualnym pochówku żydowskim.

Brak też na zdjęciu Leszka Terleckiego, znakomitego pisarza, który zajmował się we „Współczesności" działem prozy. Jego pogrzeb odbywał się akurat w tym samym dniu, miejscu i czasie, co Włodzimierza Sokorskiego, którego Terlec zwykł nazywać „Wujem Chłodkiem", nie bez sympatii zresztą. Miałam duży dylemat, czy pożegnać Sokorskiego, z którym przepracowałam wiele lat w „Miesięczniku Literackim", czy pójść na pogrzeb Leszka, niejako „pokoleniowy". Wybrałam ten ostatni. Wspominam tu zmarłych kolegów, bo trudno nie poświęcić im chociaż tych paru słów pisząc o „Współczesności", by dać wyraz temu, że wciąż żyją w naszej pamięci.

Najpóźniej, bo przeszło rok temu, odszedł Józek Lenart. Był ostatnim redaktorem naczelnym „Współczesności". Znaliśmy się od bardzo dawna, lubiłam go, ale jego nominacja na naczelnego, kiedy Andrzej Lam przeszedł do „Miesięcznika Literackiego", nie wydała mi się najlepszym rozwiązaniem. Po pięciu latach pracy pożegnałam „Współczesność", by objąć dział krytyki w „Miesięczniku Literackim". Niebawem w tym zespole znalazł się również Leszek Terlecki, Jerzy Stajuda, a później również Aleksander Wieczorkowski.

„Współczesności" nie było już pisane długie życie. Niebawem miał ją przejąć Jerzy Putrament i na jej bazie stworzyć tygodnik „Literatura".

Anna Bukowska

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj" 2006.

Julia Salwa rozmawia z Ewą Kretkowską o twórczości Zdzisława Jerzego Bolka

J.S. Utwory Zdzisława Jerzego Bolka nazywa Pani Poezją uczucia. Dlaczego?

E.K. Zdzisław Jerzy Bolek należał do grupy twórców wydającej pismo „Współczesność". Badacze literatury szybko przenieśli tę nazwę na grupę poetów, mniej precyzyjni zaś zaczęli określać pisarzy tamtego okresu wspólnym mianem „Pokolenia '56". Uproszczenie, wyliczenia ułatwiają powierzchowne zorientowanie się w materii literatury, lecz w takim ujęciu pozostaje ona jedynie zbiorem faktów, wydarzeniami w historii kultury, nie zaś żywą materią, treściwym przekazem.

W Motcie Bolek pisał:

…mimo bełkotu uczuć
poprzez góry niejasności
poprzez przepaści słów
(…)
dojść
z jednym

kocham

(Motto)

Słowa poety znoszą wszelkie etykietki, które tak lubią nadawać ludzie, użytkownicy języka. Jedynie w żywej poezji odnaleźć można sedno, którego nie uchwycą żadne systemy czy próby klasyfikacji. A poezja Bolka wciąż pozostaje żywa i aktualna. Odczytując przesłanie autora wyraźnie, bezpośrednio obecne w wielu utworach, jego poezję nazwać można poezją uczucia. Wiele wersów poświęcił on opisaniu emocji. Siła i prawdziwość tego opisu paradoksalnie tkwi w jego spokoju. Miast ekspresji, Bolek wykorzystuje proste, często statyczne obrazy. Taka technika podkreśla istotność podejmowanego tematu.

J.S. Czym dla poety jest miłość?

E.K. Miłość – dla poety uczucie fundamentalne – w wierszach Bolka nie jest stanem przelotnym, intensywnym, acz krótkotrwałym, młodzieńczym porywem czy szałem zmysłów. W prezentowanej przez niego poetyckiej wizji świata uczucie stanowi sens istnienia, przenika całą jego istotę, zagarnia wszystko co ważne, co nieodzowne wartościowemu życiu. Takie widzenie miłości, a co za tym idzie ogólnej kondycji człowieka, wyłaniające się z wierszy, jest poniekąd obrazem stanu doskonałego, stanu świadomości, który należy osiągnąć poprzez swoistą aktywność. Nieustanne poszukiwanie i odnajdywanie miłości jest tu równoznaczne z ciągłym aspirowaniem do pełnej egzystencji. W wielu utworach jest mowa o odkryciu takiego sposobu postrzegania siebie i świata – miłość przychodzi lub domaga się odkrycia, jest wydarzeniem zapisanym w kosmicznym porządku, ale jej objawienie się w życiu nie równa się czemuś naturalnemu i danemu każdemu człowiekowi. Odkrycie miłości to swoisty dar. Bo choć celem człowieka powinna być miłość, to pozostaje ona pewną tajemnicą. Tajemnicą, która zawsze przynależy cudowi.

J.S. Jak to rozumieć?

E.K. Nie sposób nie zauważyć w przytoczonej koncepcji uczucia pewnych podobieństw do miłości romantycznej. Uczucie jako podstawa życia, jego jedyny sens i cel wyraźnie odsyła do dziedzictwa romantycznego. Jednakże w wierszach Bolka urzeka, a jednocześnie czyni je bliskimi czytelnikom, odesłanie do bardzo konkretnych, dających się uchwycić, doznań. Emocjonalność omawianej poezji nierozerwalnie bowiem łączy się z jej sensualizmem. Zmysłowy odbiór rzeczywistości jest tym, co przynosi owo najbardziej istotne odkrycie, odkrycie miłości. Miłość przychodzi poprzez zmysły i dzięki nim się objawia. Jednocześnie wyraźnie zakorzenia w rzeczywistości, otwiera na jej przejawy.

J.S. Na przykład?

E.K. Pozwolę sobie zacytować fragment jednego z wierszy Bolka:

…podbiegła do mnie
wzięła za ręce
myślałem
zabierze
do nieba
lecz ona

pocałowała

i
wtedy poczułem
bardziej ziemię…

(Błyskawica)

Widać więc, że miłość ta nie jest odsyłaniem do bezcielesnego świata idei, wymykaniem się z porządku ziemskiego czy azylem przed niedoskonałym światem. Doznanie uczucia wikła w paradoks. Z jednej strony bez wątpienia jest doznaniem transcendencji, z drugiej zaś dopiero ono pozwala głębiej odczuwać świat we wszystkich jego przejawach, w tym materialnych.

J.S. Miłość i rzeczywistość…?

E.K. Odnalezienie miłości jest równoznaczne z afirmacją rzeczywistości, ale nie zanegowaniem jej wad ani odrzuceniem pytań o jej właściwości, celowość lub bezcelowość jej wydarzeń. Wątpliwości i pytania są obecne w poezji Bolka, choć niewyszczególnione graficznie, gdyż poeta konsekwentnie porzuca interpunkcję. Pytania te wiele mówią o kondycji bohatera lirycznego.

J.S. Miłość nie zawsze jest Arkadią…?

E.K. Relacja między dwojgiem ludzi nie jest wolna od napięć. Jak wcześniej napisałam: kochankowie odnajdując się, nie tworzą własnego świata, bezpiecznego, bo odrębnego od powszedniej rzeczywistości. Dlatego wciąż obecny jest strach przed utratą, rozstaniem, tęsknotą, ciągła ambiwalencja między uczuciem a tym, co jest poza nim:

> ...tobie ustępuje wszystko gdy wchodzisz
> niesiesz usta
> niesiesz kolory włosów i kolory ciała
> morski zapach słońca i ramion otwartą przestrzeń
> w którą wchodzę jak w wieczność
>
> i tylko ten powrót
>
> boimy się pękającego pyłku ziemi
> będą umierały kolory i kształty najbliższe
> w jednym błysku wejdzie ciemność
>
> (Powrót z wieczności)

J.S. Słowem miłość…?

E.K. Zakorzenia w rzeczywistości. Druga osoba, obiekt uczuć, może dawać chwilę wytchnienia, spokoju, lecz tym samym zauroczenie nią może mieć moc alienującą. Tajemnica, która wydarza się między dwojgiem ludzi staje się chwilową ucieczką, ale w wizji Bolka nigdy zapomnieniem o świecie. Właśnie niedoznanie miłości odmawia człowiekowi uczestnictwa w życiu, w prawdziwym porządku świata.

Skoro to uczucie sprawia, że mocniej czuje się ziemię, jego brak jest wyrwaniem z rzeczywistości, z istoty bytu.

Ów brak zakorzenienia w rzeczywistości, wynikający z braku uczucia, przejawia się bardzo czytelnie w metaforyce odsyłającej do obrazu pustyni (Noże białe, Poza granicę snu, Pustynia, Zawsze jest trochę światła). Wszędzie jest ona skontrastowana z obrazami kontaktu z drugim człowiekiem. W wierszu Zawsze jest trochę światła, choć główną adresatką apostrof jest wyobraźnia, to jest ona porównywana do zmysłowego aktu dotknięcia drugiego człowieka. Prawdziwa i twórcza jest jedynie relacja między kochankami, wszystko, co pozostaje poza nią, kryje zasadzkę jałowości.

J.S. Dlaczego świat bez miłości to pustynia?

E.K. I przestrzeń zupełnie jałowa. Pozbawiona celu egzystencja w niej również nie posiada sensu. Wartość emocjonalnej relacji z drugim człowiekiem stanowi o wartości życia w ogóle. Język przynależy do rzeczywistości, zatem w większości użyć jest tak samo jak ona jałowy. Daje złudzenie komunikacji, wyrwania z pustki (pustyni?), samotności. Ta zdradliwa właściwość języka objawia się najpełniej właśnie wtedy, gdy musi on posłużyć dla wyrażenia prawdziwej wartości, czyli uczucia. To tu przepaści słów są najbardziej odczuwalne.

Stąd liryczne wyznania miłosne w poezji Bolka są zazwyczaj lapidarne, poszatkowane, łamiące reguły składni, tym samym próbując się wyrwać z jałowości. Narzędzie bezcelowego chaosu musi zostać zmienione na formę przekazu, przekazu najdonioślejszej treści. Poezja jest medium mającym zaprzeczyć niewyrażalności uczucia.

Bolek dla wypowiedzenia szuka drogi poprzez minimalizm, poprzez zawieszenie głosu, niejako obnażenie przepaści i złożenie deklaracji niezasypywania jej, pozostania w opozycji do codziennych właściwości języka:

> powietrze uderza o brzeg czerwonych warg moich
> oddech niepodobny do wichru
> nie ma siły łamiącej morską równinę
> nie tworzy niezrozumiałego huku lecącego z gór ale szept
> który uspokaja niebieskość twoich oczu…
>
> (Kiedy mówię: kocham)

Ów minimalizm sprawia, że sens, który poeta stara się uchwycić zostaje umieszczony niejako słowami, pomiędzy nimi. Brak interpunkcji pozwala swobodnie łączyć kolejne wersy, kolejne wyrazy w nich. Zaufanie do języka poddane zostaje w wątpliwość właśnie przez jego użytkowanie w sytuacjach codziennych, którym umyka istota egzystencji, przez podatność języka na manipulację, jego dającą się łatwo wykorzystywać instrumentalność. Dlatego wyznanie liryczne sprawia wrażenie poszarpanego, wyrwanego z obowiązującego porządku. W wyznaniu lirycznym słowa mają opisać ciszę.

Między moimi oczami i twoimi dłońmi
i gwiazdą na niebieskim brzegu mojego spojrzenia
(…)
i między wargami nieśmiałymi rozchylonymi z zachwytu
jest nagle pustka

cisza

kiedy język płomienny szuka sensu barwy i dźwięku

(Przedsłowie)

J.S. Czy wszystkie wiersze Z.J. Bolka dotyczą tylko miłości?

E.K. Wśród wierszy Bolka da się również wyszczególnić utwory bardziej narracyjne. Znamienne jest to, że dotyczą one refleksji nad rzeczywistością ludzką, niekiedy społeczną – znów więc tematyka bezpośrednio dotyczy człowieka rozumianego jako konkretne istnienie. Jak ma się to w przypadku wierszy Rzecz najcenniejsza lub W biegu codzienności. Oba ukazują ułudę, którą karmią się ludzie nieznajdujący w swym życiu miłości. Wszystko, co ich otacza, to tylko przedmioty, wszystko, co przeżywają, to tylko niedający wytchnienia pośpiech. Przedmioty – sycą złudą zdobywania, pośpiech – intensywnością życia. Konstatacja jest jednak bardzo gorzka:

…coraz mniej miejsca i coraz mniej ruchu
maleńkie kroczki
zdobywco odkrywco
maleńkie kroczki
do przodu do tyłu

jak w małej celi
jakbyś uwięziony
(Rzecz najcenniejsza)
…w tej szybkości
w biegu który potwierdza naszą moc! naszą moc?
otwiera nam nieznane w nowym poranku
(…)

kto jest szybszy
nasze serce nasze marzenie
czy finisz
który zawsze kończy się

ucięty jak toporem

(W biegu codzienności)

Świat pozbawiony uczucia jest światem martwym, mającym ostateczny koniec. Koniec, któremu nie tylko nie można zapobiec, ale który poza pewnością, że nadejdzie jest absolutną niewiadomą. Człowiek zdany jest na przypadek – jego świadome działania w przeważającej części prowadzą jedynie do zbudowania więzienia: własnych postanowień, zobowiązań wynikających z posiadania, relacji z innymi ludźmi opartymi na wspólnych interesach. Wszystko to może być w jednym momencie zanegowane przez nieuchronny, a jednocześnie, paradoksalnie przypadkowy, koniec.

J.S. A rola języka w wierszach Bolka?

E.K. Przez zamęt języka, przez chaos codzienności przebija się dramatyczne wołanie o Prawdę. Tak jak w wierszu Twarz:

Wytrzyj szminkę
I puder
Twoja twarz
Pokaż mi twoją twarz
(…)
Odsłoń twoją twarz

Będzie blada
Blade jest niebo o świcie
czyste
Wtedy kocham więcej
ciebie
i małego
i drzewo z ulicy w oknie
i niebo…

(Twarz)

Wołanie nie jest krzykiem. Podmiot liryczny wyszeptuje swoim apelem spokój, często zobrazowany elementami przyrody i miłość. Stan ich osiągnięcia można nazwać stanem osiągnięcia Prawdy.

J.S. Proponuję podsumować twórczość Z.J. Bolka.

E.K. Mocą przekazu Bolka jest konkretność przedstawionej koncepcji rzeczywistość. Poeta stawia diagnozę, jednocześnie wskazuje drogę, którą wybrał sam, w którą wierzy jako w prowadzącą do obranego celu. Postawa taka bardzo mocno łączy się z nieustanną aktywnością. Wybranie drogi, sposobu życia jest przyjęciem roli człowieka poszukującego. Miłość nie jest raz na zawsze darowaną łaską. Wciąż domaga się uwagi, dostrzegania, odkrywania na nowo, gdyż jedynie wtedy można ją odczuwać, a odczuta wpływa twórczo na całe życie. To zmaganie się o ciągłą aktywność zostało uwypuklone w całej swej dramaturgii w wierszu zatytułowanym Przesłanie synowi. Utwór kończy się deklaracją, którą można uznać za paralelną do tej wyrażonej w motcie. Bolek pisze w Przesłaniu, że wszystkie wysiłki podporządkowane są jednemu:

starając się starając się aż do łez
odróżniać pozory od rzeczywistości

(Przesłanie synowi)

Zestawiając te dwa wyznania, daje się zauważyć ich komplementarność. W obu wyraźna staje się opozycja między rzeczywistością a codziennością(?), tym, co dane jest człowiekowi bezpośrednio, co bardzo często bierze on za świat realny.

Z tą materią, która przez Bolka uznawana jest za zbiór pozorów, trwa, musi trwać, nieustanne zmaganie. W Motcie owo zmaganie dotyczy językowego wymiaru świata, słów mogących zakłamać fundamentalne i nieodzowne pełnemu życiu wyznanie. W Przesłaniu opis dotyczy szerszego postrzegania: zakłamane mogą być uczucia, relacje między ludźmi. Zmagać się trzeba zarówno z własnymi wyobrażeniami o świecie, jak i poczuciem wyobcowania z niego.

J.S. Jaką rolę pełni czas w twórczości Z.B.

E.K. W wierszach Bolka zatarty zostaje czas i ostro zarysowana przestrzeń kulturalno-społeczna. Pozostaje człowiek w najbardziej uniwersalnym znaczeniu i jego pytanie o życie, nie tyle jego sens, co sposób na nie. Bolek udziela odpowiedzi, lecz jednocześnie wciąż stawia przed oczami problem do rozwiązania. W tej odpowiedzi bowiem tkwi nieustanna konieczność do zadawania pytań.

Rozmawiała Julia Salwa

LESZEK SZYMAŃSKI

Wspomnienie o Marku Hłasce – Spotkanie w Los Angeles

Na podstawie wywiadu-rzeka Danuty Błaszak z Leszkiem Szymańskim legendarnym założycielem Współczesności.

O zdemolowanych barach w Los Angeles nigdy nie słyszałem. Marka znalem z „Po prostu" i wyczekiwań u Wilhelma Macha – naczelnego Kultury. Przyjaźnił się z Romanem Śliwonikiem. Nie był założycielem Współczesności. Wtedy w roku 1956 dystansował się od nas, chociaż podpisywał petycje.

W latach 1958–1966 nie mieliśmy kontaktu na emigracji. Marek był protegowanym Giedroycia, a ja nie. Prócz tego, a to chyba najważniejsze, ja byłem w Australii, a on w Paryżu i Izraelu. Spotkaliśmy się ponownie w Los Angeles w ostatnim roku jego życia.

Nie wiedziałem wcześniej o planach Romana Polańskiego ściągnięcia Marka Hłaski do Los Angeles w roku 1966. To była dla mnie niespodzianka.

O tym, że Romek Polański ściągnął Marka do Los Angeles dowiedziałem się właśnie od Marka. Dokładnie nie pamiętam, kiedy i jak, ale Marek pokłócił się z Romkiem, któremu miał pisać scenariusz.

Zaraz po moim przyjeździe do Los Angeles, Danusia Zawadzka poinformowała mnie, że Marek tam mieszka i dala jego adres na Wilshire.

Wilshire zaczyna się w samym sercu miasta i idzie w prostej linii, przez Santa Monica, do Pacyfiku. Jest to główna arteria Los Angeles, długa na kilkanaście mil. Wzdłuż niej, wtedy były głównie banki, hotele, rozmaite oficjalne budynki i luksusowe kondominia. Adres na tak ważnej i drogiej ulicy zadziwił mnie, ale wiedząc, że Marek jest pisarzem o międzynarodowej sławie myślałem, że odpowiada to jego kieszeni. Jak się później okazało, jego kieszeń była jeszcze bardziej dziurawa niż moja.

Po przeszło godzinnej jeździe autobusem dotarłem wreszcie w pobliże jego numeru i okazało się, że to był jeden z bardzo już nielicznych starych budynków, prawie rudera. Marka już tam nie było. Nowi i gościnni lokatorzy, jacyś studenci – hipisi z UCLA, Westwood, znali Marka, ale nie jego adres, obecnie gdzieś w Hollywood.

Znalazłem go wcale nie w Hollywood. Mieszkałem w starym czynszowym domu w pobliżu śródmieścia i centralnej miejskiej biblioteki i Domu Polskiego, założonego gdzieś na początku dwudziestego stulecia przez polskich socjalistów. Pozostały po nich stempelki na książkach bibliotecznych. Dziś funkcje tego domu sprawuje polski Kościół na Adams, do którego powstania przyczyniła się hojność pani Apolonii Chałupiec, znanej jako Pola Negri.

Właścicielem „mojego" domu był niejaki pan Świątek, milioner, ale skąpiec, który gnieździł się w jednym pokoiku wraz siostrą, jak mnie zapewniał nieoceniony gawędziarz (i plotkarz) Bohdan Brym. Budynek był bez windy i gdy wreszcie wspiąłem się na ostatnie piętro, któż siedział na schodach pod drzwiami mojego apartamentu? – Marek Hłasko! Marek nie zmienił się, raczej odmłodniał i wyglądał wręcz chłopięco, zwłaszcza z krótko ostrzyżonymi włosami. Ubrany po sportowemu. Padliśmy sobie w objęcia i zaczęliśmy się sobie spowiadać, z tego co się z nami działo w ciągu ostatnich lat. Ale zaczęliśmy opowieści od ówczesnego ranka. Od tego spotkania zaczęła się nasza przyjaźń i współpraca literacka.

Marek opowiadał, że wtedy obudził go tubalny glos Leonidasa Ossetyńskiego, który stał pod oknem jego mieszkania na Pointsettia i wykrzykiwał na cale Los Angeles, że Szymański przyjechał do tego słynnego miasta Aniołów. Marek

wsiadł w swój samochód i wkrótce już całował klamkę drzwi mego apartamentu. Postanowił poczekać, no i doczekał się.

Marek był bez pracy i pieniędzy. Zaprosił go do Los Angeles Roman Polański. Chciał od Marka scenariusz. Chyba zapłacił za przyjazd i pokrył koszt utrzymania przez pierwsze dni. Ale rychło się poróżnili i ze współpracy nic nie wyszło. Odniosłem wrażenie, że Marek jest poróżniony z wieloma osobami. Miał też jakieś zatargi z Sakowskim z Londynu. Wyglądało na to, że miał rozmaite pretensje do Romana, ale nie wypytywałem się o szczegóły. W konkluzji Marek stwierdził, że gdyby nie te ich nieporozumienia, to pewnie byłby zamordowany wraz z żoną Polańskiego i Wojtkiem Frykowskim. Pamiętam, że określił Sharon Tate jako wysoką „gidię".

Marek nic nie mówił, dlaczego Roman Polański wycofał się ze swojego zamierzenia nakręcenia filmu według jego scenariusza. Nie wiem czy ten scenariusz został napisany.

W owym okresie od „oficjalnej" Polonii Marek trzymał się raczej na uboczu. Zasadniczo „opiekował" się nim Leonidas Dudincew Ossetyński, aktor i poeta. Dyrektor szkoły aktorskiej, gdzie uczył pupilków metodą Stanisławskiego i Grotowskiego. Miewał jakieś podrzędne role w rozmaitych filmach. Finansowo dawał sobie rade jako tako. To Leonidas wystarał się Markowi o te mieszkanie na Pointsettia. Bardzo obszerne, staromodne i na spokojnej ulicy w pobliżu Hollywood. Fizyczne zdrowie Marka było pod dozorem doktora Otto Lauterbacha, przyjaciela pisarzy, człowieka typu Mieczysława Grydzewskiego. Przez pewien okres Marek kolegował się z Henrykiem Grynbergiem.

Mój przyjazd trochę pomógł Markowi, bo, ja dzięki Doktorowi Michałowi Zawadzkiemu i jego żonie Danusi, miałem poprawne stosunki z „oficjalną" Polonią, zasadniczo tą wojenną. Leonidas, ekscentryk i aktor, to była „bohema'! Ja – ni pies, ni wydra, podobnie jak w Polsce, nigdzie nie pasowałem. Dla „bohemy" byłem zbyt burżujski", dla burżujów zbyt cygański! W Polsce dla partyjniaków zbyt buntowniczy i niezależny, dla innych zbyt oportunistyczny i ugodowy.

Ale wracając do rzeczy. Markowi zaczął pomagać Szczepan Zimmer, autor książki z „Chałupy na Parnas" o Kasprowiczu. Zimmer był dyrektorem biblioteki szpitalnej, gdzie też wystarał się o pracę dla mnie. Pamiętam jak kiedyś u mnie siedzieli, na parapecie okna z Markiem, oświetleni promieniami zachodzącego słońca, tak jak by pozowali dla potomności.

Samopomoc oferowała Markowi pożyczkę. Danusia Zawadzka wystarała się mu o pracę u Wnurowskiego, nie pomnę imienia. Weterana i właściciela fabryczki w sienkiewiczowskim Anaheim.

Marek zaczął się interesować Różą Piłsudską.

Dziwiłem się, że Marek nie próbuje jakiejś pracy biurowej i ubiega się o pracę 'helpera', tj. niewykwalifikowanego robotnika. Na co on odpowiadał, że do pracy biurowej się nie nadaje.

W końcu Wnurowski, w Anaheim dał mu pracę w swej fabryce. Pamiętam, że chciał wziąć Marka do „offisu", ale Marek odmówił. Więc przenosił blachy z jednego miejsca w drugie. Ciął sobie dłonie i dezynfekował czerwonym środkiem odkażającym, Te prawie ukrzyżowane ręce pisarza robiły straszliwe wrażenie. Symbol pisarstwa emigracyjnego. Na proste pytanie, dlaczego nie używa rękawic odpowiedział, że blacha się wyślizguje.

Jak spędzaliśmy czas? Często wtedy jeździliśmy na plażę (Marek jak się wyrażał był „wodniakiem") wraz z moją pierwszą małżonką Jadwigą (Marek twierdził, że jest to jedna z nielicznych osób, które nic złego o innych nie mówią. Uczył ją też jazdy samochodem) i Leonidasem, wtedy jeszcze nieżonatym. W związku z tym pamiętam, że któregoś upalnego dnia wyraziłem zdziwienie, że tylu mieszkańców naszej ulicy spędza czas piekąc się na chodnikach, zamiast pojechać nad ocean. Na co Marek odpowiedział, że większość z nich nie ma samochodów. Dojazd autobusem ze śródmieścia jest kosztowny i długi. Prócz tego może się lepiej czują w mieście niż na łonie natury. Prawdy oczywiste, ale jakoś nie przyszły mi do głowy.

Leszek Szymański

Agnieszka Herman rozmawia z Romanem Śliwonikiem, 1997.

Po ośmiu latach od wydania ostatniej książki, Roman Śliwonik wydaje tom poezji z nowymi wierszami. Książka, która niedługo po tej rozmowie ukazała się w Bibliotece „Magazynu Literackiego", nosi tytuł „Tylko wzruszenie".

Ostatni tomik wydał Pan w 1989 roku. Dlaczego taka długa przerwa; blokada wewnętrzna czy problemy z wydawcami?

Nie miałem nigdy trudności z pisaniem. Chociaż w życiu nie zawsze zdążam ze wszystkim, napisałem dotąd 20 książek. „Rozszerzanie sekundy"

złożyłem w Państwowym Instytucie Wydawniczym, w którym wydałem wcześniej wiele tomików, prozę i poezję. Ale oficyna ta miała w nowym czasie, jak wiele innych państwowych wydawnictw, trudności z dostosowaniem się do warunków gospodarki rynkowej. Mało wtedy drukowano poezji, rozwiązywano umowy z autorami, ale podpisywano je z innymi, kolejno wybranymi przez siebie autorami. Mnie co prawda zapłacono honorarium, ale książkę oddano. Papierowe koło musi się przecież kręcić.

Nie zwrócił się Pan do innych wydawnictw?

Napisałem do dwóch. Z jednego przyszła odpowiedź, że mają dość swoich autorów. Z drugiego nawet nie otrzymałem odpowiedzi. Do chamstwa nadal nie mogę się przyzwyczaić.

Nie było chyba tak źle. W 1993 roku pewien młody człowiek wznowił Pana pierwszy tomik, wierząc, że „w dobie spontanicznie rodzącej się wzmożonej potrzeby obcowania ze światem duchowym człowieka, Śliwonikowa poezja wolności i ciszy trafia w swój czas i rychło znajdzie gorących wielbicieli".

Tak. Janusz Kotara wydał „Ściany i dna". Tacy może byli Kolumbowie, bezinteresownie chcący dzielić się ze światem tym, co uważają za cenne również dla nich samych. Tacy z pewnością są poeci. Może dlatego ja sam piszę – bo w końcu pisanie to dzielenie się, albo zachowywanie drogocenności.

Na brak wielbicieli nie może Pan zatem narzekać.

Mogę. Chociaż rzeczywiście dostawałem telegramy; ludzie dzwonią do mnie i nie przedstawiając się dopytują, kiedy będzie kolejny tomik. Kiedy ostatnio byłem na spotkaniu w Siedlcach, pewna studentka wyznała, że po mój autograf przyjechała z Krakowa. Ktoś powiedział, że powinno się czytać, jeśli jest na sali choć jedna osoba.

Takich zaprzysięgłych zwolenników ma Pan wielu. Jerzy Kryszak wyznał w telewizji Ninie Terentiew, że na bezludną wyspę zabrałby przede wszystkim Pana książki. Czy ma Pan idealnego Czytelnika, dla którego Pan pisze?

Może mam kilka osób, do których się wewnętrznie zwracam. Są to zawsze ludzie wybrani spośród innych. Z pewnością są to ci, których kochamy, najbliżsi. Bóg, który pozwala mi się wypowiedzieć.

Czyli odnalazł Pan Boga?

Musiałem, albowiem życie bez Boga nie miałoby sensu. Musimy ten kosmos czymś lub kimś wypełnić. Bardzo trudno samemu mierzyć się z nicością. Próbowałem pustkę wypełnić poezją, ale w tej poezji zawsze był Bóg.

Nie tak postrzegają Pana krytycy. „Można w sumie uznać **Śliwonika** *za najbardziej reprezentatywnego przedstawiciela „Współczesności". które Marksa już się nie bało, a Boga na próżno usiłowało odkryć w sobie" – napisał Piotr Kuncewicz w jednym z tomów „Agonii i nadziei".*

Nie można uznać. Mało kto wie, że w założonym przeze mnie i grupę młodych pisarzy dwutygodniku „Współczesność: zamiast manifestu poszedł mój felieton. Czuję się jednak przede wszystkim przedstawicielem Romana **Śliwonika**.

W książce Kuncewicza możemy dalej przeczytać: „Sama poezja natomiast nie dawała się sprowadzić do jakiejś jednej wyraźnej formuły, ani też do jakiejś szkoły lub wpływu. Z tomiku na tomik poezja się zmienia. Są oczywiście cechy stałe, takie jak nastrój, powaga, zamyślenie, ale całość jest już inna".

Ja szukam, stale szukam. Może jest to potwierdzenie czegoś metafizycznego i mało pojmowanego, że człowiek rodzi się poetą, myśli poezją, a nawet nią żyje.

Pan urodził się poetą?

Tak. Jest to urodzenie szlachetne, ale kłopotliwe. Zmieniam się razem z moją poezją, chcę inaczej nazywać rzeczy. Z poezją człowiek mądrzeje, zmienia się perspektywa, wiele rzeczy wydaje się mniej ważnych. Są to jednak poszukiwania nie tylko formalne, ale i myślowe. Mam wewnętrzne przekonanie o słuszności rozwiązania myślowego i artystycznego, a równocześnie świadomość rozminięcia się. To wieczne rozchodzenie się jest jedną z największych i najbardziej gorzkich inspiracji.

„Jest poetą egzystującym jakby obok rojnego poetowiska, chodzący własnymi – bywa pijanymi – drogami...". Tak charaktery żuje Pana Jan Adam Borzęcki. Czy alkohol pomaga Panu w pisaniu, inspiruje?

Od 7 lat nie piję nawet piwa i nie dlatego, że nie mogę. Nie chcę.

Pana pokolenie miało odmienny stosunek do alkoholu. Grochowiak, Iredyński, Kryska związali się z nim aż po grób. Pan się od alkoholu odżegnuje. Jakie jest to trzeźwe spojrzenie?

Bardziej wrażliwe, ciekawsze, szersze i wyostrzone. Nie wiem, po co piłem, przy mojej wyobraźni wódka tylko ogranicza. Ludzi przeciętnie zdolnych wódka na moment powiększa, kreuje. Mają chwilę rozbłysku, wydają się nam, czy raczej sobie, ciekawsi. Ja muszę wyobraźnię swoją dyscyplinować – nie brak mi podniet, nie muszę ich szukać w alkoholu. Kiedyś z Grochowiakiem przeprowadziliśmy eksperyment, postanowiliśmy, że napiszemy po wódce wiersze, a potem sobie pokażemy to, co powstało. Oczywiście były to bełkoty. Wódka ma to do siebie, że mała ilość nie działa, natomiast większa powoduje, że nie można pisać. Napisałem poemat „Biała gorączka", przedstawiający stan po wódce, ale to nie było napisane po wypiciu. Jeśli coś po wypiciu powstało, na pewno nie było dobre.

Jest Pan zatem pisarzem, który traktuje poezję bardzo tradycyjnie: powstanie, natchnienie, powaga...

Od początku jestem taki sam. Każdy może zostać poetą, każdy, kto ma komputer, maszynę do pisania, czy wręcz kartkę i długopis. Jednak stosunek do poezji jest również sposobem życia. Być poetą, to powołanie i praca. W literaturze przeszkadzają mi piszący, którzy chcą być poetami za wszelką cenę – ludzie, dla których jest to zajęcie, z którym nie chcą i nie potrafią zerwać. Zakamarki i rzekome zawiłości warsztatowe są dla mnie przejrzyste, jeśli ktoś klepie metaforę jak podeszwę, nawet jeśli siedział nad nią osiem lat, aż ją wyklepał jak szewc, rozciągnął, spłaszczył, nadał taki czy inny kształt, to w dalszym ciągu jest to tylko klepanie. Za dużo tego usiłowania. Może takie formy powinny nazywać się zapisami, bo z wierszami najczęściej nie mają wiele wspólnego.

Ma Pan duże poczucie humoru, ale w wierszach nie ma po tym śladu.

Napisałem teraz komedię. W wierszach nie lubię ironii nadającej się raczej do błyskotliwych rozmów salonowych.

A rodzaj subtelnej ironii u Wisławy Szymborskiej...

Lubię czytać również i taką poezję, ale sam tą metodą się nie posługuję.

Nie chce Pan być rzemieślnikiem, nie nęci Pana blask salonów. Jaki jest styl Pana pracy?

Niewiele rzeczy wyrzucam, mało kreślę. Mało pracuję na papierze, mam myślowe skreślenia. Muszę nawet pisać na ładnym papierze! Do pisania się przygotowuję, nie zapuszczam brody, tylko się golę, zakładam białą koszulę. Muszę być czysty zewnętrznie i wewnętrznie, nie lubię pisać w kapciach.

Literatura nie ma dla mnie tajemnic warsztatowych, mogę być bezradny w sensie myślowym, być może nie przyszła na mnie pora mądrości najpełniejszej, ale wobec samej twórczości nie jestem bezradny.

A czy nie przeszkadza Panu sytuacja stabilności: uczuciowa i materialna?

Mam piękną żonę, którą kocham. Materialna stabilizacja mi nie grozi, wszak żyję z pisania.

Imperatyw pisania może być przekleństwem stabilnego układu rodzinnego.

Początkiem jest powołanie, wybranie. Potem mądrzejemy w trakcie procesu pisarskiego. Dzięki poezji osiągnąłem trochę inny wymiar człowieczeństwa. Ale gdy człowiek z jakichś potrzebnych mu względów uzna się za kogoś odrębnego, to równocześnie dostrzega, że gdyby nie był z innymi, nic by nie osiągnął.

Proszę mi powiedzieć, dlaczego w Pana poezji nie ma cytatów, nie posługuje się Pan nazwiskami innych, nie ma śladu lektur...

Co miałem przeczytać – przeczytałem, nie powołuję się na lektury. Wydaje mi się, że pisanie erudycyjne nie powinno się znaleźć w tkance myślowej, z jakiej składa się wiersz. Ktoś napisał, że jestem jedynym pisarzem polskim, u którego nie znalazł motta. Nie lubię podpórek myślowych, czasami motto więcej mówi niż wiersz. Po co więc dalszy tekst? Poezja to kształt, dramaturgia, to słowo, czystość, nawet gdy jest z samego brudu. Wsadzanie doń obcych tworów jest barbarzyństwem. Nie lubię szarości, mówienia o niczym, wewnętrznego pędu poety, żeby zabłysnąć jedną metaforą. Wygląda to tak, jakby poeta terminował u tekściarza, łowił złotą myśl, która uwiedzie czytelnika.

Stawia Pan sprawy na ostrzu noża.

Czyżbym miał coś z kaznodziei?

Na to wygląda. A czy bycie poetą to misja, powołanie, sumienie narodu?

Tak, a jeśli niezupełnie – to chociaż jest to zapis świadomości lub braku świadomości. Chociaż poezja nie jest od tego, by zastępować publicystykę. Dosłowność gazetowa zabija poezję. Zapis alkoholowy, orgiastyczny, narkotyczny, polityczny jest tylko nieporadnością.

W swoich utworach sięga Pan po struktury uniwersalne, ale znajduję również takie, które odnoszą się do sytuacji tu i teraz. Pojawiły się nawet nazwiska polityków.

Dwa razy. Po wybuchu stanu wojennego napisałem list otwarty do generała Jaruzelskiego, a w najnowszym tomie będzie wiersz o Wałęsie. Zasłużył on na to tak, jak człowiek epoki – Papież. Los umieścił mnie na niełądnej równinie, która nazywa się Polska i jako człowiek myślący mam obowiązek zajmowania się sprawami kraju. Taka jest rola pisarza.

Czy poezja powinna być dokumentem czasu?

Muszę czasem odzywać się w imieniu kraju, muszę upomnieć się o innych, o upokarzanych, mam obowiązek nazywania spraw takimi, jakie są.

Dlaczego nowy tom zatytułował Pan „Tylko wzruszenie"? Kiedyś powiedział Pan, że wiersz bez spoidła, jakim jest wzruszenie – a wzruszenia bywają różne – jest niewypałem.

Chciałem, żeby czytający mógł przeżyć wzruszenie i zamiaru tego nie ukrywam.

Cenimy każdy wiersz, ale w książce służy on również temu, że staje się on budulcem mającym stworzyć dzieło. Książkę. Nielicznym to się udaje. Sądziłem, że będę lojalny wobec czytelnika mówiąc, o co chodzi, czego może poszukiwać, czego może się spodziewać.

Oczywiście mógłbym pisać kryminały, ale piszę wiersze – po to, żeby wywoływać w ludziach pewien rodzaj duchowości, ponieważ widzę, że tej duchowości brakuje.

ROMAN ŚLIWONIK

MY

My jesteśmy określoną cząstką czasu
zanim zaczniemy budować
nowe stopnie lat
nie pozwólmy
żeby nam kazano dźwigać kamienie
na piramidy
krew rąk naszych
będzie dla pokoleń
tylko symbolem daremnego bólu
nie możemy mieć jednej twarzy
niewolnika faraonów
oto wiosna zieloną kredką
rysuje radość drzew i kwiatów
w jej słońcu
jak w pieśni
odnajdziemy swoje twarze
odnajdziemy radość rąk
zanim zaczniemy budować
nowe stopnie lat

1956

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj” 2006.

Danuta Błaszak rozmawia ze Zbigniewem Irzykiem o Grupie „Współczesność”

Jak powstała Grupa? Jakie są Pana związki ze „Współczesnością”?

Do Grupy literackiej „Współczesność” dołączyłem kilka miesięcy później, dopiero jak powstało pismo o tej samej nazwie. O okolicznościach jej założenia na Woli w mieszkaniu Alicji Wankracowej wiem tylko z opowiadań Jerzego Siewierskiego i Romana Śliwonika. Wtedy była to bodaj pierwsza tego rodzaju grupa poetycka, jaka powstała w Polsce po wojnie. Nawiązywała ona do tradycji literackich lat trzydziestych, kiedy istniały u nas „Skamander”, „Żagary” czy „Przedmieście”. Po powstaniu naszej grupy wybuchła moda na podobne inicjatywy w całym kraju (jak np. Poznański „Swantewit” czy krakowska „Muszyna”). Młodym literatom o nieznanych zupełnie nazwiskach łatwiej było wspólnie zaistnieć w życiu artystycznym niż osobno. Grupa literacka „Współczesność”, gdy do niej dołączyłem, była stosunkowo nieliczna i w zasadzie pokrywała się ze składem redakcji. Należeli do niej m.in. Leszek Szymański, Jerzy Siewierski, Jerzy Czajkowski, Andrzej Chaciński, Marian Ośniałowski, Zdzisław Jerzy Bolek, Andrzej Korczak, Mirosław Malcharek. Mniej więcej do połowy 1958 roku jej członkowie pozostawali głównie redaktorami „Współczesności”. Potem skład osobowy dwutygodnika, na skutek częstych interwencji i nacisków różnych czynników zewnętrznych, podlegał stałym zmianom. Powstanie grupy niejako zainspirowało jej założycieli do powołania pisma młodych i również w tym sensie stanowiło przełom w naszym życiu literackim.

Moje związki z pismem datują się od listopada 1956 roku. Pełniłem w nim obowiązki redaktora i publicysty, przynosząc „Współczesności” pewien rozgłos swoimi pamfletami i artykułami. Byłem wówczas studentem polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim i uczęszczałem na seminarium Jana Kotta. Marzyła mi się kariera naukowa. „Współczesność” całkowicie odmieniła moje plany życiowe i przyczyniła się do tego, że związałem się na stałe ze środowiskiem młodo-literackim i dziennikarskim. Bezpośrednio do pracy nakłonił mnie mój serdeczny kolega, Jerzy Siewierski, redaktor w „Nowych Książkach”, ceniony później autor

powieści o tematyce historycznej i kryminalnej. We „Współczesności" w jej bohaterskim okresie panowała duża niezależność i swoboda twórcza, a także wspaniała atmosfera – pomimo ciągle ponawianych nacisków politycznych ze strony władz, domagających się od nas jasnej deklaracji ideowej.

Zadebiutowałem w trzecim numerze, wspólnie z moim przyjacielem i kolegą szkolnym z gimnazjum, Wojciechem Górskim, artykułem „Edgar Allen sfałszowany," stanowiącym polemikę z Januszem Wilhelmim, ówczesną szarą eminencją partii, autorem wyboru pism wybitnego poety i prozaika amerykańskiego. Z Jerzym Łojkiem, przyszłym historykiem, autorem „Dziejów pięknej Hitynki", „Agresji 17 września 1939 roku" i „Dziejów sprawy Katynia" połączyła nas więzami przyjaźni nie tylko wspólna pasja pisarska, ale wyjątkowa wspólnota duchowa, wynikająca z naszych osobistych losów. Obaj byliśmy sierotami wojennymi, ofiarami represji stalinowskich. Jerzy był synem majora dr Leopolda Łojka, zamordowanego w Katyniu. Mój dziadek Franciszek Irzyk – wiceprezydent Lwowa i ojciec Karol zostali rozstrzelani przez bolszewików...

Wkrótce zostałem redaktorem (od 4. nr w kolegium redakcyjnym) i kierownikiem działu krytyki literackiej, autorem wielu publikacji drukowanych na jej łamach, jak np. „Szarganie świętości" – rzecz o twórczości młodej Nałkowskiej, czy szeroko omawianego szkicu o markizie de Sade. We „Współczesności" pracowałem do końca 1959 roku. Zostałem wtedy zwolniony (nigdy nie należałem do ZMP, co poczytuję sobie za powód do dumy) z częścią zespołu – między innymi z Ernestem Bryllem – jako rzekomo członek jakiejś bliżej nieokreślonej „frakcji inteligenckiej". Od 1960 roku „Współczesność" stała się integralną częścią życia kulturalnego, kontrolowanego w pełni przez władze, a jej ostatnim redaktorem naczelnym został Jerzy Putrament (sic!), przyszły założyciel „Literatury". Ale już wtedy byłem w „Kierunkach," życzliwie przygarnięty przez Mikołaja Rostworowskiego i Ankę Kowalską. Odtąd już tylko ze smutkiem mogłem się przyglądać z pewnej perspektywy dalszym przemianom we „Współczesności." Obserwować, jak nasze młodzieńcze marzenia o wydawaniu wolnego od dyktatu partii pisma młodych całkowicie rozmijają się z rzeczywistością. I tak przez wiele lat byłem w luksusowej sytuacji, znajdując swoisty azyl w PAX-ie, w środowisku pisarzy katolickich, gdzie wolno było pisać o Baczyńskim i Gajcym, i gdzie znalazłem przyjaciół w osobach Zdzisława Umińskiego, Józefa Szczypki – autora pierwszej książki o Janie Pawle II „Droga do Rzymu", i poety Zdzisława Łączkowskiego. Jako wieloletni redaktor w „Kierunkach" i w Instytucie Wydawniczym „PAX" utrzymywałem stały kontakt z Zofią Kossak, Melchiorem Wańkowiczem, Władysławem Grabskim, Janem

Dobraczyńskim, Stanisławem Rembekiem, Aleksandrem Rogalskim, Alfredem Łaszowskim, Zygmuntem Lichniakiem, Kazimierzem Truchanowskim i innymi wspaniałymi twórcami. Zatem po przymusowym odejściu ze „Współczesności" przytrafiło mi się jeszcze niezgorzej.

Jakie wiersze „Współczesności" były publikowane? Czy publikowanie wymagało odwagi, czy już wtedy można było to zrobić?

W tamtych czasach byłem początkującym krytykiem literackim, typowym młodym gniewnym, zbuntowanym przeciwko panującemu w literaturze realizmowi socjalistycznemu i różnym produkcyjniakom autorstwa polskich i radzieckich pisarzy, do których lektury przymuszano nas w szkole i na studiach. Wraz z moimi kolegami z pierwszego zespołu redakcyjnego utożsamianego właśnie z grupą literacką „Współczesność," w sposób spontaniczny występowaliśmy przeciwko panującemu zakłamaniu i zafałszowaniu w świecie literatury oraz upominaliśmy się, może chaotycznie i wybiórczo, o to wszystko, co do tej pory było zabronione i o czym nie wolno było pisać. Pamiętajmy, że istniały w tym czasie, zarówno w historii, jak i w literaturze, liczne „białe plamy". Przemilczana była twórczość religijna, patriotyczna, emigracyjna, nowatorska. Na tej długiej liście autorów zakazanych bądź przemilczanych znajdowali się nie tylko Miłosz, Jacek Mackiewicz czy Herling-Grudziński, ale Witkacy, Schulz, Gombrowicz, Lechoń, Wierzyński, Zofia Kossak jako autorka „Pożogi," czy Baczyński.

Naszym zawołaniem bojowym i hasłem wywoławczym była nowoczesność, gdyż właśnie w świadomości społecznej literatura polska i światowa pozostawała wciąż okrojona do wybranych nurtów, zjawisk artystycznych i dozwolonych pisarzy. Byliśmy przez długie lata zarówno odcięci od polskiej tradycji patriotycznej i awangardowej, jak i od XX-wiecznej literatury światowej, dlatego staraliśmy się ze swoją twórczością tę ciągłość tradycji i więź jakoś przywrócić. Stąd pisaliśmy o Dostojewskim – wtedy pisarzu jeszcze zakazanym, Kafce, Eliocie, Prouście, Faulknerze, Hemingwayu. Drukowaliśmy na naszych łamach wiersze najwybitniejszych współczesnych poetów amerykańskich i francuskich, pragnąc tym samym przełamać nasze zapóźnienie cywilizacyjne. Osobiście pisałem o markizie de Sade, o młodej Nałkowskiej, o literaturze fantastycznej. Słowem o tym, co było dotąd przemilczane i zabronione.

We „Współczesności" zamieszczaliśmy utwory różnych poetów i prozaików. Ceniliśmy sobie zwłaszcza wiersze i opowiadania, które uznawaliśmy za nowatorskie,

oryginalne, odkłamujące w jakiś sposób naszą rzeczywistość, odbiegające od dotychczasowej sztampy okolicznościowych panegiryków, sławiących władzę i kolejne rocznice rewolucji październikowej. W poezji przeważały wiersze Ośniałowskiego, Czajkowskiego, Bolka, Śliwonika, Bursy, Iredyńskiego, Białoszewskiego, Stachury, Brylla, Herberta, Poświatowskiej, Grochowiaka. W prozie opowiadania Szymańskiego, Brychta, Krzysztonia, Marka Nowakowskiego, Wojdowskiego, Władysława Terleckiego, Odojewskiego. Szczególnie wiersze pisane małymi literami, przeważnie bez kropek i przecinków, a przede wszystkim pozbawione rymu, budziły u wielu czytelników i miłośników akademickiej poprawności święty gniew i oburzenie. Zarzucano nam niechlujstwo i nieuctwo. Oburzał się szczerze na nas Antoni Słonimski, wypominając moim kolegom poetom w ich wierszach „brak rymu i sensu". Był to czas wybitnych talentów w literaturze, zwłaszcza w poezji. Z poetów tej generacji zawsze bliscy pozostaną mi: Andrzej Bursa, Roman Śliwonik, Stanisław Grochowiak, a z prozaików Andrzej Brycht, Jerzy Krzysztoń i Marek Nowakowski.

Kto był głównym wrogiem, przyjacielem? Co przeszkadzało wrogom?

Mieliśmy zawsze wokół siebie „życzliwych", którzy urabiali o nas różne dziwaczne opinie. Wynikało to głównie z tak zwanej bezinteresownej życzliwości, czyli głupoty i wszechpolskiej zazdrości, zawsze utrudniającej wszelkie społecznikowskie działania – oraz zapewne głównie ze złości władz, że nie daliśmy się okiełznać jak nasi poprzednicy „pryszczaci", wyróżniający się swoją wyjątkową uległością i serwilizmem (Mandalian, Gaworski, Dąbrowski, Woroszylski).

Co było główną trudnością (cenzura, przydział papieru, zakaz pisania o polityce)?

Myślę, że w początkowym okresie wydawania pisma najbardziej odczuwaną przez nas przeszkodą był stały brak papieru, na który należało mieć oficjalne pozwolenie i pieniądze. Zatem wszystko było stale prowizorką. Zmuszało to nas do pewnej pokory i na przekór samym sobie do płaszczenia się przed kolejnymi mecenasami. Cenzurę po kilku spektakularnych wpadkach nauczyliśmy się szczęśliwie jakoś omijać. Ba, nieraz dodawała nam niechcący pewnego rozgłosu, gdy interweniowała i coś nam skreśliła. Szczególnie chodziliśmy dumni, kiedy pisała o tym zagraniczna prasa lub mówiła o nas Wolna Europa. Tak było w przypadku wiersza Śliwonika „Węgrom". Tak stało się z moim artykułem o Nałkowskiej, który

– mało kto wie – w pierwszej swojej wersji spowodował, że część nakładu czwartego numeru poszła na przemiał. Dopiero ukazał się w wersji mocno okrojonej i w zapisie „ZSSR" a nie „Sowiety" – jak to było pierwotnie w moim tekście. Z czasem oswoiliśmy się z cenzurą i staraliśmy się ją jakoś przechytrzyć, w poezji posługując się wielką metaforą, a w publicystyce językiem Ezopowym.

Co było najfajniejsze?

Najfajniejszy z pewnością był niepowtarzalny klimat zbiorowej przygody i niezwykle silnie wtedy przeżywanej fascynacji literaturą. Łączyła nas wspólna pasja i poczucie bezpieczeństwa, jakie daje przynależność do środowiska ludzi z sobą zaprzyjaźnionych, dokonana z własnego wyboru. Cieszyliśmy się swoją młodością. Tym, że robimy to, co sprawia nam największą satysfakcję. Literatura była dla nas, dorastających w sztywnych okowach obyczajowych i politycznych, swoistym duchowym i psychicznym azylem. Razem czuliśmy się wolni i szczęśliwi. Redakcja, knajpa, kawiarnia w większości zastępowały nam dom rodzinny. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że byliśmy ostatnią cyganerią XX wieku. Stale spotykaliśmy się na szlaku Nowy Świat–Krakowskie Przedmieście–Rynek Starego Miasta – jedynym miejscu Warszawy już powstałym z ruin. Wspólnie redagowaliśmy teksty, czytaliśmy sobie świeże wiersze i opowiadania, wymyślaliśmy nowe akcje. Hucznie, przeważnie w „Kameralnej", „Manekinie" i w winiarni Fukiera świętowaliśmy, suto zakrapiając alkoholem, sukcesy, często przy tym wdając się w burzliwe spory i bijatyki z przypadkowymi osobami, mającymi niepochlebne zdanie o naszej twórczości. Czymś wyjątkowym i niepowtarzalnym były wieczory poetyckie w „Kamiennych Schodkach" i „Krokodylu," gromadzące tłumy publiczności, gdyż w tym okresie panował jeszcze kult artysty, poety jako „inżyniera dusz ludzkich," i dlatego niejedno uchodziło nam na sucho. Oczywiście pod warunkiem, że nie podpadło się czymś politycznie. Wystarczy poczytać sobie „Pięknych dwudziestoletnich" Hłaski, żeby wyobrazić sobie atmosferę tych czasów. Po wielu latach, które minęły od tamtych wydarzeń, najbardziej utrwaliły mi się w pamięci właśnie owe wieczory poetyckie na Starym Mieście, biesiady przy winie w winiarni Fukiera oraz nocne eskapady dorożką pustymi ulicami jakby wymarłej stolicy.

Pamiętajmy, że w tamtych czasach Warszawa była miastem zamkniętym dla przybyszów nieposiadających zameldowania i nawet nie marzyło się nam o zagranicznych podróżach, a zatem taka zabawa i przebywanie we własnym gronie właśnie stanowiło namiastkę wolności.

Jak tłumaczyć brak kobiet? Mizoginia? Czy kobiety potrafią pisać? Czy rozumieją politykę? Naprawdę nie było w grupie żadnych ślicznotek?

To raczej sprawa przypadku niż z naszej strony jakieś negatywne nastawienie do płci pięknej. Przeciwnie, zawsze nam licznie towarzyszyły różne ślicznotki. Z początku jako muzy, potem jako osoby piszące. Z talentem różnie bywa, jak z urodzajem. Wtedy w latach 1956–1958 wśród młodych twórców wyraźnie dominowały talenty męskie, a literaturą bardziej zajmowali się mężczyźni. Wybitne poetki ujawniły się nieco później. W samych początkach „Współczesności" jedynie wydały swoje debiuty prozatorskie Monika Kotowska i Magda Leja. Na szczęście nie istniała w tych latach literatura feministyczna w rodzaju twórczości Gretkowskiej. Osobiście nie jestem zwolennikiem sztucznego dzielenia literatury według płci, gdyż w sztuce liczy się talent, a nie płeć jako taka. W polskiej literaturze, poczynając od czasów pozytywizmu i Młodej Polski, pisarki zawsze odgrywały doniosłą rolę. W ogóle trudno sobie wyobrazić naszą literaturę XX wieku bez takich postaci jak Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Kazimiera Iłłakowiczówna, Zofia Nałkowska, Helena Boguszewska, Maria Kuncewiczowa, Zofia Kossak, Zofia Romanowiczowa, Danuta Mostwin i, oczywiście, nasza znakomita noblistka, Wisława Szymborska. Ale jak powiedziałem, w pierwszym okresie „Współczesności" pojawili się głównie ciekawi poeci i prozaicy. Przypomnę, że na łamach naszego pisma od pierwszych już numerów drukowały swoje wiersze Ludmiła Mariańska, Maria Szypowska, Halina Poświatowska, Barbara Sadowska (tak!), Małgorzata Hillar, publikowała swoje przekłady wybitna tłumaczka Jadwiga Kukułczanka, a zatem o jakimś uprzedzeniu do kobiet i dyskryminacji nie mogło być mowy. Na nasze wieczory zawsze przychodziły chętnie różne ślicznotki. Kiedyś z Jurkiem Czajkowskim podczas naszego redakcyjnego pobytu w Krakowie do siedziby ZLP na Krupniczej zaprosiliśmy cały rocznik studentek prawa z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wszystkie przyszły!

Obecnie coraz częściej główny ton naszej literatury nadają panie, np. Katarzyna Grochola, czy Dorota Masłowska. W konkursach literackich, w których jestem jurorem – występują niemal same poetki. Być może młode autorki wierszy i powieściopisarki potrafią lepiej dostosować się do naszych czasów, niż raczej z reguły bardziej zachowawczy mężczyźni-literaci.

Kogo najlepiej Pan pamięta, jakie wydarzenie?

Po kilkudziesięciu latach, jakie upłynęły od tamtych dni, zacierają się twarze, rysy moich kolegów i przyjaciół, ale jest kilka osób, które na zawsze zapadły mi w pamięci.

Do nich należy potężnej postury były bokser, Andrzej Brycht, bezsprzecznie jeden z największych talentów prozatorskich w naszej powojennej literaturze. Wielki zarazem rozrabiaka, będący stale w różnych opresjach życiowych z powodu swoich licznych romansów i bijatyk. Pamiętam, jak ten rodowity warszawiak z Powiśla (po Powstaniu Warszawskim znalazł się w Łodzi), a nie chłopak z Bałut, jak pisano, mówił z szelmowskim błyskiem w oku: „Zobaczysz, Zbyszek, będę większy niż Hłasko", a w czasie pewnego swojego wieczoru poetyckiego w „Krokodylu" udowadniał pięściami jakiemuś osobnikowi, że jego poezja jest zrozumiała i powinna się podobać publiczności. Brychta zapamiętałem jeszcze z jednego powodu. To ja namówiłem go do współpracy z nami i drukowałem jego pierwsze opowiadania: „Balbinę", „Blit", „Cygana", „Dom bez klamek".

Drugą osobą bardzo mi bliską był Marian Ośniałowski, poeta prawie dziś zapomniany, autor przepięknych lirycznych wierszy. Taki polski Jacques Prévert. Połączyły nas miłość do poezji francuskiej (tłumaczył René Chara, Aragona, Ponge'a, Michaux i innych) i wspólne zamiłowanie do długich wędrówek. Kiedyś Marianek przepadł gdzieś na całą noc. Wrócił do hotelu dopiero o świcie. Oznajmił, że na krakowskich Błoniach wąchał kwiatki – tak pięknie pachniały.

Zawsze bliski pozostanie mi także Staszek Grochowiak, wspaniały poeta, zmarły w 1976 roku, z którym wspólnie redagowaliśmy „Współczesność" i biesiadowaliśmy w „Kameralnej" oraz u Fukiera, gdy zachodzili tam: Dunikowski, Szapocznikow, Andrzejewski, Himilsbach. Podziwiałem zawsze kunszt utworów Staszka, jego niezwykłą wyobraźnię. Czytałem często jego utwory jako pierwszy czytelnik. Autor słynnej „Rycerskiej ballady" miał wyjątkowo piękny charakter pisma. Kaligrafował słowa drobnym maczkiem, ale bardzo wyraźnie. Kiedyś poprosił mnie, żebym naszej maszynistce podyktował jego artykuł, bo boli go głowa. Dyktowałem naszej prześlicznej Ani ponad godzinę. Była to jego znana „Lekcja Faulknerowska". Staszek miał paskudną cechę. Zawsze wszędzie się spóźniał. Nawet na spotkanie z ówczesnym ministrem kultury, Stefanem Żółkiewskim przyszedł o tej samej godzinie, ale dwa dni później, czego byłem świadkiem. Pewnego dnia zorganizowaliśmy w redakcji poważną dyskusję o sytuacji w kulturze, na którą zaprosiliśmy różne wybitne autorytety. Uczestnicy spotkania zgadzali się, że w literaturze panuje straszliwy zastój. I oto w drzwiach sali konferencyjnej na Krakowskim Przedmieściu pojawił się Staszek. Radośnie wykrzyknąłem: „Nie ma żadnego kryzysu,

jest przecież Staszek!". Wszyscy się ze mną natychmiast zgodzili, że skoro mamy takiego znakomitego poetę, trudno mówić o jakimś kryzysie i dyskusja skierowała się na nowe tory. Szkoda, że temu wybitnemu twórcy poświęca się tak mało uwagi.

Z pisarzy starszego pokolenia, życzliwie kibicujących naszym poczynaniom, szczególnie zapamiętałem Artura Sandauera. Zawsze jako krytyk-polemista z czymś się nie zgadzał, gorąco protestował. W czasie przedstawienia, gdy Miron Białoszewski wystawiał swoich „Osmędeuszy", potrafił siedząc w jego mieszkaniu na podłodze głośno pokrzykiwać „Nic z tego nie rozumiem", zagłuszając całkowicie ezoteryczną Ludmiłę Murawską i Herlinga, ku niezmiernej konsternacji widowni. Starałem się mu coś wyjaśnić, ale nadal pokrzykiwał swym tubalnym głosem. Autor „Bez taryfy ulgowej" bardzo mnie lubił i był zawsze wobec mnie niezwykle miły. Często odwiedzałem znanego krytyka i jego żonę, Ernę Rozenstein w ich mieszkaniu przy Iwickiej. Wtedy nie wiedziałem, że oboje, podobnie jak ja, pochodzą z kresów, Sandauer z Sambora, pani Erna z mojego Lwowa. Pewnego dnia, gdy do nich zaszedłem, wyjął z niebieskiej koperty jakiś przedmiot i zaczął nim wymachiwać. Początkowo myślałem, że to może jakaś cenna pamiątka po Brunonie Schultzu, z którym się znał i przyjaźnił, a to był mleczny ząb jego syna Adasia, którym chciał się przede mną pochwalić.

W tamtych latach naszych literackich początków zaprzyjaźniłem się również serdecznie ze Stanisławem Rembekiem, głośnym w dwudziestoleciu międzywojennym autorem powieści o wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku oraz wspaniałej „Ballady o wzgardliwym wisielcu," należącej do moich ulubionych lektur. Był cudownym kompanem i ogromnie pechowym pisarzem. Stale podpadał cenzurze i żył w biedzie. Wznowienie powieści „W polu" u Giedroycia przypłacił długoletnim milczeniem. Bardzo zawsze cieszył się, gdy go odwiedzałem w czasie wakacji w Pustych Łąkach i przy Marszałkowskiej, gdzie przez wiele lat mieszkał. Pod koniec życia sędziwego pisarza przeprowadziłem z nim obszerny wywiad. Zamiast autoryzowania tekstu ucałował mnie w czoło. O tych moich przyjaźniach literackich mógłbym Pani opowiadać bez końca.

Kto wymyślił tytuł „Współczesność"? Jakie miał znaczenie?

Jak mi wiadomo, tytuł wymyślił sam Leszek Szymański, wtedy już ciekawie zapowiadający się prozaik. Na podstawie jego opowiadania Roman Polański nakręcił swój dyplomowy film z łódzkiej wytwórni. Miał on stanowić zwierciadlane odbicie tego, co aktualnie działo się w literaturze.

Głównym celem pisma było umożliwienie druku młodym twórcom i autorom gdzie indziej niechcianym.

Co nowego wniosła „Współczesność" do ówczesnego życia literackiego?

Pośrednio na to pytanie odpowiedziałem wcześniej. „Współczesność" bezsprzecznie stanowiła przełom w naszym życiu literackim. Jej powstanie umożliwiło start twórcom młodego pokolenia oraz pisarzom otwartym na nowe tendencje w sztuce, przełamujące artystyczne kanony i wzorce XIX-wiecznego realizmu, które ograniczały i uniemożliwiały pełną swobodę wypowiedzi twórczej. Udostępnialiśmy szeroko swoje łamy na zjawiska i nurty artystyczne w naszej kulturze i sztuce światowej przemilczane i nieznane. Pisaliśmy o literaturze francuskiej, anglojęzycznej, o Dostojewskim, Kafce, Prouście, Faulknerze, literaturze egzystencjalistycznej i o „nowej powieści" we Francji. U nas wypowiadał się o swoim teatrze Jerzy Grotowski, drukował wiersze przyszły reżyser filmowy, Jerzy Skolimowski. Najbardziej „Współczesność" wyróżniała się swym ostrym pamfletycznym zacięciem, otwartością sądów – cechami będącymi czymś zupełnie nowym, nieznanym w całej ugrzecznionej i dworskiej prasie literackiej PRL-u.

Po drugim numerze „Współczesność" przestałaby się ukazywać. Oznaczałoby to, że nowo powstałe środowisko pisarzy skupionych przy piśmie zapewne bezpowrotnie straciłoby szansę rozwoju niejako w zalążku. Nie tylko nie mieliby gdzie drukować najmłodsi, ale także spóźnieni debiutanci jak Marian Ośniałowski (rocznik Papieża), Lech Emfazy Stefański, czy właśnie Miron Białoszewski i Zbigniew Herbert, wtedy występujący dopiero ze swoimi pierwszymi tomikami, ale szerszej publiczności zupełnie jeszcze nieznanymi. Trzeba pamiętać, że ówczesna prasa literacka była potęgą. Kto w niej nie publikował, praktycznie nie istniał jako twórca. Podobnie jak dzisiaj, gdy nie występują w telewizji.

Młodzi nie mieli wtedy wstępu na salony „Nowej Kultury", „Przeglądu Kulturalnego" czy „Życia Literackiego" – które zarezerwowane były głównie dla pisarzy o znanych nazwiskach, jak Iwaszkiewicz, Maria Dąbrowska, Kazimierz Brandys, Jerzy Andrzejewski, lub dla określonej koterii autorów całkowicie pokornych wobec partii. „Współczesność" otwierała szanse przed młodymi i niechcianymi gdzie indziej.

Zapytuję Pana, co jest najważniejsze teraz...

Myślę, że należy jakoś przywrócić naszą narodową tożsamość. Marzyło mi się zawsze, że w niepodległej Polsce powstanie wielki spór o wartości i literatura odzyska należne jej miejsce. Niestety, tak się nie stało. Kolejne elity, pozbawione całkowicie humanistycznej wrażliwości i wyobraźni, zepchnęły sprawy kultury na margines społecznych zainteresowań i potrafiły je skutecznie obrzydzić, schlebiając niewybrednym gustom tzw. szerokiej publiczności telewizyjnej.

Rozmawiała Danuta Błaszak

DANUTA BŁASZAK

Wywiad z dr Leszkiem Szymańskim, założycielem Grupy „Współczesność"

Jeszcze nie mogę uwierzyć, że spotkałam dr Leszka Szymańskiego, założyciela grupy „Współczesność". Spotykamy się w Ameryce, na pokładzie „Queen Mary", na statku zacumowanym na stale w Porcie Long Beach, przedmieściu Los Angeles. Spotykamy się w 50. rocznicę założenia grupy „Współczesność". „Queen Mary", niegdyś luksusowy liniowiec, ma chwalebną kartę wojenną, gdy służył Sprzymierzeńcom jako transportowiec. Obecnie to pływający hotel. Urokliwy nastrój i ciągłe moje zdziwienie spotkaniem.

Panie Leszku... Z czego ten doktorat?

Pracując na chleb, studiowałem. W Londynie na PUNO uzyskałem doktorat z historii, jednocześnie uzyskałem B.A. z literatury polskiej na London University, w Kalifornii zrobiłem magisterium z nauk politycznych.

Doktorat i trzy fakultety, gratuluję. Wiem, że jest Pan człowiekiem światowym. Po wyjeździe z Polski uczestniczył Pan aktywnie w życiu kulturalnym Świata. Napisał Pan wiele artykułów, m.in. współpracował pan z „Dziennikiem Polskim" w Londynie, z „Kurierem" kapitana Tadeusza Kutka tamże, w USA z „Pitsburszczaninem" i „Gwiazdą Polarną". Może, zanim porozmawiamy o „Współczesności", dowiem się, co teraz Pan porabia?

Pracuję nad biografią Jose Rizala, narodowego bohatera Filipin, poety i prozaika. Ukończyłem pierwszą część, ale praca zapowiada się na dłużej. Jose Rizal to kolosalna figura na skalę naszego Adama Mickiewicza, a jednocześnie Romualda Traugutta i Romana Dmowskiego. Postać niezwykła i unikatowa.

Hm... Filipiny... potrafię znaleźć ten kraj na mapie, czasem się coś słyszy w wiadomościach... Kraj daleki od Polski, daleki od Ameryki... Co skłoniło Pana do wybrania Jose Rizala?

Z Filipinami łączą mnie więzy od 1958 roku, to jest mojego pierwszego tam pobytu. Moją ostatnią żoną jest Filipinka. Moi synowie są pół-Filipińczykami.

Przepraszam za osobiste pytanie. Ostatnia żona?

Było ich zbyt wiele i muszę, jak mój kolega Jerzy Czajkowski, stwierdzić, że lepiej o tym nie mówić.

Aż się dziwię, że wzięliście się za literaturę, zamiast zostać amantami filmowymi... Ale żadna żona Jurka nie była Filipinką.... Chciałam zapytać o coś jeszcze z teraźniejszości. Dlaczego pisze Pan po angielsku i dlaczego biografie? Jest Pan przecież zasadniczo nowelistą i powieściopisarzem.

Do pisania po angielsku skłonili mnie Mieczysław Grydzewski i Jerzy Giedroyć. Uważali całkiem słusznie, że polski pisarz emigracyjny nie wejdzie na rynek światowy pisząc tylko po polsku. Za przykład stawiali mi Vladimira Nabokowa, no i historycznie Józefa Conrada. Biografie piszę, bo porządnie napisana biografia ma jaką taką szansę druku. Utwory literackie prawie żadnej. Moja monografia, podkreślam monografia, o Kazimierzu Pułaskim w Ameryce, wydana przez Hipokrene, dzięki p. Jackowi Gałązce i gen. Tadeuszowi Maliszewskiemu, rozeszła się zadawalająco.

Gratuluję tych książek. Doceniam wkład kulturowy w szerzeniu polskich wartości. Książka o Pułaskim, którą znam, jak również ta o Solidarności, byłyby tematem następnych wywiadów. Na razie, w to rocznicowe, historyczne spotkanie, chciałam zapytać o grupę „Współczesność". Jak powstała?

Przez długi czas myślałem, że to był mój pomysł. Ale Jerzy Siewierski przypomniał mi genezę. Pamiętam dobrze. Wracałem z redakcji „Kultury" po miłej, lecz bezowocnej rozmowie z Wilhelmem Machem. Wstąpiłem do Jurka, który mieszkał przy Poznańskiej, na ostatnim piętrze kamienicy, tuż naprzeciw hotelu „Polonia".

Zasiadłem za biurkiem Jurka i zacząłem jęczeć, że „starzy" nie dopuszczają młodych do druku. Odwieczna chyba pretensja. Jurek słuchał cierpliwie, aż wreszcie wybuchnął, „Czego nie założysz własnego pisma?"

W ówczesnych warunkach politycznych pytanie wydawało się być retorycznym. Czymś w rodzaju oferty drukowania pisma na księżycu, z przeznaczeniem na odbiór na Marsie. Powielacze musiały być rejestrowane, krążyły pogłoski, że trzeba będzie też rejestrować maszyny do pisania. Ale pytanie Jurka spowodowało jakieś moje olśnienie. Czemu nie?

Była odwilż, ukazała się książka Ehrenburga, Dudincewa. Ważyk narobił hałasu poematem o Nowej Hucie, gdzie dał do zrozumienia, że nie wszystko było tam idealne. Prawie każdy większy pisarz napisał nowelkę o wielkim inkwizytorze czy wizycie u prezydenta, z której wynikało, że on szczerze wierzył w ideały komunizmu, ale został oszukany, a w wypadku tych, którym udało się zachować godność, że prezydent był oszustem i łajdakiem. Było to też po słynnym przemówieniu Chruszczowa, które, o ile mi wiadomo, w Polsce nigdzie nie zostało opublikowane. Mówiło się o rehabilitacjach, wszechwładzy UB i sklepach za firankami, o kulcie jednostki i – co dla mnie najważniejsze – o tym, że powinno być wolno tworzyć grupy literackie.

Postanowiłem więc stworzyć grupę literacką. Podstawą stało się Koło Młodych przy ZLP, w którym najważniejszą osobą był Roman Śliwonik, już wtedy znany poeta, którego wiersz „My" narobił dużo rozgłosu.

Dzięki poparciu Śliwonika udało mi się namówić większość członków Koła do przyklaśnięcia pomysłowi założenia pisma. Tytuł ustaliłem sam. „Współczesność" znaczyła, że będziemy lustrem rzeczywistości. Jeśli rzeczywistość była nieprzyjemna, to nie nasza wina.

W okresie socjalistycznego realizmu, twórczość realistyczna była czymś rewolucyjnym, ale na upartego nie kontrrewolucyjnym.

Udało się nam dostać od ówczesnego ministra Kultury Kuryluka bodaj dziesięć tysięcy złotych na jednodniówkę.

Wiele ludzi nie zna tych czasów, a jeśli nawet im się o nich opowiada, często nie potrafią uwierzyć. Ale jeśli ktoś zna historię, będzie wiedział, że założenie niezależnego pisma w tamtych czasach było czymś zupełnie niemożliwym. Na pierwszy numer mieliście pieniądze. A następne?

Przy pierwszym numerze pomógł nam technicznie głównie Jacek Wilk. Następnie jego kolega, Andrzej Korczak. Andrzej nadał nam rozmachu, bo nikt z nas nie orientował się w drukarstwie, a Korczak pracował jako redaktor techniczny w „Expressie Wieczornym". To on zaproponował małe litery w tytułach, które były wtedy tak straszliwą innowacją, że oskarżano nas o kontynuację „nusz w bzuchu". Korczakowi też zawdzięczamy szokująco nowoczesny układ graficzny.

Rozumiem, ale „nusz w bzuchu" mógł przynieść rozgłos, nie zaś pieniądze, przecież wtedy nie było pism prywatnych, każde pismo miało jakieś oficjalne zaplecze finansowe i jakiś szyldzik.

Zasadniczo tak, choć pisma katolickie i Paxowskie były w pewnym sensie prywatne. Nie chcę się tu rozwodzić, więc powiem w uproszczeniu, że przede wszystkim trzeba było załatwić zezwolenie na wydawanie prywatnego, więc niezależnego pisma. Takie coś było w owym okresie bez precedensu. Pieniądze były następnym problemem.

W pierwszym numerze udało mi się przeszmuglować jedynkę jako pierwszy numer. Chyba z przymrużeniem oka przez bardzo wtedy rewolucyjną cenzurę, zwaną, od ulicy Mysiej, Mysiarzami. Więc odmówienie zezwolenia na numer drugi wyglądałoby na zamknięcie pisma. Za to nikt nie chciał brać odpowiedzialności. W końcu dano nam zezwolenie na wydawanie pisma, ale bez obietnic pieniężnych i co najważniejsze – bez przydziału papieru. Liczono, że sami klapniemy.

I tu wystąpił jak zbawiciel Andrzej Korczak. Wystarał się o papier z obcinków. Namówił dyrektora drukarni przy Smolnej, by wydrukował na kredyt. Wydaliśmy wspaniały drugi numer. Korczak załatwił dystrybucję przez Ruch. Dużo numerów sprzedaliśmy sami po kawiarniach i na rogach ulic. Czasy były rewolucyjne i ludzie pismo rozchwytali. Były pieniądze na numer trzeci, tylko że...

[*Szymański zamilkł. Z pokładu widać mewy, fale Oceanu Spokojnego i kolosalny hangar „szaleństwa Hughesa", największego na świecie samolotu transportowca, który przeleciał kilkaset stóp, po czym zwalił się do oceanu. Zamyśliłam się, przypominając sobie tragiczny los największego statku świata „Titanica". W katastrofie „Gesi Hughesa", bo też tak zwano ten samolot, nikt nie zginął... Dr Leszek Szymański kontynuuje opowieść*:]

Tak, mieliśmy pieniądze, ale spotkała nas katastrofa. Cenzura, choć wtedy łagodna, zamknęła nam pismo. Interweniowałem, gdzie się tylko dało. Bez skutku. Pamiętam, że podczas mych prób ratowania pisma spotkałem w zarządzie głównym Związku Młodzieży Polskiej Józefa Lenarta, byłego członka Koła Młodych, partyjniaka i wtedy gwiazdę „Sztandaru Młodych" pisma ZMP.

Pamiętam jak dziś. Lenart uśmiechnął się ironicznie. Wiedział, po co zjawiłem się w sztabie ZMP i powiedział: „Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, niż tobie się uda wydać pismo".

Lenart i Eugeniusz Kabatc reprezentowali Partię w Kole Młodych. Lenart porzucił Koło, gdy dostał pracę w „Sztandarze". Kabatc został bodaj prezesem. Był na paru zebraniach redakcyjnych, ale oficjalnie trzymał się na uboczu. Byliśmy bezpartyjni, więc podejrzani.

Rozumiem, zamknięto was prewencyjnie.

No niezupełnie. Jak się wywiedziałem, Wydziałowi Prasowemu KC cały numer się nie podobał jako „*nieblagadozny*", ale towarzysza Wiesława omal nie trafił szlag, gdy przeczytał wiersz Romana Śliwonika „Do Braci Węgrów" i to w dodatku na pierwszej stronie. On to nakazał zamknięcie pisma.

Wiec jak odzyskaliście zezwolenie?

Był to czas Rewolucji Węgierskiej, czas, gdy groziła Polsce interwencja sowiecka. Gomułka zwołał wiec przy Pałacu Kultury. Wdarłem się na podium i wręczyłem tow. Wiesławowi numer „Współczesności". Zaskoczony otworzył pismo. Cyknęły kamery i Gomułka został uwieczniony czytając „Współczesność" z wierszem „Do Braci Węgrów".

Zanim mnie usunięto, zacząłem deklarować tow. Wiesławowi, że potrzebne jest pismo młodych literatów. Gomułka nagle się zaperzył, „Literaci, młodzi czy

starzy, nie będą rządzili Polską. Jeszcze jeden taki wiersz, a będziemy mieć radzieckie czołgi w Warszawie!". Zacząłem go zapewniać, że my myślimy tylko o literaturze, a wiersz Śliwonika jest wynikiem zapalczywości młodego geniusza, który jako dusza poetycka nie orientuje się w „*realpolitik*".

Gomułka nie wdawał się w dyskusję. Napisał coś na karteczce i wręczył to Arturowi Starewiczowi, kierownikowi wydziału prasowego KC. Była to, widać, krótka notka, bo Starr prawie natychmiast skinął głową i nakazał mi się stawić w KC następnego dnia.

[*Jakby podkreślić moment, mewy zaczęły nagle skrzeczeć. Wydało mi się, że Queen Mary, choć zacumowana, trochę się zakołysała. Burzliwe to były czasy!*]

Chyba wtedy stanęliście już pewnie na nogach?

Miałem długą rozmowę ze Starrem. W konkluzji, nie wolno było nawet pisnąć o polityce. I nadal byliśmy na własnym utrzymaniu, ale odzyskaliśmy zezwolenie. *Nota bene* Eugeniusz Kabatc zaczął sobie przypisywać interwencję u Gomułki. Nie bardzo wiem dlaczego, bo w jego proreżimowej karierze taka zasługa była dość wątpliwa.

Musiałem straszliwie lawirować, by zdobyć pieniądze na wydanie każdego numeru, a przy tym bawić się w cenzora. W tym okresie Czajkowski i Ośniałowski zaczęli drukować wiersze w „Wiadomościach" Grydzewskiego.

Poeci nie potrafili zrozumieć, że to groziło zamknięciem pisma. Wezwano mnie do KC i dostałem porządną burę, na całe szczęście na tym się skończyło.

Zamknięto nas jeszcze dwa razy. Raz dekretem Cyrankiewicza, likwidującym studenckie pisma, których nagle pojawiła się cała masa. Następnie, gdy zamknięto „Po prostu". W obu wypadkach była to nadgorliwość nowych cenzorów z Mysiej (starzy cenzorzy sami się rozwiązali). Nieprozumienia zostały wyjaśnione. W tym okresie niesłychanie mi pomagał Zdzisław Jerzy Bolek. Ten człowiek znał chyba każdego. Przez niego Jerzy Putrament nas protegował. Przez niego do redakcji dołączył Stanisław Grochowiak, a w pewnym okresie Zbigniew Herbert i Miron Białoszewski.

Czy Zdzisław Jerzy Bolek to ojciec Juliusza Erazma?

Tak, syn odziedziczył talent po ojcu. Nota bene ZJB, tak go zwaliśmy, zginął w bardzo podejrzanym wypadku samochodowym.

Słyszałam o tym. Do tej pory brak wyjaśnienia, ale mówiąc o piśmie, chyba to był koniec zamykania?

Tak, ale pewnego dnia zadzwonił do mnie Starr i zawezwał na rozmowę do KC, ale rozmawiałem nie z nim, a z tow. Bębenkiem. Bębenek mi oznajmił, że przechodzimy pod kuratelę „Ruchu", a jak się nam nie podoba, to pismo będzie definitywnie zamknięte. Rozmowa miała być tajemnicą, ponownie pod sankcją zamknięcia pisma.

Na zastępcę dano mi Józefa Lenarta, który miał nadawać polityczny kierunek pismu. Pomyślałem sobie, że Józio nie będzie potrzebował rękawic na zimę, jak mu te włosy na dłoniach wyrosną, ale nie komentowałem i wyraziłem pokornie zgodę. Dorzucono mi też Tadeusza Strumpfa. Oczywiście oskarżono mnie o oportunizm i lawiranctwo. Nie mogłem się bronić.

Cała ta afera miała tę dobrą stronę, że dostaliśmy normalne etaty, redakcję, pomieszczenie, sekretarkę i maszynistki itp. Do tej pory stronę administracyjną prowadzili nieugięcie Jerzy Czajkowski i Andrzej Delinikajtis, natomiast Andrzej Chaciński był niezastąpionym, wspaniałym sekretarzem redakcji.

Lenart był uprzejmy i nie panoszył się. Wiedziałem jednak, że prędzej czy później zostanie przeprowadzona czystka i wylecą przede wszystkim Czajkowski i Ośniałowski, a jeśli ja się ostanę, to prawdopodobnie jako sekretarz redakcji, albo figuralny zastępca naczelnego.

Jak znalazł się Pan w Indiach?

W tym czasie dostałem nagrodę Teodora Parnickiego i wyjechałem do Indii. Miałem kontynuować jego „Koniec Zgody Narodów." Wymagało to studiów nad grecką kulturą i historią państewek greckich w Baktrii i Indiach. Byłem i jestem zainteresowany filozofią hinduską. Spędziłem parę miesięcy w aszramie guru Shri Shvami Shivanandy u podnóży Himalajów. W owym czasie mało kto wiedział, co to jest aszram, shvami lub guru.

W czasie pobytu w New Delhi spotkałem Artura Koestlera i Bolesława Wierzbiańskiego. Namówili mnie do wybrania wolności. Bardzo mi pomógł przedstawiciel Kongresu Wolności Kultury, Pradhabar Padhya. Robert Menzies, premier rządu australijskiego, dał mi natychmiast wizę.

Tak znalazłem się w Sydney. Wraz z Jurkiem Steimetzem pomagaliśmy przetrwać redaktorowi „Wiadomości Polskich" Janowi Duninowi Karwickiemu.

W owych czasach pisma emigracyjne nie płaciły autorom. Pisało się honorowo, dla idei politycznej, dla opozycji wobec warszawskiego reżimu i dla podtrzymania polskości. Tak się zaczęła moja wędrówka emigracyjna. Z Indii, przez Filipiny, do Australii, z Australii do Anglii, z Anglii do USA, gdzie to Pani ma przyjemność mnie oglądać.

Jak się ułożyły losy pozostałych założycieli „Współczesności"?

Niestety, od 1977 roku straciłem kontakt z polskością i Polonią. Mimo usiłowań nie udało mi się zebrać dokładnych danych. Proszę też mnie nie winić, jeśli opuszczę czyjeś nazwisko. Mówię z pamięci, bez dotarcia do archiwalnych numerów pisma i w zupełnym wyobcowaniu od współczesnej literatury polskiej. Więc trochę chaotycznie: Jerzy Zdzisław Bolek zginął w podejrzanym wypadku samochodowym. Marian Ośniałowski popełnił samobójstwo w Paryżu. Życie na emigracji okazało się cięższe niż w PRL. Andrzej Brycht wrócił z emigracji do Polski i zmarł… Jerzy Siewierski odniósł sukces jako pisarz powieści sensacyjnych i historyk masonerii, odszedł niedawno. Jerzy Łojek zmarł niespodziewanie i młodo. Podobnie jak Andrzej Korczak. Natomiast Roman Śliwonik, Jerzy Czajkowski, Jerzy Tuszewski, Piotr Wierzbicki, Zbigniew Irzyk są w Warszawie. Andrzej Chaciński mieszka w Australii. Nie udało mi się ustalić, co się dzieje, działo, ze Zbigniewem Słojewskim i Andrzejem Delinikajtisem.

Bardzo dziękuję za rozmowę. Być może ten wywiad pomoże Panu ustalić ich losy i innych Pańskich kolegów. Cieszę się, że mogłam Pana poznać.

Rozmawiała Danuta Błaszak

Druga część wywiadu z Leszkiem Szymańskim. Rozmawia Danuta Błaszak

(przedruk z „Gwiazdy Polarnej" 2006)

Tym razem spotykamy się na Florydzie, na mostku nad Wekiwą. Ta wiosna jest szczególna. Aligatory atakują ludzi. Nigdy przedtem w historii Florydy czegoś takiego nie było, żeby aligatory rzucały się na ludzi. Późna wiosna to sezon godowy aligatorów. Ale, powiedzmy sobie prawdę, wiosna jest co roku, a aligatory atakują dopiero teraz, w 2006. W ciągu tygodnia były 3 ofiary śmiertelne. Może trzeba było umówić się w innym miejscu myślę, zerkając na wodę.

Leszek nie wie o tym. Siada na mostku, moczy stopy w wodzie. Nie chcę go straszyć, nie musi wiedzieć wszystkiego. Zaczynamy rozmawiać.

Leszku, pięćdziesięciolecie powstania „Współczesności" jest ogromnie ważne w historii polskiej literatury. Rozmawialiśmy już o tym, ale czytelnicy Miasta Literatów wciąż mają wiele pytań. Dostajemy bardzo dużo listów. Proszę mi wybaczyć, jeśli moje pytania będą się pokrywać z pytaniami z naszego pierwszego wywiadu. Chciałabym wyjaśnić jak najwięcej, zapisać puste kartki w historii literatury

I nawzajem, ja przepraszam za powtórki w odpowiedziach.

Czytelnicy Miasta Literatów często porównują „Współczesność" z „Po prostu". Słyszałam, że „Współczesność" była przeciwstawiana ideowo „Po prostu". Jak to wyglądało"?

Rzeczywiście, mogło to tak wyglądać. Podczas gdy prawie każde pismo pisało o polityce, myśmy wspominali o tym półgębkiem. Zabroniono nam pisać na tematy polityczne, ale mało kto o tym wiedział. I nie tylko to. Ponieważ byliśmy niezależni, nie wiadomo było, co nam strzeli do głowy.

Tymczasem „rewolucyjne i rewelacyjne" artykuły w prasie, zwłaszcza w „Po prostu", były inspirowane przez grupę Gomułki i przepuszczane przez przychylną mu cenzurę. Myśmy byli mimowolnymi i nieobliczalnymi sojusznikami Gomułki.

Typowym przykładem było zamieszczenie przez nas na pierwszej stronie wiersza dedykowanego „Węgrom", pióra Romana Śliwonika. Podczas gdy Gomułka

jak ognia bał się narazić Sowietom. Z miejsca zamknął nasze pismo. Takiego wiersza „Po prostu" ani żadne komunistyczne pismo by nie zamieściło. Jak mi powiedziano, cenzor, który to przepuścił, stracił pracę.

Powiedziałeś, że rewolucyjne artykuły w „Po prostu" były inspirowane przez Gomułkę. Przecież Gomułka to był „komuch".

[*Leszek wygląda na oburzonego. Włożył nogi głębiej do wody. Wyprostował się i spojrzał na mnie z oburzeniem*]

Trzeba znać historię. Gomułka był olbrzymim przełomem. Bez niego nie byłoby Wałęsów. Nastąpiły reformy, amnestie, rehabilitacje, zwalnianie z więzień, wyrzucenie najgorszych ubeków, zaprzestanie stosowania tortur, nagonki do sowchozów, dość duże uniezależnienie się od Sowietów, usunięcie największych nonsensów w socrealizmie i gospodarce, prawie polski socjalizm, choć nadal bez ludzkiej twarzy. Czyżby termin „Polski Październik 1956 roku" nic nie znaczył? Czy ludzie zapomnieli o Wypadkach Poznańskich?

Nie mam do Gomułki wielkiej sympatii, bo trzeba było nie jego, ale kogoś mądrzejszego wybrać. Ale w porównaniu z Bierutem i Stalinem to był anioł. A ponieważ siedział w mamrze, dla przeciętnych obywateli był jak Wyszyński. A „sklepy za żółtymi firankami"? A rehabilitacja AK, nawiązanie kontaktu z Zachodem, a zwłaszcza Londynem? Akcja łączenia rodzin, czyli mała emigracja? Czy to zapomniane? Tłumaczenia książek z Zachodu, zaprzestanie nawałnicy książek i filmów sowieckich?

Nawet się nie mścił na mojej matce, gdy wyjechałem z kraju, ani na kolegach. Choć oczywiście partyjniak i swej linii partyjnej pilnował.

No tak. Rzeczywiście, „Po prostu" zasłynęło jako pismo rewolucyjne. A są głosy, że wywołało Polski Październik.

„Po prostu" spełniło ważną rolę, ale było tylko jednym z elementów przełomu politycznego. Miał on wiele przyczyn, z których najważniejszą była śmierć Stalina, no i jego polskiego pełnomocnika – Bieruta.

Nie zapominajmy, że nie było wtedy wolnej prasy, że przechodziło tylko to, co przepuszczała cenzura. Rewelacje „Po prostu" były ogólnie znane. Prawdziwą rewelacją było to, że te „rewelacje" ukazały się w druku. Artykuły, że AK nie

była zaplutym karłem reakcji, że wielu ludzi siedzi niewinnie po więzieniach, że istnieją sklepy za żółtymi firankami i że marksizm-leninizm nie są zawsze nieomylne i że był kult jakiejś niewymienianej imiennie jednostki, że trzeba rehabilitować ludzi wyrzuconych z pracy za bliżej niesprecyzowaną nieodpowiednią postawę polityczną, że warto spojrzeć na socjalizm w Jugosławii i że PGR-y nie funkcjonują sprawnie – to były ogólnie znane fakty i niezbyt nowe opinie. *Nota bene*, rehabilitacja zaczęła się od zwracania legitymacji partyjnych poplecznikom Gomułki.

[*Pod mostkiem przepłynęły z godnością cztery pasiaste ryby, podobne trochę do polskich okoni. Koło kamieni przy brzegu coś leżało. Mógł być to kawałek drewna. To na pewno nie aligator, pomyślałam. Aligator potrafi upodobnić się do kłody drewna. Można się pomylić. Leszek w zamyśleniu przyglądał się palmom, a może błękitnemu pogodnemu niebu.*]

Kim byli Pryszczaci? Wielu czytelników pytało o Pryszczatych.

To pokolenie głównie rocznika lat 1920., tak jak my byliśmy zasadniczo rocznikiem 30. Tamci obsiedli Sztandar Młodych i „Po prostu", pisma Związku Młodzieży Polskiej, a nawet „Świat Młodych," niegdyś pismo przygodowe. Byli to przedstawiciele socrealizmu, bezwzględnie posłuszni Partii, jak Wojciech Krassowski, Bohdan Czeszko czy Witold Woroszylski. *Nota bene*, wielu ich rówieśników poniewierało się po więzieniach.

[*Pisarz przestał spoglądać na niebo.*]

Kto był głównym wrogiem waszego pisma?

Wrogów mieliśmy bez liku i to różnej maści. Wyliczam bez usiłowania nadawania im hierarchii ważności. Byli więc zazdrośni, którzy uważali, że oni by wydawali lepsze pismo, a tymczasem młode szczeniaki mają swoją gazetę z niewiadomej racji. Następni byli ci, którzy uważali, że jesteśmy agentami partii, a raczej natolińczyków czy Piaseckiego i że wcale nie krytykujemy rzeczywistości. Byli też złośliwi, jak np. Antoni Słonimski, który nas zaatakował chyba po to, żeby się pochlebić władzy, no i dlatego, że to było bezpieczne. Paradoksalnie, chronił nas Jerzy Putrament. Byli wreszcie wrogowie w Wydziale KC Partii, którzy uważali nas za krypto-rewolucjonistów, którzy pod pozorem pięknoduchostwa, estetyzmu i realizmu (wedle nich burżuazyjnego) usiłowali rozwalić ustrój. W tym usiłowaniu,

wedle nich, nie najmniejszą rolę spełniały nasze połączenia z literaturą Zachodu. Grupa ta składała się głównie ze starych aparatczyków. Tak że chociaż w zasadzie mieli rację, ich krytyka za wiele nam nie zaszkodziła, a nawet obracała się przeciw nim, udowadniając, że są zmurszałymi stalinistami.

[*Woda w Wekiwie jest chłodna. Leszek wyjął nogi z wody. Usiadł wygodnie na mostku. W tym czasie leżąca na kamieniach kłoda drewna poruszyła się. To nie było żadne drewno, tylko jeden ze średnich lub trochę większych aligatorów, długi może na dwa metry. Wypełznął na brzeg i położył się koło kamieni. Może też było mu zimno.*]

Dlaczego dzisiejsi krytycy literaccy i historycy określają słowem „Współczesność" całe pokolenie literackie?

Parę lat wcześniej powstanie takiego pisma jak „Współczesność" byłoby niemożliwe. Parę lat później przeszłoby bez echa, tak jak przechodziły i przechodzą dosłownie dziesiątki pism literackich w Polsce i na Zachodzie. Nawet niektórzy uważają, że nasza popularność była nie tyle naszą zasługą, co zbiegiem okoliczności i odpowiednim momentem historycznym. Ja muszę bez ogródek powiedzieć, że byliśmy przełomem w literaturze tego okresu. Historycznie pod względem wagi w literaturze byliśmy odpowiednikiem „Sturm und Drang". Wymową naszych utworów, przynajmniej w większości prozy, byliśmy częściowym ekwiwalentem Młodych Gniewnych Ludzi w Anglii.

[*Spojrzałam jeszcze raz na słoneczny brzeg Wekiwy. Teraz wylegiwały się tam dwa aligatory.*

Pomyślałam, że aligatory mają teraz sezon godowy. Jak to może wyglądać? I kiedy one to robią? W nocy? Po ciemku?]

Zacznijmy od swawolnej strony. Kobiety z reguły towarzyszą mężczyznom, nawet bandom motocyklowym. Nie tylko policjanci, ale i mordercy mają swoje „groupies". Dlaczego między wami nie było żadnych ślicznotek?

[Pisarz *spojrzał na mnie srogim wzrokiem.*]

Danuta! Nam tylko literatura i polityka były w głowie, a nie żadne ślicznotki. Zresztą jedyna dama w Kole Młodych nie mogła pretendować do takiego określenia.

Tak się złożyło, że nie było dziewcząt pisarek. Monika Kotowska i Agnieszka Osiecka trzymały się na uboczu, raczej bliżej Marka Hłaski. Jeśli były jakieś *„groupies"*, to ja o tym nie wiedziałem. O to zapytaj raczej Jurka Czajkowskiego.

[*Aligatory przysunęły się bliżej wody. Miejsce spotkania wybrałam sama. To był mój pomysł. Chciałam przestraszyć sławnego pisarza aligatorami. Może trochę przesadziłam.*]

Dobrze, zapytam Jurka, a teraz przejdźmy do następnego pytania. I proszę mi wybaczyć, że będę prowadzić rozmowę bez specjalnego planu. W tym wypadku jestem zwolenniczką „free association". Leszku, jak to się stało, że piszesz po angielsku? Czy to nie był błąd? Przecież wielu pisarzy emigracyjnych miało i ma swe książki drukowane w Polsce, a z Twoich licznych dzieł – nic nie mamy!

Gdy znalazłem się na emigracji, jedynym pisarzem, który się utrzymywał z wydawania książek, był Józef Mackiewicz. Pisma z zasady nie płaciły honorariów. Pisanie za darmo było obowiązkiem społecznym i politycznym.

Zarówno Mieczysław Grydzewski, jak i Jerzy Giedroyć radzili mi przestawić się na angielszczyznę. Abym mógł kontynuować pisarstwo – nie tylko jako zawód, ale i powołanie.

Przestawić? Przecież to nie takie łatwe. Pisarz jest związany z językiem. To nie malarz czy muzyk.

Ja też tak myślałem. Ale mój przyjaciel Hindus, Kedar Nath, pisał po angielsku. Nick Joaquin, pisarz filipiński, też tworzył w tym języku. Inna rzecz, że w Indiach i na Filipinach angielski jest jednym z oficjalnych języków i inteligenci są osłuchani z angielszczyzną od młodości. Dorosłemu człowiekowi, zwłaszcza z dorobkiem literackim, nie jest tak łatwo opanować cudzy język jako narzędzie twórcze. Przypominam sobie tylko jeden taki wypadek – Józef Korzeniowski, słynny Conrad!

A Kuniczak, Pieterkiewicz i inni? Kosiński na przykład?

Pieterkiewicz i Kuniczak chodzili do szkół angielskich. Angielski nie był dla nich obcym językiem. Co do Kosińskiego krążą słuchy, że to nie on napisał „Malowanego ptaka". Jeśli chodzi o mnie, opanowanie angielskiego przyszło mi z ogromnym wysiłkiem. Gramatyka jest prosta, ale użycie rodzajników pozostaje

do dziś dnia dla mnie tajemnicą. Prócz tego język aż się roi od idiomów. Poprawiam dziesiątki razy, ale nic nie drukuję, póki ktoś mi nie poprawi tekstu.

Początkowo tłumaczyłem własne opowiadania, ale w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że łatwiej mi formułować zdania od razu po angielsku, niż je tłumaczyć, słowem – nauczyłem się myśleć po angielsku. Od tej chwili twórczo myślę w tym języku. Pisząc po polsku, często muszę tłumaczyć w myśli z angielskiego.

Czy Twoje książki spotkały się z uznaniem?

Tak i nie. Z krytycznym na pewno. U czytelników z umiarkowanym. Chyba najlepiej rozeszła się moja monografia o Kazimierzu Pułaskim w Ameryce. Książka wysnuta z większości nieznanych dokumentów. Po raz pierwszy coś nowego od przeszło stu lat! To jest od pracy drukowanej przez profesora Kozłowskiego w Bibliotece Warszawskiej w 1906 roku.

Ciekawe, że tego nie wydrukowano w Polsce. Czy napisałeś coś jeszcze z tej dziedziny?

Byłem na indeksie cenzury za PRL. Dlaczego *de facto* ciągle jeszcze tam jestem, trudno mi powiedzieć. Wracając do twego pytania, tak, napisałem biografię, nie monografię Pawła Strzeleckiego. Książka znacznie przystępniejsza dla czytelnika, prawie popularna. Nie jak moja monografia Pułaskiego – historia dla historyków. Odkryłem wiele rewelacyjnych, wręcz sensacyjnych rzeczy o Strzeleckim, tym prawie nieznanym naukowcu i podróżniku. Okazuje się, że prowadził podwójne życie. Był za kulisami wojny krymskiej, a nawet w powstaniach w zaborach pruskim i rosyjskim.

Prócz tego wydałem naukową i dokumentalną pracę o Solidarności, niesłychanie dobrze ocenioną przez *learned journals*. Dokumenty dosłownie w ostatniej chwili przed ogłoszeniem stanu wojennego przesłał mi Władysław Siła-Nowicki.

Z innej parafii, ale ciągle niebeletrystycznej, jest „Living with the Weird Mobs". Eseje na tematy australijskie, angielskie i amerykańskie. „Warsaw Aflame" to historia okupacji niemieckiej lat 1939–1945.

Ciekawe, zwłaszcza ta biografia Strzeleckiego, ale co z beletrystyką albo czy przeszedłeś na twórczość historyczno-naukową?

Właściwie tak, bo piszę teraz ogromną biografię Jose Rizala. Robię to, bo na biografię, prędzej czy później, znajdę wydawców pracy naukowo-historycznej,

włączając w to biografie, istnieją obiektywne kryteria oceny. Co zaś do beletrystyki, to wielki znak zapytania. Ocena jest subiektywna.

Co napisałeś z tej dziedziny?

Zbiór opowiadań o tematyce polsko-australijskiej „Escape to the Tropics" i tom opowiadań przygodowych „On the Wallaby Track". Ale większość mych powieści jest ciągle w maszynopisach. Więc olbrzymia powieść „King of Bacchanalia", będąca kontynuacją „Końca Zgody Narodów" i „Such Was Life", opowieść z życia Polonii sydnejskiej w latach 60. W polskiej wersji „Narzeczone z Ogłoszenia" były drukowane w odcinkach w Australii, Anglii i Ameryce.

Prócz tego mam dwa całkiem dobrze technicznie opracowane scenariusze „PULASKI" i „DR QUACK". Ten drugi mógłbym nazwać „Znachorem Filipińskim", bo przyznaję się, że pomysł zaczerpnąłem od Dołęgi-Mostowicza. Opanowanie techniki pisania scenariuszy zabrało mi przeszło rok. Właściwie powinienem był się do tego zabrać przynajmniej z dziesięć lat wcześniej.

To chyba wszystko, co pamiętam z mej pisaniny. Oczywiście napisałbym znacznie więcej, gdybym nie musiał pracować na chleb codzienny w pracach przeważnie niemających nic wspólnego z literaturą.

Wracając do czasów „Współczesności", kogo z kolegów najlepiej pamiętasz?

Pamiętam wszystkich współredaktorów. Ale szczególnie wrył mi się w pamięć Marian Ośniałowski. Zawsze rozmarzony, łagodny i delikatny. Wyglądał jak łysiejący anioł. Porównanie nasunęło mi się, gdy mi powiedział, że lecąc w samolocie, tym lepiej się czuje, im bardziej aeroplan zbliża się do niebios.

Marian bez względu na chłody chodził stale w tenisówkach, starannie wybielanych kredą. Pamiętam, że przeznaczyliśmy część zarobku ze sprzedaży ulicznej naszego pisma na zakup butów dla Marianka. Daliśmy mu pieniądze, a Marian nadal chodził w tenisówkach. Wreszcie odważyłem się spytać, dlaczego nie kupił sobie butów i na co wydał pieniądze? Marianek spojrzał na mnie ze zdumieniem. „Jak to nie kupiłem? Czy nie widzisz, że to nowe tenisówki?". Okazało się, że tenisówki były niezbędną częścią przyodziewku Mariana.

Zbyszek Irzyk wspomina, że kiedyś Marian spędził całą noc na Plantach wąchając kwiaty. Dziesięć lat później położył się w Lasku Bulońskim, obsypał się kwiatami i połknął truciznę. Zmarł w kwiatach, osnuty ich wonią.

[*Zamilkliśmy na chwilę.*]

Jeszcze jedno pytanie. Za jakiego pisarza się uważasz: polskiego czy angielskiego?

W rozmaitych słownikach jestem określany jako pisarz amerykański, australijski i polski. Jestem tym wszystkim. Ale w mojej twórczości, choć w języku angielskim, dominuje tematyka polska. Kiedyś w wywiadzie radiowym w Australii jakaś pani zapytała mnie, czy uważam się za Polaka czy Australijczyka. Odpowiedziałem: „Trudno mi jest nie być Polakiem". I to chyba jest głównym motywem mego pisarstwa.

Dziękuje za rozmowę.

[*Pora opuścić Wekiwę, pomyślałam. Miejsce spotkania wybrałam przezornie sama. Gdyby sławny pisarz odmówił odpowiedzi na jakieś pytanie, zepchnęłabym go na pastwę aligatorów. Byłaby to zemsta za to, że usiłował zepchnąć mnie do Pacyfiku na pastwę rekinów.*]

Rozmawiała Danuta Błaszak

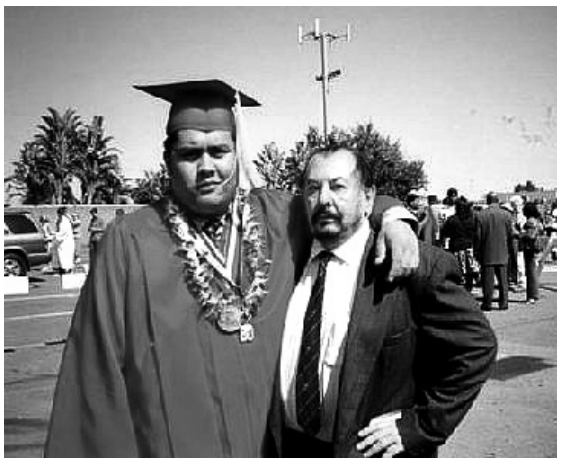

Leszek Szymański z synem Józiem.
Kalifornia 2006

ROMAN ŚLIWONIK

rok 2006, z cyklu „Dom z wierszy"

Mieszkanie po matce

Mieszkanie mojej matki
nie lubi mnie
stół w pokoju wyraźnie się cofa
kiedy kładę dłoń

tapczan w kącie obrzmiał niechęcią
szafy są płaskie
zamykają się przede mną
cofnęły się
oczy z fotografii omijają mnie

obrazy milczą Zgasły widocznie
nie ma odpowiedniego światła
światła kogoś
kto tu mieszkał
w kuchni Nieodmrożona lodówka
jest przepaścią Szczerzy się półkami
w łazience nie ma wody
z kranu z trudem kapią
wyciskają się krople

Mieszkanie nie chce mnie
ma żal do mnie
za siebie
że nie zachowało się lojalnie

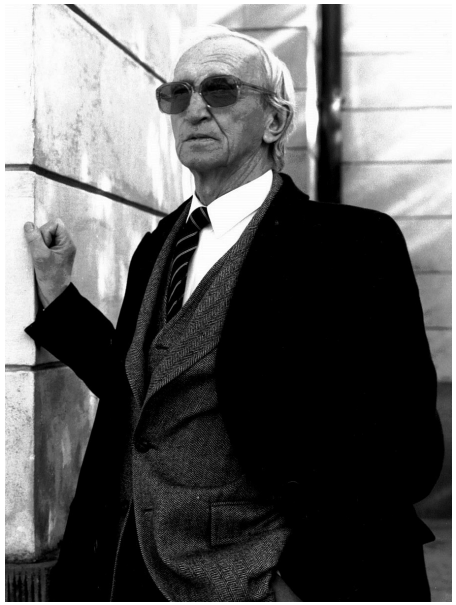

Roman Śliwonik, 1997, Fot. Agnieszka Herman.

nie odpędziło ataku
że pozwoliło zabrać Matkę
przez kilku obcych ludzi
że nie wszczepiło się w nią pazurami

każdy dom ma je w sobie
kryją się w ścianach
właścicielka mogła tu zostać
nie odeszłaby jak ktoś obcy
kto zniknął w zimnym świecie
bez ścian

mogłaby tu jeszcze pożyć
chociażby jeden dzień
jeszcze chwilę
w której mieszkanie
mogłoby zapłakać
napełnić się łzami
a nie jak teraz pustką
z rozpaczą już nigdy nie wypowie
dom Nie zdążył
nie ukląkł Nie pokłonił się
został sam

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj" 2006

Danuta Błaszak rozmawia z Jerzym St. Czajkowskim o Grupie „Współczesność".

Jerzy Czajkowski, współzałożyciel grupy „Współczesność." Poeta, z wykształcenia socjolog, syn ziemi ciechanowskiej, urodzony w Ościsłowie 13 stycznia 1931 roku w rodzinie drobnoszlacheckiej. Autor powieści historycznych, dramatów, a przede wszystkim znakomitych tomów poezji „Zadymione pejzaże", „Dalekie drzewo" „Pasje i pasjanse", „Śmiech Pompei" „Cienie Gibraltaru" „Wiersze wigilijne" ...

Wiersze Czajkowskiego publikowano w almanachach i antologiach nie tylko w Polsce. Poeta liryczny, przemawiający obrazem stanowiącym projekcję własnych przeżyć i przemyśleń, tradycją rodzinną związany z dziewiętnastowiecznymi zrywami powstańczymi (1830, 1863) oraz własnymi przeżyciami okrucieństw z okresu okupacji niemieckiej i stalinowskiej – widzi nierozerwalny związek pomiędzy losem człowieka i jego kraju a historią narodu. Tworzywem poetyckim jest dla niego krajobraz i związany z krajobrazem i tradycjami historycznymi człowiek. Rzetelna i surowa, odarta z mitów i fanatyzmu wiedza historyczna, pokora wobec faktów.

4 września 1995 roku o godzinie dziewiątej rano zaterkotał telefon. Ktoś ostrym głosem przedstawił się, że reprezentuje wywiad rosyjski w Polsce i że na rozkaz tego wywiadu ma mnie zlikwidować przed upływem dwudziestu czterech godzin. Mówił charakterystycznym komunistycznym żargonem: „Jaką śmierć wybieracie, towarzyszu? Szkoda by było, gdybym musiał podpalić klatkę schodową, czy wysadzić dom w powietrze. Będziecie mieć na sumieniu śmierć niewinnych mieszkańców. Zdecydujcie się, jaki wybieracie rodzaj śmierci, zanim będzie za późno". Rzekomo ośmieszyłem w telewizji któregoś z popieranych przez nich polityków.

Istotnie, miałem program w ramach redakcji wojskowej telewizji polskiej o przyczynach zamachu na życie gen. Władysława Sikorskiego na Gibraltarze i o tym, kto za tym stał. Uczestniczyłem także w innych programach tej redakcji, byłem też konsultantem literackim w innych audycjach. Zdawałem sobie sprawę, że nie tylko nasze służby specjalne oglądają te programy.

Do tej pory nie wiem, czy ktoś chciał mnie przestraszyć, czy to był tylko makabryczny żart. Oczywiście od razu zawiadomiłem pogotowie policyjne.

Pogróżkę dostałeś już w nowej rzeczywistości, po tym jak udało się przetrwać komunizm.

Władze Polski Ludowej doprowadzały do sytuacji, iż wybitni pisarze, naukowcy opuszczali Polskę. Poeta grupy „Współczesność" Marian Ośniałowski powiesił się w podparyskim lasku Bulońskim w 1964 roku. Rozpędziły władze grupę literacką „Współczesność", przedtem zlikwidowano tygodnik studencki „Po prostu". Byłem represjonowany za moją twórczość przez MSW, za kontakty z Londynem.

W „Wiadomościach" w Londynie 20 kwietnia 1958 wydrukowano mój wiersz: „Polski krajobraz": „odejdą handlarze zieleni/ zakwitnie na przekór czerwonym dłoniom...". Między innymi za te wiersze usunięto mnie z redakcji „Współczesności."

W dramacie „Wernyhora" roztaczam wizję przyszłych dziejów Polski – poprzez przeszłe – na kanwie legendy Wernyhory – dziada, wizjonera, proroka. Podobnie w tragedii „Śmigły" ukazuję, że postawa naczelnego wodza była jedyną z możliwych do przyjęcia dla ówczesnej Polski.

Zacytuję Miłosza: praca pisarska nie jest zajęciem wyłącznie proceduralnym, czerpie soki żywotne z całości życia ojczyzny, a nawet świata. To, co się dzieje w życiu publicznym, nie może być obojętne dla pisarzy, a wstrząsa nimi tym bardziej, gdy życie państwowe czy narodowe staje na rozdrożu, czy też znajduje się w punkcie zwrotnym, gdy powstają pytania i wątpliwości, których ostatecznym przedmiotem jest całość kultury narodowej.

I ja tak też widzę posłannictwo pisarza – żyć życiem narodu i jego państwa, zarówno tym, co się dzieje na zewnątrz nas, jak i wewnątrz. I dlatego w mojej twórczości tak często przewijają się wątki dotyczące żywotnych spraw kraju, a nawet w relacji z sąsiadami – nie tylko bieżącymi, lecz także z przeszłości.

Na podobne nuty gram i w moim tomie „Wiersze wigilijne" oraz „Ballady polskie". Nie interesuje mnie liryka osobista, to strata czasu – to może być ważne dla mnie piszącego, ale na pewno nie dla czytelnika.

Hm... Ja wręcz przeciwnie: sprawy narodowe, historyczne widzę zawsze poprzez pryzmat liryki osobistej. Ale podziwiam Twoje wiersze, wzruszają mnie, więc może ta różnica traktowania tematu jest sprawą jedynie powierzchowną. A powiedz..., czy jak byłeś dzieckiem, ktoś czytał Ci bajki?

Zabrakło na to czasu, byłem dzieckiem wojny. Musiałem pracować w gospodarstwie rodziców. Przeciągały dwa fronty, na moich oczach padali zabici i ranni. Od lutego 1945 roku mój ojciec był represjonowany przez UB. Więziono go przez pół roku, aż do amnestii. Przynoszono ubranie do prania – były na bieliźnie ślady krwi. Pisałem o tym w wierszach.

Jak wyglądały twoje dzieje po wojnie?

Jest taki wiersz Antoniego Bogusławskiego „Polskim spadochroniarzom", drukowany w Londynie w książce gen. Sosabowskiego „Najkrótszą drogą". Dla PSZ na zachodzie droga okazywała się wcale nie krótka, ale okrężna i długotrwała. Tysiące polskich oficerów i żołnierzy nigdy nie wróciło do kraju, a na tych, co wrócili, czekały więzienia i wyroki. Jak w przypadku cichociemnego Andrzeja Czaykowskiego – wyrok śmierci wykonano w 1953 roku w więzieniu mokotowskim. Takie to były czasy.

Związek Młodzieży Demokratycznej, flirty ze Stronnictwem Demokratycznym, w końcu PZPR. W liceum, zagrożony gruźlicą z niedojadania, wstąpiłem do partii. Inaczej czekały mnie suchoty. Trzeba było opowiedzieć się po stronie przegranej AK, albo po stronie nowego. Jako syn AK-owca musiałem poznać te struktury, musiałem wiedzieć, czemu się przeciwstawić.

15 lat pracowałem w dziennikarstwie, 25 lat jako redaktor w wydawnictwach. Miałem prawo inicjatyw wydawniczych. Korzystałem z tego bardzo często. Wyżywałem się w tym, wiele książek iskrzyło talentem, wiele niedopracowanych, niedojrzałych.

Jako kierownik Wydziału Kultury w Zielonej Górze utworzyłem Lubuskie Towarzystwo Kultury z sekcją literacką i muzealną, z powołaniem czasopisma regionalnego.

Po październiku 1956 roku, zachęcony opinią Grydzewskiego, byłem animatorem ruchu polskich twórców, współzałożycielem grupy literackiej „Współczesność". Zawodowo pracowałem jako redaktor i edytor.

Później jako kierownik wydziału kultury DRN Warszawa Wola, domagałem się przekształcenia sali kinowej domu kultury zakładów Kasprzaka w teatr na Woli...

Trzeba było obronić pracę magisterską, stąd z żalem z Woli odszedłem, a byli tam wspaniali działacze kultury.

W 1977 roku sekretarz KC Łukaszewicz zaproponował mi status swojego doradcy i kierownika sektora wydawnictw w KC. Mówiłem o kryzysie ekonomicznym, ideologicznym, a jemu podlegała propaganda i ideologia. Nie spodobało mu się to. Udało mi się zostać archiwistą w biurze prac naukowych Naczelnych Archiwów Państwowych. Praca jakże inspirująca, dostęp do teczek...

Lecz ciągle mnie gnało do własnego pisania i tak powstał zapis książki „Agent główny" o założycielu agencji głównej hotelu Lambert w Istambule, o Michale Czaykowskim – Sadyku Paszy. Michał Czaykowski to bardzo ciekawa postać. Porucznik jazdy wołyńskiej, który po upadku powstania listopadowego przebił się z pułkiem Różyckiego do Francji, twórca haseł encyklopedycznych...

Rozumiem, walka narodowowyzwoleńcza, tradycja rodzinna... Ale czy naprawdę nigdy nie pisałeś wierszy miłosnych?

Popełniłem kilka takich wierszy. Najczęściej nie dotyczyły żadnej konkretnej kobiety, mówiły ogólnie o tęsknocie za kimś bliskim, o domu, o dziecku. Wielokrotnie w wywiadach pisarze wspominali o tym, jak wiele zawdzięczają swoim żonom. Ja nic takiego o moich żonach nie mógłbym powiedzieć.

W których twoich tomikach można znaleźć najwięcej motywów osobistych?

„Pasje i pasjanse", „Dalekie drzewo".

Dziękuję za rozmowę. Życzę, żeby wszystkie Twoje pasjanse okazały się dobrą wróżbą.

Rozmawiała Danuta Błaszak

Zbigniew Irzyk rozmawia z Leszkiem Szymańskim, założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym „Współczesności"

Leszek Szymański *(Les shyman) – dziennikarz, redaktor, pisarz historyk. Podobnie jak jego wielcy rodacy Conrad i Jerzy Pietrkiewicz, pisze w języku angielskim. Jego kariera literacka nie skończyła się po wyjeździe z kraju. Wydał wiele książek, na ogół dobrze przyjętych przez krytykę. Monografia „Kazimierz Pułaski w Ameryce" uchodzi za pozycję podstawową, jaką napisano o bohaterze narodowym Polski i USA. Przebywał w Indiach, na Filipinach, w Australii i Wielkiej Brytanii. Od lat mieszka w USA w Long Beach w Kalifornii.*

Zbigniew Irzyk: Drogi Leszku, nie widzieliśmy się wiele lat, ale wciąż jesteś żywo obecny w mojej pamięci i nielicznego już grona kolegów. Zawsze ze wzruszeniem wspominam tamte chwile naszej młodości, kiedy to przed pięćdziesięciu laty powołałeś do życia „Współczesność". Wtedy nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z doniosłości tego faktu, traktując na początku nasze pisanie jako swoistą zabawę i przygodę literacką. Nie spodziewaliśmy się, że pismo to nie tylko wpłynie na nasze osobiste losy, ale także od jego tytułu przyjmie nazwę całe pokolenie literackie 56, które tak bardzo zaznaczy się w dziejach współczesnej literatury, a w trakcie jej wydawania narodzą się przyjaźnie trwające do dzisiaj. Skąd powstał sam pomysł założenia dwutygodnika młodych, na ten temat istnieją sprzeczne opinie owiane swoistą legendą. Złośliwi twierdzą, że przyczyna jego powstania była prozaiczna, gdyż nie miałeś gdzie drukować swoich opowiadań i dlatego ktoś Ci doradził, byś założył własny periodyk. Jak było naprawdę?

Leszek Szymański: Nie złośliwi (choć może), ale domyślni mają rację. Pomysł podsunął mi Jerzy Siewierski. Nie miałem gdzie publikować swoich tekstów i Jurek ironicznie zaproponował mi wydawanie własnego pisma, w owym czasie propozycja bajeczna.

IZ: Kto wymyślił sam tytuł i w jakich okolicznościach powstała grupa literacka? Wiele osób przypisuje sobie tę zasługę? Podobno pismo miało pierwotnie nazywać się całkiem inaczej.

LSZ: Tytuł wymyśliłem sam. Zasugerowała mi go powieść Jerzego Putramenta. Chciałem, by „Współczesność" była lustrem rzeczywistości literackiej. Ponieważ

pismo nie mogło istnieć bez formalnego zaplecza, musiała powstać grupa założycielska, którą powołaliśmy kilka miesięcy wcześniej. Pierwsze zebranie odbyło się w obszernym mieszkaniu na wałach Woli (symbolicznie) Alicji Wankracowej, koleżanki ze studiów Jurka Siewierskiego. Ktoś z zebranych zaproponował nazwę „Gong". Propozycja nie przeszła. Nie dość, że tytuł brzmiał humorystycznie, to nie dawał również żadnego kamuflażu wobec władz. Już nie pamiętam dokładanie, kto uczestniczył w tym spotkaniu. Byłem ja, Wankracowa, Jurek Siewierski, Romek Śliwonik. Chyba byli jeszcze Wojtek Albiński, Andrzej Chaciński, ale kto więcej?

IZ: Jakie były główne cele pisma i jakie nowe wartości do naszego życia literackiego i do literatury wniosła „Współczesność" swoim pojawieniem się w pamiętnym roku 1956?

LSZ: Zasadniczym naszym zamiarem było umożliwienie swobodnego pisania młodym literatom bez ograniczeń, które narzucał wtedy pisarzom realizm socjalistyczny i bez potrzeby podporządkowania się zaleceniom partii. Słowem, przyświecała nam wolność twórcza i polityczna niezależność. Wnieśliśmy otwarty dostęp druku dla wszystkich pragnących u nas pisać, nie tylko młodych. Publikowali u nas m.in. Stanisław Cat Mackiewicz, Stanisław Rembek, Jan Wyka, Anatol Stern i inni. Przywracaliśmy literaturze polskiej jej pluralizm i ciągłość tradycji, a także wznowiliśmy szeroki kontakt z kulturą Zachodu. Skupiliśmy ponadto wokół pisma organizacyjnie całość młodzieży twórczej. Było to, co prawda, zagranie taktyczne z naszej strony, bo tak silną grupę było trudniej zlikwidować niż wąski zespół „Po prostu" – mimo jego niezaprzeczalnej wagi i popularności.

IZ: Jak to się stało, że takie pismo niezależne jak „Współczesność" mogło wtedy w ogóle powstać?

LSZ: W rozumieniu czynników rządzących ukazanie się „Współczesności" stanowiło swoisty wentyl bezpieczeństwa, świadczyło o otwarciu władz na dokonujące się przemiany polityczne w Polsce. Dawało okazję manipulacji młodymi ludźmi bez zarzucania im reakcyjności, zwłaszcza że idea Stu Kwiatów i zakładania różnych grup literackich zaczynała już powszechnie kiełkować. My byliśmy czynnikiem nieznanym, więc nadawaliśmy się, do ewentualnego wykorzystania. Pamiętajmy, że był to czas Odwilży i zmian personalnych w partii i w kulturze. Starzy pisarze skompromitowali się i zaczęli się dopiero przestawiać na nowe tory (Słonimski „obciął sobie rękę, która pisała przeciwko Socjalizmowi"). Starzy niereżymowi też musieli się jakoś dostosować, jeśli chcieli utrzymać się z pisania. Ci niezłomni pisali

do szuflady lub poniewierali się po nędznych urzędach, a nawet więzieniach. Grupa PAX-u była swoistą oazą trzeźwości współżycia z Sowietami z rozsądku, bez propagowania obowiązkowej miłości albo takowej deklaracji. A1e to byli rządowi katolicy. Ci prawdziwi mieli również pewną swobodę wypowiedzi (Stefan Kisielewski), ale tylko w ściśle zakreślonych, zawężonych do tematyki religijnej i światopoglądowej.

„Współczesność" swoim pojawieniem się dawała taką szanse szerokiej wypowiedzi różnym twórcom, reprezentującym rozmaite kierunki artystyczne i poglądy. Przełamywała zatem dotychczasowe sztywne podziały i bariery.

IZ: Za swoją otwartość – jak pamiętam – płaciliśmy wysoką cenę. Atakowano nas ze wszystkich stron.

LSZ: To prawda. Pod naszym adresem padały rozmaite zarzuty i posądzenia. Wypominano nam relatywizm moralny, brak kręgosłupa ideologicznego, domagano się samookreślenia światopoglądowego, a my nie mieliśmy żadnej możliwości obrony, szczerej odpowiedzi na te pomówienia. Podejrzewam, że większość naszych ówczesnych krytyków świetnie zdawała sobie sprawę z sytuacji, ale chciała się w tej zbiorowej nagonce na dwutygodnik młodych wykazać przed władzami swoją nadgorliwością.

IZ: Przypomnij nam Leszku okoliczności, w jakich przebiegało Twoje spotkanie w Sali Kongresowej Pałacu Kultury z Władysławem Gomułką, które ostatecznie zadecydowało o wyrażeniu przez niego zgody na wydawanie „Współczesności".

LSZ: Jak już nie było możliwości odwołania się od decyzji zamknięcia naszego pisma (nie wiedziałem wtedy na pewno, że zawinił Roman Śliwonik swym wierszem „Węgrom"), postanowiłem przydybać Gomułkę. Udało mi się dotrzeć do niego na słynnym wiecu w Pałacu Kultury. Gomułka w rozmowie ze mną wymyślał na literatów. Pamiętam, że powiedział – literaci nie będą rządzić Polską. Mówił, że chcą sprowokować wojnę ze Związkiem Radzieckim, że czołgi radzieckie były na przedmieściach Warszawy. Mówił z przejęciem i chyba szczerze. Dołączyłem się do jego wymyślań na Starych literatów. Na co on odpowiedział: a młodzi też nie dużo lepsi, czy wiecie co ten (?) wiersz mógł spowodować? Domyśliłem się, co to był „ten wiersz" i zapewniłem towarzysza Wiesława, że jego zamieszczenie to była pomyłka techniczna, że wiersz był odrzucony, że właściwie polityka nas nie interesuje – tylko sztuka dla sztuki. Gomułka się udobruchał i powiedział coś w rodzaju, piszcie, jak uważacie, ale o literaturze i sztuce, a do polityki mi się nie wtrącajcie! Pieniądze zaróbcie sami. Naskrobał coś na karteluszku i kazał to wręczyć Arturowi

Starewiczowi, który (nie pamiętam dobrze, wskazał mi go) był z drugiej strony podium, w każdym razie nie w pobliżu. Chyba następnego dnia wezwano mnie do KC, gdzie bodaj tow. Bębenek potwierdził zezwolenie na wydawanie pisma, ale bez przydziału papieru i pieniędzy. De facto, wyrok zagłady. Zwłaszcza, że w rozgorączkowanej atmosferze politycznej nie mogliśmy pisać o polityce, więc w opinii publicznej wyrośliśmy na pięknoduchów, przeciwstawiających się bohaterskiemu pismu eks-zetempowców „Po prostu".

IZ: Okres naszej pełnej niezależności trwał krótko. Twoja heroiczna walka o przetrwanie, o papier – od samego początku ukazywania się „Współczesności" owocowała różnymi przelotnymi flirtami ze Stronnictwem Demokratycznym (sam byłem na takim spotkaniu z panem Wendem), z PAX-em, a następnie z „Ruchem", co spotykało się z ostrymi atakami ze strony wielu osób i środowisk niechętnych pojawieniu się nowego periodyku. Skąd brała się ta zaciętość i pasja w zwalczaniu tej cennej inicjatywy, jaką było powstanie pisma młodych twórców – oraz wyjątkowa zaciętość w atakowaniu Twojej osoby?

LSZ: Sytuacja materialna zmuszała nas do wygibasów ideologicznych, bo nie mogliśmy prowadzić własnej linii pisma. Strzelać nam nie kazano, czyli nic o polityce. Pożyczyliśmy pieniądze od „Helikonu". W zamian daliśmy im parę stron. Podobną metodę zastosowaliśmy wobec Stronnictwa Demokratycznego. Wypełnili swoimi materiałami kilka kolumn, które jaskrawo odcinały się, od reszty pisma. To samo było z Pax-em. Nienawidzono nas, bo starzy i skompromitowani pisarze widzieli w nas konkurentów do „żłoba". Nieskompromitowani – bo wycyganiliśmy zezwolenie na pismo. Ludzie chcący zmian i szlachetni mieli do nas pretensje, bo nie pisaliśmy o polityce i nie żądaliśmy zmian, lecz zajmowaliśmy się takimi drugorzędnymi sprawami jak honoraria młodych pisarzy w NRD, czy tłumaczami poezji amerykańskiej. Wielu z nich, chyba szczerze i naiwnie, nie zdawało sobie sprawy, że to był kamuflaż. Inni wiedzieli dobrze, co robią.

Co do mnie: nadepnąłem na odciski wielu osobom przez celową bezczelność i wrodzoną arogancję. Pamiętam, że kiedyś wtargnąłem – wbrew sekretarce do gabinetu dyrektora Balickiego, tego od przydziału papieru. Balicki kazał mi uprzednio czekać, bo miał jakąś niesłychanie ważną konferencje. Przyłapałem go na smarowaniu serdelków musztardą. Omal się nie udławił. Ale dał przydział papieru.

IZ: A Jakie największe przeszkody i opory napotykałeś przy wydawaniu „Współczesności"?

LSZ: Największe przeszkody i trudności wynikały z braku bazy materialnej: z braku redakcji, etatów i pieniędzy na płacenie honorariów. Nie mogliśmy – mimo niesamowicie wysokiego nakładu (dopiero na Zachodzie zdałem sobie sprawę, że pismo literackie w nakładzie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy było niepowtarzalnym fenomenem) płynąć o własnych siłach przez ten głaz na szyi, jakim był zakaz pisania o polityce. Niesłychanie trudną przeszkodę stanowił stały brak przydziału papieru i drukarni. Bez pomocy Andrzeja Korczaka, byśmy tego nie przebrnęli.

IZ: Które zdarzenia związane z naszym wspólnym redagowaniem po latach wspominasz najmilej oraz jacy młodzi twórcy najbardziej trwale zapisali się w Twojej pamięci?

LSZ: Chyba najmilej wspominam nasze nieustające dyskusje w moim mieszkaniu na Ludnej i jakąś wspólnotę, która nas łączyła – mimo wszelkich kłótni. Wieczory poezji po kawiarniach, no i sprzedaż tamże numerów pisma oraz w parkach i na rogach ulic. Z kolegów najbardziej mi się utrwaliła świetlana postać Mariana Ośniałowskiego, olbrzyma Brychta, który odnosił się z jakąś dziwną łagodnością do maleńkiego Georga Vaurgisa, no i Ciebie. Ale właściwie całe ścisłe grano redakcyjne, więc musiałbym wymienić zbyt wiele nazwisk. Ograniczam się więc do powyższych.

IZ: Dobrze pamiętam chwile naszego szybkiego pożegnania związane z Twoim nagłym wyjazdem. Przyznaję, że Twoja natychmiastowa decyzja opuszczenia Polski była dla nas przykrym zaskoczeniem. Do tej pory te okoliczności wydają się niejasne i dość tajemnicze. Zapewne musiały istnieć poważniejsze powody z Twojej strony niż zwykła młodzieńcza ciekawość świata, czy chęć zrobienia kariery literackiej na Zachodzie, jak ta uczynili Marek Hłasko, a potem Andrzej Brycht i Włodzimierz Odojewski. Co, Leszku, legło u podstaw takiej dramatycznej decyzji, zwłaszcza że przez długie lata żyło Ci się na Filipinach, w Australii, a potem w Wielkiej Brytanii i USA znacznie trudniej niż w Polsce?

LSZ: Masz rację. W kraju żyło mi się dostatniej i bezpieczniej, ale nie mogłem już dłużej znieść swojego osaczenia. Mój wujek, Władysław Siła-Nowicki, w listach pisanych do mnie stale namawiał mnie do powrotu. Uważał, że życie w Polsce pomimo wszystkich swoich wad ustrojowych, jest jednak czymś lepszym dla pisarza niż emigracja. Czynnikiem rozstrzygającym była świadomość, że dni niezależnego pisma są policzone. Przerażała mnie groza przymusowego pewnie wcielenia do partii i prowadzenia zakłamanego życia. Będę zawsze pamiętał, gdy Wam powiedziałem o mym zamierzonym wyjeździe do Indii. Nie przypominam sobie, gdzie to było. Chyba w parku, a może raczej za moim domem na Ludnej. Pamiętam Twoją twarz, gdy spytałeś: – Co my bez Ciebie zrobimy? Wiedziałem już wtedy, że moje redaktorstwo we „Współczesności" definitywnie dobiegło końca. Obiecałam partii, nie jestem pewien komu, ale chyba tow. Bębenkowi, że gremialnie wstąpimy do PZPR. Nacisk był łagodny, ale wyraźny. Na razie dorzucono nam Lenarta i Strumpfa. Prawdopodobnie by to przedłużyło nam pobyt w piśmie. Nie wiem na jak długo. W każdym razie dzięki temu mieliście zapewnione etaty na co najmniej parę miesięcy, wyrobione nazwiska i pozycje. Dziś z perspektywy pół wieku widzę, że „Współczesność" była przełomem. Co prawda – dzięki sprzyjającemu momentowi historycznemu. Pewnie Napoleon bez Rewolucji Francuskiej i wojen przez niego prowadzonych pozostałby tylko pułkownikiem w stanie spoczynku. Tak samo nasze pismo w tak krótkim okresie nie uzyskałoby wyjątkowego sukcesu. Z innej beczki: większość krytyków literackich, a szczególnie pani Ewie Głębickiej, brakuje znajomości tła historycznego (może to zresztą celowe?). Otóż różne deklaracje oraz wypowiedzi (zwłaszcza moje) były pisane wyłącznie pod cenzurę i na użytek wydziału prasowego KC PZPR, i nie wolno tych wypowiedzi traktować poważnie. Brak pieniędzy, papieru – jak wspomniałem – zmuszał nas do nieustannego lawiranctwa. O tym, że nie wolno było nam pisać na tematy polityczne, mało kto wie. Musiałem czasem być cenzorem! Celowo przeciwstawiano nas „Po prostu", tak, jakby istniała wtedy pełna swoboda wypowiedzi i politycznego wyboru. Dziś te nutki dawnych reżymowych publicystów są podchwytywane przez osoby w rodzaju pani Głębickiej.

Ale Zbyszku, wracam do Twego pytania. Obecnie uważam, że moja decyzja pozostania za granicą była mylna. Bezpośrednio do tego skłonili mnie Artur Koestler, Bolesław Wierzbiański i Janos Horvath, a pośrednio Jerzy Giedroyć, który obiecał wydać mi książkę (miałem w Polsce dwie umowy). Pomimo danej mi obietnicy Giedroyć nie wydrukował mojej książki, to mnie skłoniło do pisania po angielsku, gdyż poza Józefem Mackiewiczem żaden z pisarzy emigracyjnych nie utrzymywał się z pióra. Nota bene Mackiewicza spotkałem w Monachium. Był miły i gościnny. Dał mi list polecający do Karola Zbyszewskiego. Zbyszewski i Aleksander Bergman pomogli mi dostać pracę w „Dzienniku Polskim". Wywalił mnie Wiesław Wohnut (naczelny), chyba na złość Mackiewiczowi, Zbyszewskiemu i Bergmanowi, no bo – jak twierdził – czym skorupka za młodu nasiąkła, tym na starość trąci. Chodziło mu o szkoły komunistyczne. Później w Anglii redagowałem kapitanowi Tadeuszowi Kutkowi „Fregatę". Kutka kiedyś spotkałem ze Śliwonikiem w Kameralnej. Musiałem być oficjalny, bo Kutek to emigracja. Później Kutek się na

mnie odgryzł. Potem pilnowałem diamentów jej Królewskiej Mości w British Museum w Londynie. Następnie wspomniany Janos Horvath ściągnął mnie do USA. Miał mi tam pomóc Departament Stanu. Rzeczywiście. Obiecano mi pracę w szkole wywiadu, a ściślej – uczenia polskiego (wykładał tam kiedyś Czesław Miłosz). Otwarcie nie stawiano mi żadnych warunków, ale gdy nie wykazywałem ochoty imitowania Jamesa Bonda, moje podanie zostało odrzucone przez niejakiego Burakowskiego z uzasadnieniem, że nie władam poprawnie polszczyzną.

IZ: Leszku, po Twoim wyjeździe z Polski prawie całkowicie zerwałeś kontakt z krajem. Tylko z kilkoma osobami utrzymywałeś korespondencję. Między innymi z Jurkiem Siewierskim – Twoim przyjacielem i kolegą szkolnym z Batorego, a potem w czasie pamiętnego trzęsienia ziemi w Los Angeles, kontaktowałeś się z jego synem Wojtkiem – ówczesnym konsulem w USA. To z ich relacji i rozmów z Anią Siewierską – żoną Jurka – znam szczątkowo Twoje dzieje. Wiem, że zawsze Pamiętałeś o nas, byłeś ciekaw wiadomości o Śliwoniku, o mnie i innych naszych kolegach. Wiem również z tych niepełnych informacji o Tobie, które docierały do nas, że Twoje życie obfitowało w różne niezwykłe zdarzenia i układało się wyjątkowo barwnie. Czy mógłbyś zaspokoić naszą ciekawość i opowiedzieć co działo się z Tobą po uzyskaniu stypendium Teodora Parnickiego i wyjeździe do Indii, a także przybliżyć czytelnikom swoją sylwetkę pisarską? Dla nas – Twoich kolegów – w dziejach najnowszej literatury i tak masz swoje trwałe miejsce jako wspaniały założyciel i pierwszy redaktor naczelny dwutygodnika „Współczesność".

LSZ: To pytanie jest tak ogromne, że wybacz, iż odpowiadam w uproszczeniu.

Z kolegami nie zerwałem, korespondencja uwiędła. Po pierwsze wiedziałem, że kontakt ze mną może ich narazić na przykrości, nawet Jurek Siewierski pisał do mnie pod cenzurę. Choć wobec „wybrania wolności" nie narobiłem hałasu, co odnotował Jerzy Giedroyć w liście do Andrzeja Bobkowskiego i chyba dlatego zerwał ze mną umowę wydawniczą. Koledzy nie mieli zasadniczych przykrości, z wyjątkiem Jurka Siewierskiego i to też stosunkowo łagodnie. Rodzina? Żadnych. Muszę przyznać Gomułce, że nie był mściwy. Przynajmniej w mym wypadku.

Następnie w miarę upływu lat sprawy polskie i Polska zaczynały się odsuwać, blaknąć. Pamiętajmy, że emigracja była całkowitym odcięciem od Polski. Jak się później dowiedziałem, nie tylko moich książek nie wolno było drukować i wspominać, choć prof. Marian Drozdowski odnotował moją „Warsaw Aflame", ale można było o mnie pisać jedynie w negatywnym kontekście, albo przynajmniej

z dodatkiem jakiegoś personalnego nieprzyjemnego epitetu. Udało się tu wyłamać spod tej reguły Jurkowi Siewierskiemu. Oczywiście, cała moja twórczość jest w jakiś sposób związana z polskością, ale nie w sensie doraźnym, lecz trwałym. Jak kiedyś powiedziałem w wywiadzie radiowym w Sydney: „Trudno nie być Polakiem", gdy zapytano mnie czy uważam się za Australijczyka, czy Polaka. Nota bene jestem uważany za pisarza polsko-australijsko-amerykańskiego. Jak już nadmieniłem, od dawna piszę po angielsku. Dla pisarza to straszliwy przewrót. Nie tylko obcy język jako podstawowe narzędzie twórcze, ale inna, kultura literacka, inne asocjacje, historia, podejście da zagadnień, odrębna tradycja, no i całkowicie różne stosunki wydawnicze i możliwości zarabiania piórem. Ale mówiąc a mojej twórczości, np. napisałem monografię o Kazimierzu Pułaskim w Ameryce, praca, naprawdę rewolucyjna (bo znalazłem mnóstwo nieznanych dokumentów), ale przemilczana (de facto) w USA i w Polsce. Niedawno ukończyłem biografię Pawła Strzeleckiego, przedtem napisałem historycznonaukową pracę o Solidarności, przyjętą znakomicie przez największe i najpo- ważniejsze learned journals amerykańskie, a nawet odnotowaną przez codzienną prasę. Moje opowiadania i powieści, jak np. „Żywot codzienny państwa Wiśniewskich w Sydney", jakoś zawsze łącza się z tematyką polską i polonijną. Z wyjątkiem powieści z epoki hellenistycznej, za którą otrzymałem stypendium ufundowane przez Teodora Parnickiego.

Co do innych spraw, moje życie przedstawiało się jako połączenie karier nieliterackich Maksyma Gorkiego i Jacka Londona. Między innymi strzygłem owce w Australii, ścinałem trzcinę cukrową, pracowałem w buszu. W Londynie pilnowałem diamentów J.K.M. w muzeum Geologii, części British Museum, byłem zecerem i linotypistą u Czesława i Krystyny Bednarczyków, założycieli wydawnictwa „Oficyna Poetów i Malarzy", w ich drukami pod wiaduktem mostu kolejowego stacji Victoria. Pracowałem też w drukarni „Dziennika Polskiego". W USA byłem detektywem hotelowym, odźwiernym, grabarzem i nawet poszukiwałem złota w Kalifornii w okolicy Sonora, z miernym zresztą skutkiem. Krótko byłem zatrudniony jaka zecer i linotypista. Nauczyłem się tego zawodu w Australii i Anglii. Ostatecznie przyklapnąłem jako security guard, czyli wartownik. Pracowałem również w rozmaitych pismach polonijnych w Australii, Anglii i USA. Choć to wygląda ciekawie, jednak w zasadzie życie emigracyjne było ciężkie, prace trudne i poniżające, a mało płatne. Z książek nie miałem prawie żadnych dochodów. Pisanie darmowe dla prasy emigracyjnej uważano za obowiązek polityczny i społeczny. Wydałem parę książek, które zostały dobrze przyjęte przez krytykę, ale jak wspomniałem, nie zapewniły mi utrzymania. W Kalifornii spotkałem się z Markiem Hłasko, którego znałem jeszcze

z Polski. Wspólnie pisaliśmy powieść „Rice Eaters". Za otrzymaną zaliczkę mieliśmy jechać do Meksyku, by tam spokojnie pracować, ale Marek nagle otrzymał zaproszenie do Izraela. Napisał: „Stary, wyjeżdżam do Izraela. Płacą!" Chyba był to ostatni list od niego w Ameryce. Niedawno ukończyłem książkę o Strzeleckim. Niestety, nie mogę znaleźć na nią wydawcy. Obecnie pracuję nad biografią José Rizala, bohatera narodowego Filipin, pisarza, poetę, działacza niepodległościowego, geniusza na skalę Leonarda da Vinci, rozstrzelanego przez Hiszpanów w wieku 33 lat. Jak więc widzisz, mimo wydanych książek, doktoratu z historii, magisterium z nauk politycznych, bakalariatu z polonistyki, bywało raczej trudno. Moje życie rodzinne też różnie się układało. Z ostatnią żoną, Filipinką, mam dwóch synów. Starszy już się usamodzielnił, młodszy odchowany. Pewnie w przyszłym roku wyjadę na stałe na Filipiny albo do Malezji.

IZ: Leszku, a co sądzisz o współczesnej naszej literaturze. Jak ją postrzegasz z oddali?

LSZ: Z Polski i polskiej literatury się wyobcowałem. Ale z tego co z dala obserwuję i z tego o czym dochodzą mnie słuchy, sytuacja, kulturalna w Kraju jest paskudna. Wydaje się, że zamienił stryjaszek siekierkę na kijaszek. Zlikwidowaliśmy cenzurę polityczną, by zastąpić ją komercjalną. I manipulacją dotacjami. Nie wiem, jakie wydawnictwa i pisma pozostały w polskich rękach. Po zalewie sowietyzmu nastąpił zalew masowy kulturą amerykańską, anglosaskie makaronizmy zadziwiają mnie, piszącego w tym języku.

IZ: Swoistym paradoksom Historii jest to, że w wolnej Polsce kultura, dzięki której głównie przetrwaliśmy i zachowaliśmy swoją tożsamość narodową i o której poczesne miejsce tak zawsze upominaliśmy się na łamach „Współczesności" na miarę naszych młodzieńczych sił i możliwości – obecnie wegetuje na marginesie społecznych zainteresowań, a pisarz „nieserialowy" pozostaje skazany na zapomnienie. Co o tym sądzisz? Czy nie uważasz, że może byłaby teraz potrzebna jakaś nowa „Współczesność", która by zadbała o polskich twórców i przywróciła godność literaturze?

LSZ: Zbyszku, pozostałeś idealistą. Nie nowa współczesność jest potrzebna, ale nowi czytelnicy, to jest inni niż obecni, a nie należy też zapominać, że czytelnicy są formowani przez warunki społecznokulturalne. Chyba to samo przemawia za siebie.

Long Beach – Warszawa w kwietniu 2006.
Rozmawiał Zbigniew Irzyk

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj" 2006.

Rozmowa Aleksandra Nawrockiego z Jackiem KAJTOCHEM

AN: Jacku, czy coś po nas zostanie?

JK: Dwóch utalentowanych poetów i redaktorów, których cenię i chętnie czytam, zadało mi ostatnio pytanie, co sądzę o położeniu polskiej literatury współczesnej, czyli po prostu – co po nas pozostanie? Długo zwlekałem z odpowiedzią, ponieważ nie chciałem jej formułować jednoznacznie, tym bardziej – pesymistycznie. Ale trudno, wreszcie trzeba się odważyć i odpowiedzieć: niestety, bardzo źle sądzę i obawiam się, że nie będzie nam łatwo wyjść z obecnych tarapatów, a na pewno – szybko.

AN: Jak do tego doszło?

JK: Na przełomie 1989-1990 kilku wziętych krytyków literackich – w tym ze stopniami naukowymi i tytułami uniwersyteckimi – głosiło dwie tezy, po pierwsze – że poza nami jest tak zwana „czarna dziura", co należało rozumieć jako skrajną opinię kwestionującą wysiłek Polaków w ciągu kilku dziesięcioleci XX wieku, nigdy zresztą tego publicystycznego hasełka nie rozwinięto i nie udowodniono, po drugie – iż należy oczekiwać nowej, wspaniałej karty w historii kultury, osiągnięć na miarę co najmniej dwudziestolecia międzywojennego. Spodziewano się „zrzucić płaszcz Konrada" i maksymalnie wykorzystać lata wolności.

Dzisiaj już nawet nie wspomina się tej krytycznoliterackiej tromtadracji, a nawet nie wypada. Spodziewam się, że zostanę za to nawiązanie skarcony.

AN: Gdyby porównać obecne lata z latami przedwojennymi, to jakbyś to widział?

JK: A więc. Mija siedemnaście lat III Rzeczypospolitej. Gdyby porównać nasze dzisiaj do II Rzeczypospolitej – mielibyśmy rok 1936, 1937.

Odwołajmy się tedy do wiedzy maturzystów: Skamandryci, np. Tuwim, Iwaszkiewicz, Wierzyński, są w najlepszej fazie swojej twórczości, właśnie napisali dzieła i weszli już za życia do historii polskiej literatury; Awangardziści (Peiper, Przyboś) ogłosili najważniejsze manifesty i artykuły programowe, będziemy z nich czerpali przez następne dziesięciolecia. Właśnie zadebiutował przyszły laureat Nagrody Nobla. Pojawili się autorzy, którzy odrodzą polską poezję religijną. Prozaicy (Dąbrowska, Nałkowska, Kaden-Bandrowski, Żeromski) ukończyli znamienite epopeje, utrwalili w nich i przekazali następnym pokoleniom obraz Polski od powstania styczniowego po dni ostatnie. Bataliści (Rembek) skończyli opisywać pierwszą

po kilku wiekach zwycięską wojnę, oczywiście mam na myśli polsko-bolszewicką. Dramaturdzy wnieśli na wyżyny teatr obyczajowo-psychologiczny (Szaniawski) i otwarli drogę dla teatru awangardowego (Witkacy), nie tylko zresztą w Polsce.

Nie przytaczam tytułów. Każdy to może zrobić.

AN: Przejdźmy do aktualiów i porównań.

JK: Tutaj są dodatkowe trudności. Z przyczyn, których nie rozumiem, zlikwidowano sieć czasopism literacko-społecznych. Od dawna tak źle nie było. Nawet podczas zaborów mieliśmy ambitne czasopisma, dbające o rozwój i poziom literatury narodowej. Nie rozumiem także powodów likwidacji hurtowni, licznych księgarni, ograniczenia ilości bibliotek publicznych. W rezultacie nie wszystkie – jak się domyślam – nowości są promowane, niektóre tytuły – od razu skazane na niepamięć. Polacy pozostają w bardzo złej sytuacji: na kupowanie nowości często nie mają pieniędzy, a w bibliotekach tworzą się długie kolejki do wartościowych tytułów. Krytyka literacka w zasadzie obumarła, zwłaszcza niektóre jej gatunki, jak np. recenzje prasowe, bardzo ważne dla upowszechniania wiedzy o literaturze współczesnej.

Może do mnie również nie dochodzą wszystkie nowe tytuły i w konsekwencji pomijam je w tych swoich rachunkach, a w każdym razie nie potrafię sporządzić choćby prowizorycznego bilansu.

O niektórych książkach godnych przeczytania w ogóle bym nie wiedział, gdyby mi ich nie przysłali autorzy. W ostatnich latach ukazały się dwie ważne książki: dylogia Zbigniewa Dominy: „Syberiada polska" oraz „Czas kukułczych gniazd". Bardzo dobrą powieść, po części dokumentalną, po części epicką, we fragmentach groteskową ogłosił Włodzimierz Kłaczyński: „Miejsce", 5 tomów! Charakterystyczne, że autorzy mieszkają na tzw. prowincji. Może tam jest jeszcze czas na pisanie o dziejach Polaków w XX wieku? Ale obydwu cykli powieściowych nie znalazłem na żadnej liście prestiżowych nagród literackich, np. Nagrody Literackiej „Nike". Promuje się raczej literaturę popularną: sensacyjną, środowiskową, romanse, fantasy. Prozaicy średniego i młodszego pokolenia, nawet ci najzdolniejsi – znowu świadomie nie wymieniam nazwisk – w sytuacji obniżenia wymagań zaczynają pisać coraz gorzej.

AN: Dlaczego? I czy na pewno?

JK: Dla sprawiedliwości odnotujmy: na tzw. prowincji grupy pisarzy podejmują konstruktywne wysiłki, np. w Gdańsku wychodzi „Autograf", w Starachowicach – „Radostowa", w Żelowie: „Gazeta Kulturalna", w Swarzędzu – „Okolica Poetów"

i inne. Ogólnopolskie ambicje ma „Akant", „Poezja Dzisiaj". Wegetują jeszcze: „Twórczość", „Odra", „Dialog". Te wysiłki jednak są rozproszone i nieskoordynowane. Tym samym mało wpływowe.

W poezji prawdopodobnie jest jeszcze najlepiej. Ciemność rozświetlają indywidualności-latarnie: np. Różewicz, Szymborska, a niedawno jeszcze Twardowski. Bądźmy jednak szczerzy, nie okłamujmy się: największe osiągnięcia ci autorzy mają już poza sobą. Natomiast średnie i młode pokolenie zagubiło się całkowicie. Biorę do ręki głośne kiedyś książki: „Przyszli barbarzyńcy" oraz „Macie swoich poetów, liryka polska urodzona po 1960 r.". Co się stało z tymi głośnymi wtedy poetami jak: Jacek Podsiadło, Marcin Świetlicki i inni. Tak jakby zgubili dane im przez Boga talenty.

AN: Przyczyny tego?

JK: Kryzys literatury współczesnej jest permanentny, głęboki i nie widać jego końca. Zmienił się etos polskiego pisarza. Od XVI wieku mieliśmy w tym względzie ugruntowane poglądy. Już Jan Kochanowski pisał:

„Komu dowcipu równo z wymową dostaje, / Niech szczepi między ludźmi dobre obyczaje: / Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega, / Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega".

Rzecz w tym, że pośpieszna i nieprzemyślana przebudowa współczesnego życia literackiego doprowadziła do zaniku nie tylko niektórych zawodów literackich – jak wspomniana krytyka i recenzja prasowa – ale także zniknęli wybitni intelektualiści, eksperci wypowiadający się na tematy ogólnoświatowe i uniwersalne, a także bardzo znamienni dla polskiej tradycji literackiej pisarze-działacze, troszczący się o sprawy ojczyste. Dziś literatura polska już nie zajmuje się problemami Polaków, nie staje po stronie pokrzywdzonych, nie oświetla doświadczeń historycznych. Najczynniejsi są sprawni rzemieślnicy, obsługujący różne środki masowego przekazu. Tylko oni mogą się wyżywić z literatury.

Trzeba otwarcie powiedzieć o przyczynach, które tkwią bardzo głęboko w strukturze życia literackiego.

AN: Zamieniam się w słuch.

JK: Na pierwszym miejscu wymieniłbym kryzys polszczyzny. Straciła ona tę chwalebną dzielność, która pozwoliła nam odeprzeć ataki germanizatorów i rusyfikatorów. Na odparcie złej angielszczyzny i amerykanizacji nie mamy już siły. Polszczyzna jest nawet poniżana. Kiedyś dowiedziałem się, że językiem obrad poważnej

spółki wydawniczej jest angielski. Tego nigdy nie było. Ani za pamięci moich rodziców, ani mojej.Kolejną przyczyną jest upadek współczesnego szkolnictwa, zwłaszcza niski poziom nauczania języka i literatury ojczystej. W sposób karygodny ograniczono kanon literatury. Już kilkakrotnie wypowiadałem się na ten temat. Powtórzę, że za mało czyta się Kochanowskiego, drzwi pokazano Rejowi, Sępowi Szarzyńskiemu, Kochowskiemu, Sarbiewskiemu (chociaż święcił triumfy w Europie i był nazywany chrześcijańskim Horacym), ograniczono lekturę Krasickiego, Mickiewicza, Słowackiego, wyrzucono za burtę Krasińskiego (jakby ostatnie zdanie „Nie-Boskiej komedii": „Galilaeevicisti" – było niepoprawne politycznie), itd. itp. Im bliżej współczesności, tym lustracja była ostrzejsza.

AN: Jaka winna być w tym rola szkoły?

JK: Powiem ogólnie: szkoła musi stać na straży tradycji kulturalnej. To jest jedyna droga utrwalenia tożsamości narodowej, utrzymania dialogu i współpracy pokoleń.

AN: A co winni robić pisarze?

JK: Obniżyły się standardy moralne: część pisarzy wstydzi się swoich życiorysów, część na gwałt przerabia fragmenty biografii, wszystko staje się dwuznaczne moralnie. Dyskusje merytoryczne należą do rzadkości. W życiu umysłowym zaczynają dominować pomówienia, paszkwil, poniżanie i szydzenie z oponentów. Na takim gruncie nie wyrośnie wartościowa literatura. Dobro i Piękno są ze sobą nierozerwalnie związane.

AN: Czy widzisz wyjście z tego, co tak nagle spadło na literaturę?

JK: Byłoby ważne i wskazane, gdybyśmy rozpoczęli dyskusję na temat wartości kultury, programów literackich itp. Tu przeszkodą staje się tzw. postmodernizm, który praktycznie likwiduje hierarchię wartości filozoficznych, religijnych, moralnych, artystycznych. Wszystko jest dozwolone, równowartościowe, wyczerpały się możliwości jakiejkolwiek narracji o świecie, historia się skończyła itp. itd. Pisarze powinni tylko opuścić ręce w geście beznadziei. Ratunkiem może być bunt warstw oświeconych, które nie powinny dawać się ogłupić. Oczywiście bunt konstruktywny!

Kraków, kwiecień 2006

Jacek Kajtoch

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj" 2006.

BOHDAN DROZDOWSKI

O „Współczesności", póki my żyjemy...

„Współczesność" w roku 1959 była już poważnym, liczącym się dwutygodnikiem młodych, na założenie, którego pierwsze pieniądze wyasygnował sam Władysław Gomułka! Koledzy ze „Współczesności" odnosili się do mnie przyjaźnie i ufnie podobno od pierwszego numeru z 1 października 1956, który otwierał referat Jana Wyki, wygłoszony na Sekcji Poezji przy ZG ZLP... Wyka był przedwojennym komunistą, walczył w szeregach Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii, znał Hemingwaya i Świerczewskiego, i... nazwiska wszystkich debiutantów „okresu przełomu" (w Bulwie, jak sobie kpiliśmy sami z siebie): Bolek, Brycht, Bryll, Briański, Drozdowski, Dąbrowski, Herbert, Harasymowicz, Horak, Himilsbach, Kryński, Liskowacki, Ośniałowski, Białoszewski, Śliwonik, Zakrzewski, Szypowska – w takiej kolejności, w czym zaznaczyła się naczelna cecha tego organu – brak staranności o korektę. Maszynopisów chyba nikt przed wysłaniem do drukarni nie czytał, bo nawet tekst pierwszego wstępniaka wydrukowano niechlujnie. A Wyka rozdawał stopnie i oceniał sytuację m.in. tak: „Warszawa i Łódź są chyba naj-bardziej charakterystyczne, one najmocniej odcinają się od spaczonych i zleżałych pokładów poezji dziesięciolecia. W tych dość zróżniczkowanych, chociaż spokrewnionych ostrą, realistyczną i demaskatorską postawą jest znacznie lepiej widoczna nowa tkanka poezji (...) Sądy się jakoś zbiegają. W gorączce dyskusji wokół tzw. poezji młodych niejednokrotnie padało nazwisko Drozdowskiego i zgodnie przyznawano mu czołowe miejsce w zespole tego pokolenia. Mnie również autor „Panny z siwą głową" i „Ach, pozwól mi westchnąć, aktywisto" jest najbliższy, czym sobie ten poeta robotniczej, włókniarskiej Łodzi zasłużył na przychylną ocenę, mimo że w tej polemice wymierzano więcej cięgów, smagano z większym zapałem aniżeli zachęcano..."

Nie miałem o tym pojęcia. Warszawscy koledzy dyskutowali między sobą, echa z Krakowa odbijały się tu dudniąco... Wyka wyczuwał powody:

„Myślę, że na to składa się niewątpliwa samodzielność, odwaga, która nie jest u nas najpospolitszym owocem, niepowtarzalność obrazu i dynamiczna siła demaskatorstwa. Drozdowski rani kołtuna, filistra, Faula i nie żal mu kołtuńskiej krwi, nawet jeśli ona musi spływać z marnej żyły kołtuna– aktywisty, czy też filistrów – „producentów pierniczkowych haseł" ...

Miło czytać takie oceny. Żołnierze strzelają, Pan Bóg kule nosi – zapamiętałem napis na jakiejś wojennej pocztówce. Poeta pisze, krytycy go roznoszą, czasem na scyzorykach niespodziewanych ocen. Wyka ciągnął: „Drozdowski jest sojusznikiem partii, jej bojownikiem przeciwko skamielinom polityki i kultury, mówi do ludu językiem chociaż (?) literackim, nie ulega wątpliwości, że gorycz Łodzi dodaje otuchy i bojowości tej mocnej, treściwej i bogatej w konflikty poezji. Drozdowski w ten sposób nawiązuje do nurtu rewolucyjnego, pomijając pośrednie, spaczone ogniwa. Odrzucając lakiernicze hasła jest obcy mobilizacji energii narodowej (??), nawołuje do karczowania (?) szkodników lekceważących życie...". Wyka mnie rozczula jeszcze dziś. Bo poza nim, tak pisywał tylko Władysław Machejek. „Czymże, Jerzy, nasze pokolenie, jakie ślady na drogach dziejów odciska? Jesteśmy-li tylko płomieniem, co nim zgaśnie, iskrami pryska...?" Zacytowawszy ten mój kawałek wiersza zawoła: „To brzmi jak głos Placu Bankowego, Bałut i Woli! Te słowa nas nie zawiodą. One mogą sobie spokojnie siwieć, jeśli oddech przedmieść i biały wiersz młodej poezji przynosi niegasnący ogień, który był nieraz dławiony w nie- ugiętych krtaniach" ...

„Współczesność" na pewno doczeka się wielkiej monografii. Tu jest miejsce na jej forpocztę. Warto zacząć od przypomnienia wstępniaka, jaki napisał zapewne Leszek Szymański – „Zamiast manifestu": „Chcemy, by nasza sztuka pomogła w budowie socjalizmu, odzwierciedlając wszystkie problemy polityczne i moralne nurtujące nasze społeczeństwo. Chcemy pomóc w procesie demokratyzacji i walczyć ze wszystkim tym, co dzieło to hamuje, bez względu na ośrodki, z których takie tendencje wychodzą. W dziedzinie kultury zwalczać będziemy wszelki akademizm (...) Chcemy pisać żywym, nowoczesnym językiem. Mamy swoje koncepcje poezji i prozy, nie zacieśniamy się (!) jednak do jakiegoś kręgu receptury formalnej...". Pyszne, zwłaszcza owo „mamy swoje koncepcje poezji i prozy".

W ramach tych koncepcji pismo obiecywało „szarganie świętości" i zaczęło jeździć od Zofii Nałkowskiej, przez Zofię Kossak-Szczucką do Marii Dąbrowskiej (J.Z. Słojewski – „Moja kontrowersja z Dąbrowską") i po całej „warszawce" – a pióra miało śmiałe, choć nie zawsze gramatyczne: „Wierzymy, że prawdziwe pióra nigdy nie można złamać" jak zapewniał Aleksander Jerzy Wieczorkowski, inżynier z wykształcenia, potem felietonista coraz znakomitszy...

Londyńscy koledzy śledzili sytuację w Kraju i tego rodzaju rekomendacje, jakie wystawili mi Brzękowski, Przyboś, Gomori, czy nawet Jan Wyka – że o Kazimierzu nie wspomnę – otwierały przede mną wszystkie drzwi i usta. Obserwowaliśmy się – my w Kraju i koledzy w Londynie – z uwagą. W numerze 12. ukazały się

wiersze Bolesława Taborskiego, który jako czternastolatek brał udział w Powstaniu Warszawskim, a w numerze drugim z 1959 artykuł Ryszarda Michalskiego „Witając Nowy Merkuriusz".

Oni to czytali i byli zafascynowani przemianami w Polsce. Rozumieli nasze postawy i deklaracje polityczne w stylu A.J.W.: „Wierzymy w powstanie nowej, socjalistycznej literatury, to znaczy pięknej, mądrej, dobrej i prawdziwej" – bo sami dzielili się na... katolików i marksistów... Stanisław Grochowiak, skaptowany z przyczyn oczywistych do pisma, dał do numeru 21/11 1958 taki znamienny tekst: „Czymże jest ta „Współczesność" w Wielkiej Opinii? Herezją! Herezją brudną, nieogoloną, niedobrze wypraną i wyprasowaną niechlujnie, piszącą małą literą, a najgorzej to to, że przekręcają nazwiska. Rany boskie! Przekręć nazwisko polskiemu intelektualiście, a jakbyś mu duszę przekręcił.

Jest we „Współczesności" coś zaraźliwego, nawet ludzie z natury smutni, jak ja, w otoczeniu tych kulturalnych Hotentotów zaczynają tracić równowagę... Po kilku rozmowach z Leszkiem Szymańskim złapałem się nawet na tym, że w kolejnym wierszu o ogórkach napisałem kilka razy „ogurek" przez „u" – co ciągnie grzecznego chłopczyka między piegowatych drabów, którzy na sąsiednim podwórku grają w zośkę? Jeżeli widzę przyszłość we „Współczesności," to w dojrzewaniu i tworzeniu wartości. „Współczesność" jest piekielnie potrzebna, ona jest „Skamandrem" dzisiejszości, bo właśnie ona i przede wszystkim ona jest nasza...".

Drukowali w niej wszyscy początkujący i coraz bardziej dojrzali: Ireneusz Iredyński i Aleksander Minkowski, Eugeniusz Kabatc i Włodzimierz Odojewski, Jerzy Krzysztoń i Ernest Bryll, Andrzej Brycht i Marian Ośniałowski, Stanisław Swen-Czachorowski i Jerzy Harasymowicz, Piotr Wierzbicki i Jerzy Skolimowski, Władysław Lech Terlecki i Jacek Łukasiewicz, Tadeusz Śliwiak i Marek Nowakowski, Marek Hłasko i Jerzy Falkowski, Jerzy Grotowski i Zbigniew Irzyk, Roman Śliwonik i Jerzy Waleńczyk, Witold Dąbrowski i Janusz Krasiński, Jan Puget i Jan Himilsbach, Bogdan Wojdowski i Sławomir Kryska, Andrzej Dołęgowski i Aleksander Wilkoń, Stanisław Brejdygant i Jan Józef Lipski, Andrzej Kijowski i Henryk Grynberg, Maciej Patkowski i Wojciech Giełżyński, Kazimierz Orłoś i J.M. Rymkiewicz, M.Z. Bordowicz i Stanisław Czycz, Ryszard Kapuściński i Tadeusz Strumff, Michał Głowiński i Ryszard Kłyś... Cała wielka plejada gwiazd przyszłości, wtedy tylko mniej lub bardziej wyraziste zapowiedzi...

W Londynie „Merkuriusz Polski" przestał wychodzić z końcem 1958, pojawił się „Nowy Merkuriusz" – „Kontynenty". Chciałem ich zespoły zapoznać z sytuacją u nas i dowiedzieć się o sytuacji u nich. Przyszli do mieszkania państwa Sitów

przy Fairfax Road: Badowiczówna, Taborski, Czaykowski, Ciechanowski, Śmieja, Darowski, Sulik, Czerniawski... Taborski został świetnym tłumaczem w obie strony, teatrologiem współpracującym z Polską Sekcją BBC, Ciechanowski był wtedy doktorantem i pisał, właściwie zbierał materiały do książki o Powstaniu Warszawskim, Czerniawski i Czaykowski pisywali wiersze, jak Sito... Jeszcze ich nie czytałem. Dyskutowaliśmy „o postawach", o „stosunku do najważniejszych zagadnień Epoki", o stosunku do Kraju... Taborski w pewnej chwili powiedział – ripostując bogobojnemu Śmieji (Śmiei?) – że „jednemu bliższy Pan Bóg, drugiemu Kraj"... Czaykowski, że „starzy emigranci dążą do zmian w Kraju, są maksymalistami i ich dążenia skazane są na niepowodzenie, my nie dążymy do zmian i dlatego mamy szanse. A ukazywać prawdę – po co?" „Dla miłości prawdy" podpowiedziała panna Dietrich. Głosy: „Co to jest właściwie prawda?"

Pytanie wiecznie aktualne i zawieszone w próżni. Czas wszystkie te postawy zweryfikował po swojemu. Okazało się, że „starzy emigranci" – choć nie mieli żadnego udziału w doprowadzeniu do zmian w Kraju – doczekali ich, a prezydent na Uchodźstwie przekazał insygnia władzy legalnej – Elektrykowi z Gdańska. Młodzi nie dążyli do zmian, ale z nich skorzystali jako pierwsi. Wszyscy spotkali się wreszcie w Kraju, kiedy Kraj się zmienił. Wróciwszy do Kraju, opublikowałem o nich kilka dużych materiałów – o poezji Taborskiego, Sity i Czaykowskiego „Ich poezja" (w n-rze 9 z 1959), następnie „Ich ankiety" (13/59) o stosunku do rzeczywiście najważniejszych kwestii „epoki". Stara emigracja pisma krajowe prenumerowała, ale je bojkotowała nadal.

Oni tam sobie zadawali pytania podstawowe, my tu – także istotne. Ale mogliśmy się zajmować sytuacją teatru i filmu, poezji i malarstwa, religią i ojcem Pirożyńskim, który nadal wszędzie węszył grzeszną sprośność i zdziczenie... W numerze 4/59 Grochowiak opublikował artykuł, wokół którego rozgorzała potem namiętna dyskusja: „Karabela zostanie na strychu" – o stosunku do narodowych powstań, o sensie oporu itp. Szydził trochę „z nas": „My stanowimy zagadkową i niepokojącą formację zgorzkniałych, cynicznych i bezideowych starców. Ba, starców „płaksiwych", jak to określają usłużni; ogromna większość z nas widzi najlepszą możliwość tej roboty w warunkach socjalizmu, w warunkach Polski Ludowej, co znowu z bezideowością rzecz nie jest prosta…". Był za jakąś „użytecznością działań nawet przy produkcji samochodu ze sznurka i tektury" a przeciw „dziwactwom w rodzaju jałowego bohaterstwa", za „zdrowym rozsądkiem bez histerii i fanatyzmów", budowniczych socjalizmu wyobrażał sobie jako „mądrych i tolerancyjnych" – choć to brzmi „zbyt grandioso jak na gusty pokolenia". Ale za tak

rozumianym socjalizmem byliśmy wtedy wszyscy i cały Zachód lewicował. „Dla naszego pokolenia socjalizm to jedyna szansa i droga, nie z musu, ale z przekonania obrana" – pisał Jan Zbigniew Słojewski w głośnym wtedy także artykule „Widok z Pałacu Zamoyskich" (5, 1959). Za „Pokolenie Współczesności" J.Z. Słojewski uznawał ludzi urodzonych w latach 1933–35.

„Jeśli ideowość, to inna, rozważna, nie dopuszczająca racji serca tam, gdzie powinien rozstrzygać mózg, przeciwna zamkom na lodzie i szarżom, po których zostaje tylko piosenka, trochę popiołu i łzy. Jeżeli już ideowość, to taka, co nie idzie na lep demagogii i kłamstwa, co w codziennej chropowatej twórczości widzi perspektywę wielką..."

Odszedł z pisma jego założyciel, Leszek Szymański, Grochowiak został p.o. naczelnego redaktora w lutym 1959. W stopce pisma pojawiają się nazwiska Ernesta Brylla, Aleksandry Korewy, Zbigniewa Irzyka (tego od rozprawy z Nałkowską); wraz z nimi zespół wzmocnili: W.L. Terlecki, Barbara Zbrożyna, Marian Ośniałowski, J.Z. Słojewski, T. Strumff i Janusz Budzyński. W numerze 5/59 drukują ankietę o twórczości młodych z odpowiedziami Henryka Berezy, Mariana Brandysa, Mieczysława Jastruna, Stanisława Dygata, Hanny Malewskiej, J.A. Szczepańskiego, Juliana Przybosia, Andrzeja Kijowskiego i wielu innych na dowód, że „młoda literatura" zaistniała nawet w polu widzenia autorów dzieł już ucukrowanych. Udział w ankiecie wzięli potem także: Artur Międzyrzecki, Maria Dąbrowska, Ryszard Matuszewski, Anatol Stern, Wilhelm Mach, Antoni Gołubiew i... Wiktor Woroszylski, który się do nich dołączył. W.L. Terlecki, kolega Grochowiaka z PAX-u, pisarz z kręgu katolicyzmu, w tekście pt. „Licytacja ambicji" (8/59) nie wahał się ogłosić, że opowiada się za „wartościami socjalistycznymi – za tym, co służy dobru i godności ludzkiej" – bo po XX Zjeździe KPZR, po obaleniu „kultu jednostki", czyli Stalina, można było przyjąć, że to koniec epoki terroru. Żyliśmy i oddychali pełną piersią. Zbigniew Irzyk wzburzył stojącą wodę „warszawki" tekstem pt. „Z chłopskiej piersi i z buduaru", Słojewski publikował „Wyjaśnienie skandalisty" (12/59), ja „Koncepcję życia" (o festiwalu młodzieży w Krakowie! Co za fantastyczna impreza!), Grotowski dał mi bulwersujący materiał pt. „Śmierć i reinkarnacja teatru", który uznał za anachroniczny, i wyraził wiarę, że „neo-teatr wytworzy możliwość rozmowy bezpośredniej", a wystawiając adaptację „Bogów deszczu" wg Jerzego Krzysztonia – obudował ich wierszami Bursy, Różewicza, Drozdowskiego i Szekspira...

Każdy numer „Współczesności" wabił jak nie „Kazaniem katastrofisty" Bogdana Wojdowskiego, to opowiadaniem Marka Nowakowskiego „Ten stary złodziej",

fragmentem sztuki Jerzego Skolimowskiego „Ktoś się utopi", prozy Janusza Krasińskiego „Przerwany rejs Białej Marianny",J.M. Rymkiewicza pikantną prozą „Podano do stołu", surową opowieścią Orłosia, Grynberga, wierszami Swena Czachorowskiego, Brylla, a nawet gościnnymi szkicami Sandauera, Juliana Stawińskiego... Współpracowało się nam doskonale. Pomysł gonił pomysł, przybywały nowe pióra, ale tym z „Białego Domu" czyli Komitetu Centralnego PZPR pismo, deklarując przywiązanie do socjalizmu, czegoś jakby nie gwarantowało...

W roku 2006, przeglądając tamte roczniki pisma, czuję się jak zwiedzający cmentarz z Aleją Zasłużonych albo czytający Encyklopedię, bo większość ówczesnych debiutantów trafiła tam bez dyskusji.

Grochowiak miał słuszność, przepowiadając Pokoleniu przyszłość co najmniej Skamandrytów, ale pismo całkowicie wolne od kontroli Partii było nie do pomyślenia i Zespół wyczuł, że coś mu grozi. A skoro grozi narzucenie jakiegoś przypadkowego zrzutka – postanowili szefa wybrać sobie sami, a mnie znali. Wybrali zaocznie, nie zapytawszy o zgodę. Czytywałem „Współczesność" od pierwszego numeru, mieszkałem na jej łamach od początku, propozycja była więc nie do odrzucenia... Ale co kto miał przeciw Grochowiakowi, figurującemu w stopce jako p.o. red. nacz.? Prawie wszyscy zatrudnieni w piśmie byli „mieszczuchami", gdy mnie Jan Wyka przedstawiał jako „syna proletariackiej Łodzi" na tej samej zasadzie jak potem zostałem „krakowskim poetą" tylko dlatego, że wydrukował mnie Machejek... z Miechowa.

Wtedy pojawiające się na łamach pisma nazwiska nic jeszcze albo niewiele komukolwiek mówiły.

...Żeby było śmieszniej: wiadomość o wyborze z pytaniem, czy się zgadzam, przywiózł mi do Nowej Huty niezawodny Jurek Falkowski.

...Pikanteria taka. Nigdy nikt chyba nie słyszał, żeby w PRL jakiś zespół sam sobie wybierał szefa, i to zaocznie. Redaktorów mianują zwykle tow. Starewicze, Wydziały Prasy i Propagandy, a tu jacyś nieznani mi koledzy mnie za wodza. Poczułem się mile rozdwojony. Bo Kraków to jednak Kraków, już się w nim zadomowiłem. „Życie literackie" było wspaniałe, publikowałem dużo tekstów czytanych i komentowanych – na tematy gospodarcze, polityczne, literackie, obyczajowe, zaproponowano mi stanowisko naczelnego redaktora powstającej stacji telewizyjnej, odmówiłem, nie czując się na siłach, telewizja to był teren nieznany. Jadę do Warszawy. To było już drugie zaproszenie: pierwsze otrzymałem od Ireny Tarłowskiej, gdy kierowała „Sztandarem Młodych" – żebym objął „Sztandar Młodych – niedziela". Wtedy nie znałem prawie nikogo. Widywałem gdzieś czasem Grochowiaka,

Brylla, Brychta – tego w Łodzi. Grochowiak nosił się górnie, przemawiał powoli, tonem kaznodziei, z namysłem, namaszczał się sam i był z tym akceptowany. Ceniłem jego pisarstwo – od wierszy po prozę i publicystykę i było mi jakoś nieswojo. Jest pismo, istnieje trzy lata, ma dobry zespół i mnóstwo utalentowanych autorów. W większości znałem ich głównie z lektury tekstów – wierszy, reportaży, recenzji. Przywitaliśmy się ciepło, ale Grochowiak unikał spojrzenia mi prosto w oczy, co mogło tylko znaczyć, że sytuacja jest przymusowa. Rozumiałem go i postanowiłem zaskoczyć.

Wezwano nas do Wydziału Prasy, do Artura Starewicza. Przystojny blondyn, inteligentny, cyniczny, sportowiec, narciarz wodny. Spytał mnie nad głową Grochowiaka: – Ilu pan chce mieć zastępców? – Zajrzałem mu głęboko w oczy: czekał pewnie, że powiem „trzech", a ja spokojnie: – Sam będę zastępcą. „Współczesność" ma świetnego redaktora. We dwóch damy sobie radę. – Zmrużył powieki, wyraźnie podcięty. Grochowiak pobladł, potem poczerwieniał. Starewicz chciał pozbyć się na początek tego PAX-siarza, katolika, pijaczka, a ja mu...

Następny numer „Współczesności" – 14/45, 1959 z 16-31 lipca miał w stopce: Redaktor Naczelny Stanisław Grochowiak, Z-ca Redaktora na- czelnego – Bohdan Drozdowski.

Wróciliśmy do Pałacu Zamoyskich w dobrym nastroju. Zespół przyjął wiadomość z niedowierzaniem. Byli pewni, że Grochowiak wręcz zrezygnuje, a ja zacznę odcinać kupony od mojej „sławy", „pozycji międzynarodowej," itp. Nic z tego. Poszliśmy do „Harendy", wypiliśmy po dobrym kielichu pod świetny bigos i zaczęliśmy robić pismo coraz lepsze. Sandauer dał nam ciekawy esej „Judaizm schrystianizowany", Julian Stawiński „Panoramę literatury amerykańskiej", W.L. Terelecki świetną prozę pt. „Rdza", Janusz Krasiński równie dobrą „Pojutrze o trzeciej", ja opowiadanie „Alibi" – odrzucone wcześniej w „Nowej Kulturze" przez Kazimierza Brandysa, bo mówiło o antycznej zbrodni: Polak, ojciec trojga dzieci, przyjmuje na przechowanie dwójkę dzieci żydowskich. Ktoś donosi na Gestapo i ten człowiek otrzymuje ultimatum: osobiście zastrzeli swoich podopiecznych, albo Gestapo poczuje się w obowiązku zlikwidowania całej jego rodziny. On te dzieci zastrzelił.

Ukazało się w numerze z 16-31 stycznia 1960. Zostaliśmy z Grochowiakiem znowu wezwani do Artura Starewicza. Wydział Prasy czuwał nad prawidłowym rozwojem swoich pism, takie więc „narady robocze" były na miejscu, ale zawsze z jakiegoś konkretnego powodu. Nie mieli chyba nic przeciw mojej „Kwestii nazw", fragmentowi powieści Macieja Patkowskiego, sprawozdaniu Giełżyńskiego pt. „Moja eksmisja z Paryża," czy Dąbrowskiego z Wiednia.

Zastaliśmy w gabinecie Starewicza Jarosława Abramowa, Andrzeja Jareckiego, Witolda Dąbrowskiego i Edwarda Hołdę. Nie pamiętam przebiegu tego spotkania. Abramow, syn Igora Neverly'ego, był miłym kolegą z STS, komponował i pisał teksty na scenę, Jarecki – zgrabne piosenki też dla STS, Dąbrowski był autorem silnie pozytywnych wierszy, z których największy rozgłos zdobył taki z refrenem: „Towarzysze, czy w naszej krwi nie za mało czerwonych ciałek?" (może tam było: „w waszej krwi"?), Edward Hołda pisywał mocne i polityczne wiersze o potrzebie przebudowania wsi. Zrozumieliśmy z Grochowiakiem, że to jest nasza zmiana. Ale to była przygrywka. Starewicz, razem z STS-em, chciał oczyścić pole i osadzić na „Współczesności" człowieka sobie najbliższego, ale nie od razu, żeby nie robić szumu. Zebrani, wyraźnie przygotowani ideologicznie, zaczęli typowy „wygawor", cytując jakieś niezbyt prawomyślne kawałki z różnych tekstów, jawnie naciągając zarzuty. Pismo przyciągało ludzi zbyt różnych, ale to była jego zaleta! Potem usłyszałem pod swoim adresem jakieś dusery i przypomnienie, że zachowałem się po rycersku nie przyjmując oferowanego mi stanowiska, ale teraz mogę z czystym sumieniem zamienić się z Grochowiakiem, który się na to zgadzał już pół roku wcześniej.

To było w piątek. Na Boże Narodzenie – wyjechałem do Nowej Huty, a kiedy wróciłem, zastałem kolejne wezwanie do KC. Ten sam gabinet, ci sami ludzie, nowe uwagi i zarzuty, tak już jawnie chamskie i obelżywe, że nie wytrzymałem, cisnąłem nominacją na stół. Numer „Współczesności" 3/58 z 1960 ukazał się ze stopką: REDAGUJE ZESPÓŁ. Na pierwszej kolumnie widniał wielki tytuł: LITERATURA – LEWICA – LOGIKA i wszystko stało się ciemne. Autor: Witold Dąbrowski.

Grochowiak uznał, że „przerżnęliśmy sprawę". Byłem innego zdania. Dopóki jesteśmy tam we dwóch, nie dadzą nam rady. I pismo nie siadło, ale jeszcze urosło. Dałem mocny tekst „Oddech wielkiej techniki", Orłoś świetną prozę „Willa Teresa", Tadeusz Mikołajek – autor słynnej potem„Żarówki" – „Jutro się wyprowadzimy", Magda Leja szkic o erotyce w prozie kobiet, zwłaszcza Krystyny Kleczkowskiej z Krakowa, Janusz Maciejewski o Sandauerze „Natus est Ferdydurke", Grochowiak „Broń ostateczna", coś dał Terlecki, coś Wojdowski, coś Łukasiewicz, Bordowicz, Krasiński, Sito, Himilsbach, Czycz, ja znowu reportaż z kopalni węgla pt. „Mięśnie", bo właśnie zbierałem materiał do scenariusza filmowego o wypadku w kopalni i odwożeniu trumny do rodzinnej wsi zabitego.

Ten tekst odegrać miał potem istotną rolę w moim życiu. Poprzedzała go dedykacja: „Pamięci przyjaciela, 17-letniego Gienka Przygodzkiego z Sosnowca, który zginął w Kopalni „Wujek" 16 października 1949 roku."

„Współczesność" była na ustach „wszystkich"; odwiedzali nas nie tylko rówieśnicy z wielu krajów. Z ZSRR Wozniesienski, Aksjonow, Okudżawa, Gładilin, Sołouchin, z Czechosłowacji Klima, Kliment, Holub, z Niemiec Kunert i cała rzesza innych. Odwiedził nas Sartre z Simone de Beauvoir – byliśmy, jednym słowem, „na fali" w ciągu wielu lat współistnienia, ale na początku trzymała nas nie żadna wspólnota dusz, bo niektórzy byli bezduszni z zasady, ale radość współtworzenia, „odciskania swoich śladów na drogach" ...

Można by napisać sagę o publikowanych wtedy tekstach, kto ciekaw, sam do nich dotrze, ale nie dowie się, co iskrzyło między osobistościami tak odmiennymi jak anielski Marian Ośniałowski na przykład i gruzłowaty Jan Himilsbach, czy Śliwonik i Skolimowski, który wydał tomik pod obiecującym tytułem „Siekiera i słońce", bo on rzucał się na Słońce nie z żadną motyką, jak Bóg przykazał, ale od razu z siekierą...

Pismo denerwowało starszych atakami na filary literatury w osobach Marii Dąbrowskiej, Zofii Kossak czy Nałkowskiej choćby. Żadnej czołobitności. Słojewski zachowywał się jak brutal, ale „wychodził z założenia", że można na siebie (i pismo) zwrócić uwagę tylko waląc w same tuzy, bo kogo obchodzi jakiś maluch...

Wtedy już grasował Artur Sandauer ze swoim cyklem „Bez taryfy ulgowej", ale Słojewski przebijał go bezczelnością, nie wspominając nawet o inteligencji. Można stwierdzić, że Słojewski naśladował Słonimskiego z „Wiadomości Literackich", ale Słonimski bywał bezczelnie toporny, Słojewski zaś przewrotnie subtelny. Atakowani nie mogli się otrząsnąć, nie przywykli do takich manier i to w wykonaniu takich żółtodziobów. Mieli nam za złe, zwłaszcza „warszawka", to towarzystwo wzajemnej adoracji i wspólnego flekowania „nieswoich".

W „Październiku 1956, na jakimś wielkim spędzie w Sali Kongresowej PKiN, z udziałem wypuszczonego z więzienia i wyposzczonego politycznie Władysława Gomułki, Wojciech Siemion wyrecytował całemu krajowi i „Prezydium" w twarze moją „Drugą połowę wieku". Gomułka się wściekł, odebrał mu prawo do występowania na scenach. Pamiętano o tym i we „Współczesności", akceptowali timbre mego wejścia na scenę literatury i nawet nie kryli pewnej zazdrości, przeradzającej się w niebezinteresowną niechęć, co zrozumiałe. Ale tam się coś gotowało, coś dojrzewało, pismo skupiało wokół siebie muzyków, filmowców, malarzy, dziennikarzy, poetów, felietonistów, nie mówiąc już o pięknych dziewczynach. A że kioski nie chciały przyjmować „Współczesności" w komis, bo żaden zysk, a kłopot, skrzykiwaliśmy studentów, a zwłaszcza studentki i co piękniejsze młode aktorki, z Majką Wachowiak na czele (późniejszą przelotną żoną Gustawa

Holoubka) i one sprzedawały pismo „spod pachy" po kawiarniach i restauracjach śródmieścia Warszawy.

Pismo bulwersowało zjadliwymi felietonami Hamiltona (J.Z. Słojewskiego), A.J. Wieczorkowskiego, cienkimi aluzjami Andrzeja Dobosza, wierszami Romana Śliwonika, recenzjami teatralnymi Bogdana Wojdowskiego, nabierało rozmachu, zyskiwało szacunek, zwiększało nakład. Klimat wokół zespołu pogodniał, ubywało stylistycznych kiksów, przybywało odwagi i argumentów.

W westybulu Pałacu Zamoyskich urządzaliśmy wernisaże malarstwa i kiermasze naszych książek. Pełno było postaci wtedy „codziennych", dziś już historycznych. Był naszym ulubieńcem oryginalny malarz Popielarczyk – wysoki, skupiony, trochę nieobecny – dziś na ścianie kamienicy w ulicy Piwnej ma mosiężną tablicę pamiątkową. Był malarz Bogusław Swacz – znakomity! – z którym grywałem w szachy do „zdechu", na nasze kiermasze książek przychodzili, prócz „zwykłej" publiczności – najzacniejsi i najwięksi, od Juliana Stryjkowskiego po Tadeusza Brezę. Przy stole z książkami siedzą: Grochowiak, Śliwiak, Iredyński, Brycht, Ośniałowski, Himilsbach, Kryska, a w roli nabywców właśnie Breza, Putrament, Zofia Kossak...

To były doznania wzniosłe i osobliwe...

W roku 1961 „Współczesność" już się okopała, już się do nas ustawiali w kolejce do druku pisarze pierwszej gildii. Maria Dąbrowska dała tekst sensacyjny wręcz – „Conrad skandaliczny" o kazirodczym wątku w pamiętnikach Bobrowskiego, wuja Conrada-Korzeniowskiego.

Janusz Bogucki – znakomity krytyk sztuki, związany z „Życiem literackim", dał piękny szkic o malarstwie Beksińskiego, który miał skończyć życie pod nożem sąsiada-bandyty; Jacek Bocheński udostępnił nam fragment pisanej dopiero, później słynnej książki „Boski Juliusz" – pod tytułem„Wielki kram"; Edward Stachura – wiersze, Bogdan Wojdowski recenzję o teatrze Wajdy – „Dwoje na huśtawce"; Janusz Odrowąż-Pieniążek napisał wprawdzie drugą po Prusie „kamizelkę", ale osadził w niej koniecznie „Monsieur Courtade", który za młodu miał dom w Montre'jeau u podnóża środkowych Alp – to bardzo ważny szczegół! – pardon! Pirenejów, „ożenił się, był listonoszem, a za to nieźle płacą we Francji" ... Można być listonoszem i trafić do opowiadania Janusza Odrowąża-Pieniążka, ale trzeba się nazywać po francusku... Można się nazywać Sito i pochodzić z Pińska, a spotkać się w sercu Imperium Brytyjskiego z samym lordem Bertrandem Russellem, wystarczy chcieć. Sito wrócił do Polski i już jako „dziennikarz spoza Żelaznej Kurtyny" uzyskał zgodę Russella na rozmowę, choć filozof odmówił udzielenia wywiadu

Klubowi Heretyków z Cambridge, stowarzyszeniu mocno snobistycznemu... Sito mógł już zdobyć się na zdanie: „Zbyt wielu artystów na Zachodzie nie umie sobie poradzić z nadmiarem wolności, odczytywanej jako brak zainteresowania." Na Wolnym Zachodzie nikt nikogo nie obchodzi dopóty, dopóki nie weźmie siekiery i nie zamorduje sąsiadki, albo nie zdefrauduje miliona dolarów, albo nie napisze skandalizującej prozy. Russell zauważył, że „sztuki nie tworzy się przez łożenie na nią pieniędzy." – i daje pikantny przykład: – „Najpiękniejsza katedra w Anglii powstała dzięki przeświadczeniu mnichów-budowniczych, iż piękno jest rzeczą diabła. Chcieli zbudować rzecz brzydką. I błąd odkryto wiele lat później". Znakomita informacja!

W numerze 3/82 1961 znika ze stopki redakcyjnej Grochowiak. Miał dosyć klimatu ciężkiej konspiry w wykonaniu szepczącego po kątach Dąbrowskiego. Było to istotnie zjawisko osobliwe. Ten „rocznik 33" przekształcił pulsujący, żywy organizm pisma młodych w jakąś koterię, przy czym nikt chyba nie wiedział, do jakiej został przydzielony. Zamawiał artykuły, których nie drukował, drukował niezamawiane i niezapowiadane, zastępcy redaktora byli stale zaskakiwani niespodziankami.

Dąbrowski był w zespole „Współczesności" ciałem jeszcze bardziej obcym niż ja. Mnie w końcu wymyślili sami, żeby uniknąć Dąbrowskiego, a ten usiłował wkupić się do towarzystwa, przystając na panujący w nim obyczaj zalewania wszystkiego alkoholem. Śliwonik to wyczuł i w książce swoich pijackich wspomnień o czasach „Współczesności" narysował sylwetkę tego partyjnego zrzutka wcale trafnie. Jarosław Abramow, kolega Dąbrowskiego z STS, także wypomina mu manifestacyjną wierność czerwonemu. Zerwał dopiero „w marcu", kiedy wielu jego dotychczasowych komilitonów nie potrafiło znaleźć właściwego wyjścia z sytuacji bez wyjścia. Dąbrowski ukrywał się za legendą o swoim szlacheckim pochodzeniu i kilka razy informował mnie „nawiasem biorąc", że on jest „herbu Sokół". Pocieszna mimikra. Kiedy człowiek udaje kogo innego, musi się pilnować, żeby nie puścić farby; nic z tego, kiedy życie podrzuca człowiekowi sytuacje wykluczające możliwość udawania. A życie takich sytuacji podrzuciło Dąbrowskiemu za wiele, żeby mógł dalej grać Waryńskiego. Gra musiała mu ciążyć. Był co najmniej rozdwojony, w stosunku do niektórych bardzo uczynny i koleżeński, w stosunku do innych po prostu podły.

Poznała mnie z nim przypadkiem, na Mazurach, Henryka Broniatowska, redaktorka z Wydawnictwa ISKRY, żona wysokiego oficera MSW. Był to typ na

pewno jakoś frapujący. Przystojny, kędzierzawy, dysponujący ładnym, niskim głosem, którym władał biegle, modulując go w zależności od tematu i partnera. Rozkochał w sobie Agnieszkę Osiecką, czego mu wielu zazdrościło, bo to była śliczna, zgrabna dziewczyna. Wyprzedzając nieco wypadki, dodam, że odwiedziła mnie potem w Londynie wraz z Kasią Gaertner. Obie były porywająco piękne, swobodne, pewne siebie, zdobywcze. Agnieszka nosiła czerwone rękawiczki, które zostawiła w moim gabinecie niemal jak amulet...

Pismo zdobywało rozgłos także „skandalami", a rozgłos wabi rozmaite typy spod jasnej gwiazdy „sztuki i poeci miewają sobowtórów" ... Śliwonik opisuje przygodę z klubem kultury, w którym był po raz pierwszy, ale powitano go jak starego znajomego, bo już tam „bywał i rozdawał autografy na swoich książkach..." Sobowtór też nosił ciemne okulary, jak Dąbrowski i Cybulski. Za mnie podawał się inny albo może ten sam, na „winobraniach" w Zielonej Górze. Robił to jeszcze skuteczniej, ponieważ uwiódł kilka dziewcząt, także składając im dedykacje nawet na staniczkach... Na szczęście dla mnie, nie był bardzo podobny i nie musiałem zapewniać, że to nie ja...

Irek był młodziutki, dziwny, znikąd i bardzo zdolny. Dał się Krakowowi poznać jako zwycięzca kawiarnianych quizów. Dużo wiedział, pisał ciekawe wiersze, mało mówił albo prawie nic, a potem napisał „Dzień oszusta", w którym sportretował parę znajomych osób i sytuacji. Powitałem książkę gorącą recenzją.

...Usłyszawszy, że pani Joanna Siedlecka w książce o pisarzach represjonowanych zajęła się także Iredyńskim – zajrzałem tam, i rzeczywiście. Zaskoczyła mnie totalnie sumą horrorów, jakie na Iredyńskiego zesłał reżim Gomułki. Miałem na temat kilku wydarzeń z jego życia inne informacje, także od niego samego, ale pani Siedlecka należy do tych, co wiedzą lepiej. Przytoczę jedno zdarzenie: Iredyńskiego skazali na trzy lata za czyn niepolityczny, ale pani Siedlecka woli go w roli buntownika. Niech jej będzie, on reżimowi nie wybaczył czegoś, o czym ta autorka nie wie: otóż jednego dnia dłużej w pierdlu. Traf chciał bowiem, że ostatni rok odsiadki był przestępny...

Irek powiedział: – Nigdy tym skujwysynom tego nie dajuję! „R" bowiem wymawiał jak „J".

Piotr Kuncewicz, pisząc sylwetkę Iredyńskiego w swoim „Leksykonie polskich pisarzy współczesnych", zauważył: „To prawda, że Iredyński przeszedł przez życie w smudze skandalu (którego starczyło i na trzy lata więzienia, jak

powszechnie uważano, raczej „za całokształt"), prowadził bowiem „zwariowane życie", robił „okrutne dowcipy", obłąkańcze wyczyny bez liczenia się z jakimikolwiek konsekwencjami, a przede wszystkim ostentacyjnie bujne i skandalizujące życie i poczynania erotyczne". Siedlecka przerobiła Iredyńskiego na bojownika z komuną. Ciekaw jestem, jakby zareagowała, będąc kobietą przy barze w „Bristolu" czy innego hotelu, gdyby Iredyński zaproponował szybki numerek „obustronny", głośno, lekceważąc jej partnera. Tamta kobieta tylko go ofuknęła; siedzący z nią mężczyzna nastroszył brwi, Iredyński pogłębiał wyłom coraz bezczelniej. Barman pochylił się do mnie i szepnął: „Zabierz go pan, ten facet to prokurator!". Szarpnąłem Irka za rękaw i wywlokłem za drzwi, do taksówki. Był krótko po odsiadce za czyn paskudny, teraz nie obyłoby się bez mordobicia, a to recydywa. Ale po raz wtóry nie siedziałby w jednej celi z Kuroniem. Prokurator wyskoczył z drzwi, gdy taksówka właśnie dawała „po gazie". Pani Profesor Staniszkis stanowiła dla Irka wyjście znacznie lepsze...

Przeglądałem, „wczoraj" roczniki „Współczesności". Papier nieco zwietrzał, trzeba karty przewracać ostrożnie, bo także pękają. „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą..."

Przedruk z nr 52 „Poezji dzisiaj" 2006.

Résumé

The presented book is a unique record of the history of literature. The creators of "Współczesność" are a generation of the Polish, independent literary trend. The magazine with this title was established in 1956, during a period of important political changes for Poland. This generation included, among others: Stanisław Grochowiak, dr. Leszek Szymański, Jerzy Czajkowski, Zbigniew Irzyk, Roman Śliwonik and many other outstanding figures. They have initiated a new chapter in Polish poetry and prose and we are talking about them in "Contemporary Generation". In the book we present archival documents: memories, interviews and essays devoted to them. This is a unique position, because many of them are no longer among us ...

Anna Maria Mickiewicz (London UK)

"Współczesność" ("Contemporary") means independence, contact with modern world literature and reliable literary knowledge, modernity of form – these ideas led the first editors of the newspaper "Współczesność" and the next outstanding creative writers who joined the "Współczesność" movement. The existence of an independent magazine resulted in the creation of the "Contemporary" generation. We are talking here about Stanisław Grochowiak, Marek Hłaska and Roman Śliwonik. We are talking about Ośniałowski ... as well as some little-known names, erased by censorship.

Leszek Szymański (Australia)

I cordially invite you to read this book, showing the paths from "Współczesność" to Solidarity, through the beauty of the songs, tragedies, creating the wealth of the value of Polish literature and through political events, always inseparable from Polish literature.

Danuta Błaszak (USA)

Spis treści

Aleksander Nawrocki – Drodzy czytelnicy i miłośnicy poezji / Dear readers and poetry lovers 5

Anna Maria Mickiewicz – Kilka słów… 6

Aleksander Nawrocki – Moje spotkanie ze „Współczesnością" 8

Danuta Błaszak – Polska literatura powojenna 19

Anna Maria Mickiewicz – Nowa książka Leszka Szymańskiego 21

Leszek Szymański – O „Współczesności" po prostu 24

Danuta Błaszak – Realizm „Współczesności" 28

Zdjęcia: w restauracji „Kamienne Schodki", październik 2006 30

Aleksander Nawrocki – Moje spotkanie ze „Współczesnością" 31

Rozmowa **Aleksandra Nawrockiego** z **Jerzym Siewierskim** o liście wysłanym do Leszka Szymańskiego 33

Roman Śliwonik – Leszek Szymański – redaktor, pisarz, znakomity organizator, misjonarz 34

Danuta Błaszak w rozmowie z **Jerzym Stanisławem Czajkowskim** 37

Leszek Szymański – Moje środowisko 37

Stanisław Stanik – O Leszku Szymańskim 48

Zbigniew Irzyk – Wspomnienie o „Współczesności" 56

Wiersze: **Romana Śliwonika**, **Mariana Ośniałowskiego**, **Stanisława Grochowiaka** 68

Anna Bukowska – Moje pięć lat we „Współczesności" 75

Julia Salwa rozmawia z **Ewą Kretkowską** o twórczości **Zdzisława Jerzego Bolka** 79

Leszek Szymański – Wspomnienie o Marku Hłasce. Spotkanie w Los Angeles 87

Agnieszka Herman rozmawia z **Romanem Śliwonikiem**, 1997 90

Roman Śliwonik – My 96

Danuta Błaszak ze **Zbigniewem Irzykiem** o Grupie „Współczesność" 97

Danuta Błaszak – Wywiad z **dr. Leszkiem Szymańskim**, założycielem grupy „Współczesność" 106

Danuta Błaszak – Druga część wywiadu z **Leszkiem Szymańskim**. Przedruk z „Gwiazdy Polarnej" 2006 114

Zdjęcie: **Leszek Szymański** z synem Józefem 121

Roman Śliwonik – Mieszkanie po matce 122

Danuta Błaszak rozmawia z **Jerzym Stanisławem Czajkowskim** o Grupie „Współczesność" 124

Zbigniew Irzyk rozmawia z **Leszkiem Szymańskim**, założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym „Współczesności" 128

Aleksander Nawrocki rozmawia z **Jackiem Kajtochem**: Czy coś po nas zostanie? 137

Bohdan Drozdowski – O „Współczesności", póki my żyjemy... 141

Resume 154